

Zakupy MON Czy Polska
szykuje się do wojny?

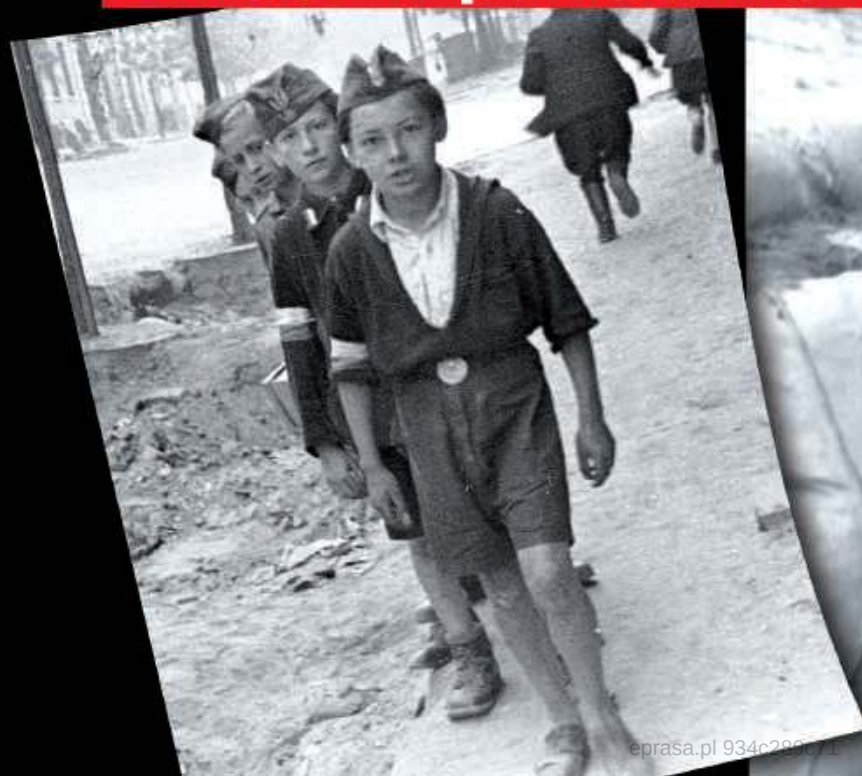
Agnieszka Grochowska
Aktorka w czasie pandemii

Pracodawcy a szczepienia
pracowników

Mózg nie znosi
samotności

ZBRODNIA CZY CHWAŁA

Dzieci w powstaniu warszawskim



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



33 >



37 zł



E-BOOK
19,90 zł

Tomasz Turowski
po raz pierwszy
w PRZEGLĄDZIE!



Wojna szpiegów Rosji, USA i Chin Wszystkie chwytty dozwolone

Kolejna książka Tomasza Turowskiego o tematyce szpiegowskiej. Był jednym z najlepszych oficerów wywiadu. Wie, o czym pisze, i robi to zawsze ciekawie. Zachęcam do lektury.

Gen. Gromosław Czempiński

Książka PRZEGLĄDU!

Wpłaty 37 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.

Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł,

paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 934c289c71



Mit założycielski durniów

Nie ma zgody na jednostronne, zakłamane obrazy z powstania. Pamięci o tragedii setek tysięcy ludzi i zgładzonym mieście nie można zostawić manipulatorom. Żałoby nie można przekształcać w propagandowe spektakle. Co o tamtych wydarzeniach chcemy powiedzieć dzisiejszej młodzieży? W 1944 r. oszukano młodych i poprowadzono bezbronnych na rzeź. A po 77 latach znowu oszukuje się młodzież, opowiadając o morowych pannach i uczniach, którzy chodzili z visami na tygrysy, co w realnym języku oznacza, że młodzi ludzie z pistoletami atakowali czołgi. O sensie takich akcji nie piszą nawet najbardziej zacietrzewieni apologety. Skąd młody Polak ma się dowiedzieć, jaka jest pełna prawda o tamtych 63 dniach? W Muzeum Powstania Warszawskiego większość ekspozycji służy budowaniu tego, co jego autorzy nazywają mitem założycielskim prawicy. Ale jeśli to jest jakiś mit, to dotyczy braku mądrości i odpowiedzialności tych, którzy podjęli decyzję o wybuchu powstania. Decyzję, której nic nie usprawiedliwia. Zbyt tragiczna jest cena, którą zapłacono za pobożne życzenia paru generałów i polityków, o wielkich ambicjach, ale skromnych intelektach. Wystali ludzi na śmierć, bo potrzebna im była demonstracja polityczna.

Choć i wówczas, gdy ważyły się losy stolicy, byli wojskowi, którzy przestrzegali przed taką decyzją. Jak

gen. Anders, który chciał postawić gen. Bora-Komorowskiego i innych dowódców przed sądem za wywołanie powstania, które uważał za kardynalny błąd z politycznego i wojskowego punktu widzenia, z moralnego zaś za zbrodnię.

Co więc świętowano 1 sierpnia? Katastrofę, jakiej od wieków nie przeżyła żadna stolica? Śmierć 200 tys. mieszkańców Warszawy? Śmierć 40 tys. kobiet, dzieci i mężczyzn wymordowanych w ciągu zaledwie trzech dni na Woli? I śmierć 10 tys. zamordowanych na Ochocie?

Rocznice wykorzystano do umacniania mitów i do powtarzania, że powstanie wygraliśmy w kategoriach moralnych.

Dla budowy tego mitu niewygodne prawdy są odrzucane. Niezależnie od tego, kto jest autorem. Bo w walce propagandowej o powstańczy mit cel uświęca środki.

Mądrość zbiorowa narodów płynie z nauk, jakie wyciągają z własnych klęsk. Traktują je jako przestrożę, by nie popełniać starych błędów. Polska prawica odwróciła ten proces. Jej misją jest fetowanie klęsk i przegranych powstań. Gloryfikowanie ich sprawców. Stawia im pomniki, nadaje ich nazwiska placom i ulicom. I z rosnącą bezrozumną beczelnością zachęca młodzież do naśladownictwa.

DOBRE WAKACJE TYLKO Z DOBRĄ KSIĄŻKĄ

Nie dźwigaj, gdziekolwiek będziesz, przeczytasz na swoim urządzeniu

Zamów e-booki PRZEGLĄDU

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

CYTATY

ANDRZEJ SKWORZ, redaktor naczelny

Andrzej Poczobut, polski Dziennikarz Roku, siedzi w więzieniu, a media, które przed laty nadały mu ten tytuł, dziś o nim zapomniały. „Press”

PROF. ALEKSANDRA JASIŃSKA-KANIA, socjolog

Nie miałam wielkiego sentymentu do instytucji państwowych, bo miałam dojmujące poczucie ich wyobcowywania się. „Zdanie”

BĄKOWSKI



W NUMERZE

HISTORIA

- 8 Zbrodnia czy chwała
Dzieci w powstaniu warszawskim
- 46 Rodzina Róży Luksemburg
– bardzo polska historia

WOJSKO

- 12 Wojny i wojenki Wojska Polskiego
Co się kryje za zakupami MON

KRAJ

- 14 Czarasty gra na czas
Buntownicy nie składają broni
- 17 Feministyczny problem Nowej Lewicy
Kobiety na czas kryzysu
- 18 Szczepienia problemem pracodawców
Zakazy dla niezaszczepionych
- 22 W covidzie mało seksu, mało ciąży
Spadek urodzeń
- 26 Dramat jeleni
Zwierzęta zginęły przez ludzi
- 28 Umarła Nasza Klasa
Koniec słynnego portalu

ZAGRANICA

- 29 Pingdemia atakuje Wyspy
Anglicy w samoizolacji
- 32 Słowacy szykują się na najgorsze
Szczepienia idą jak po grudzie
- 34 Wykluczeni i świetnie połączeni
Transport publiczny w Austrii
- 36 62 lata amerykańskiej blokady
– rozmowa z ambasadorem Kuby
Jorge Martim Martinezem

OPINIE

- 40 Paweł Siergiejczyk
A jednak Trzecia
- 42 Piotr Kowalczyk, Krzysztof Szamałek
Zanim nadejdzie wielka powódź

KULTURA

- 48 Praca, czyli pasja
– rozmowa z Agnieszką Grochowską
- 52 Culturalia
- 66 Ostatnie śniadanie
z Bartłojem Kownackim

NAUKA

- 54 Twój mózg nie znosi samotności
– rozmowa z Urszulą Dąbrowską

OBSERWACJE

- 57 Kuchenne kąpiele
Jak myć owoce
- 58 Średniowieczne zoo
Zwierzyńce władców

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański
Mit założycielski durniów
- 21 Jan Widacki
Genetyk
- 25 Andrzej Szahaj
Turbokapitalizm niszczy sport
- 39 Roman Kurkiewicz
Cios prosto w Oko
- 45 Tomasz Jastrun
Karmieni cierpieniem
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało
Good bye, rozsądeczek
- 53 Wojciech Kuczok
Podróż na Wschód (przez cycyki)



12

WOJSKO

WOJNY I WOJENKI WOJSKA POLSKIEGO

Co się kryje za zakupami MON

48

KULTURA

PRACA, CZYLI PASJA
– rozmowa z Agnieszką
Grochowską



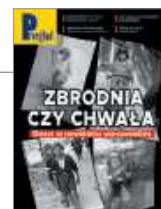
54

NAUKA

TWÓJ MÓZG NIE ZNOSI
SAMOTNOŚCI
– rozmowa z Urszulą
Dąbrowską

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



Co w Polsce powinno być bezpłatne?

Dużo by wymienić. Ale zobaczmy: służba zdrowia, szkoły podstawowe i ponadpodstawowe, studia, urzędy oraz prowadzenie przez nich spraw, mundurówka (wyluczając więzienia – tu osadzeni powinni pracować w gospodarstwach przyzakładowych), mieszkania spółdzielcze, wczasy i kolonie opłacane przez zakłady pracy, praca – bez pośredników biorących swoją dołę, przejazd PKP, PKS i komunikacją miejską dla dzieci i młodzieży.

Na tę chwilę wystarczy tej utraconej (TAK!) socjalistycznej utopii. W kapitalizmie niestety nie liczą się ludzie i ich rozwój, tylko zysk dla jednostek, więc bezpłatne i bezkosztowe, naturalnie dla pracodawców, będą staże oraz praca, za to pracownicy będą mogli je sobie wpisać do portfolio.

Michał Czarnowski

Przed wszystkim leczenie dzieci chorych na rdzeniowy zanik mięśni (SMA) i inne ciężkie schorzenia, których leczenie przeraża możliwości finansowe rodzin. Leki i usługi medyczne dla tej części społeczeństwa, której są one niezbędne. Czyli przede wszystkim dla osób niepełnosprawnych, emerytów i rencistów nisko i średnio uposażonych. Bo np. emeryt Głódz do takich nie należy, więc odpowiednie przepisy powinny stanowić w tym zakresie.

Janina Frykacz

Guzik wiemy o naszych dzieciach

Niestety, Polska to wciąż kraj podszyty strachem. „Nie biegnij, bo się przewrócisz; chodź tu, bo cię pan zabierze”.

W strachu, również przed karą boską, nigdy nie rozwiniesz skrzydeł. Z automatu wstrzeliwuje się strach w naszą matrycę i to owocuje przez całe życie. No i boję się, że czegoś nie wiem, czemuś nie podołam – albo że dziecku coś się stanie. Myślę, że problem leży w naszej polskiej mentalności. W mediach od prawa do lewa serwuje się nam codziennie wiadomości, jakich to mamy złych sąsiadów/sojuszników, nie wspominając o zbyt często arbitralnej formie wypowiedzi (dziennikarzy!), typu „wyrodna matka”, „nieodpowiedzialni rodzice”. Również media społecznościowe, ale i polskie ulice, to werbalny lincz, co mnie bardzo smuci, bo przez obcokrajowców jesteśmy odbierani jako BARDZO UPRZEJMY naród. Podobno z boku widzi się więcej.

Małgorzata

Antyszczepionkowcy jak terroryści

Antyszczepionkowcy mówią, że chodzi im m.in. o wolność wyboru. Skoro tak, to dlaczego coraz brutalniej naruszają wolność wyboru tych, którzy chcą się zaszczepić? Fizyczna agresja, napaści na punkty szczepień itd. A już skrajnym przykładem takich działań jest nocne podpalenie punktu szczepień i sanepidu w Zamościu. To już podpada pod terroryzm. I moralną winę za to ponoszą ci wszyscy magowie od antyszczepionkowej propagandy, także ci w białych kitlach. Ale tak się kończy schlebienie przez rządzących wszelkim skrajnym grupom (np. ONR) i puszczanie oczka do Konfederacji...

Robert Kisiel



ZDJĘCIE TYGODNIA



Czwarty złoty medal dla Polski na igrzyskach olimpijskich. Chodźarz Dawid Tomala przekracza linię mety podczas finału chodu na 50 km, Sapporo, 6 sierpnia 2021 r.



PYTANIE TYGODNIA

Czy podwyższyć maksymalną wysokość mandatów drogowych do 5 tys. zł?

TADEUSZ WIESŁAW BRATOS,

Stowarzyszenie Psychologów Transportu w Polsce

Podwyższenie wysokości mandatów, i tak za wysokich w stosunku do zarobków, początkowo może trochę zwiększyć bezpieczeństwo na drogach, ale potem wszystko wróci do normy. Także dlatego, że dla kierowców, którzy dużo zarabiają, nie ma znaczenia, czy mandaty są małe, czy duże. Zamiast na ich wysokości, powinniśmy więc skupić się na edukacji i wychowaniu, bo tylko wdrukowywanie odpowiednich zachowań już od najmłodszych lat gwarantuje, że dana osoba będzie przestrzegać przepisów. Badania ewidentnie wykazują, że motywacją do odpowiednich zachowań za kierownicą powinno być bezpieczeństwo, a nie strach przed karą. Jeżeli występuje ta druga motywacja, to jest ona fałszywa, a taki kierowca prędzej czy później zacznie jeździć niezgodnie z zasadami.

WOJCIECH KOTOWSKI,

ekspert w zakresie prawnych aspektów wypadków drogowych

Kierowcy są swoistą grupą społeczną, która niewiele sobie robi z przepisów. Mało tego: brak jej wyczucia, że rozważa i ostrożność na drodze przynosi korzyści nie tylko kierującemu, ale także całemu otoczeniu. Mijają lata, a nie można wbić jej do głowy, że tylko rozsądek gwarantuje bezpieczeństwo, dlatego trzeba wprowadzić różnego rodzaju represje. Podniesienie wysokości mandatów byłoby swego rodzaju batem na tych, którzy całkowicie ignorują zasady ruchu drogowego. Obecny wymiar kar zwłaszcza na zamożniejszych kierowcach nie robi żadnego wrażenia, gdy śpieszą się na ważne spotkanie biznesowe. Tylko

poprzez kieszeń można dać im odczuć, że brak samodyscypliny na drodze może oznaczać odczuwalne konsekwencje. Z tego powodu najlepszym rozwiązaniem byłoby uzależnienie wysokości mandatów od poziomu dochodów, co jednak wymagałoby zmiany całego systemu karania.

DR ŁUKASZ POŁOWCZYK,

filozof, etyk

Wprowadzenie takiego rozwiązania utrwali podziały klasowe. Gdy biedak zapłaci taką kwotę, będzie to dla niego tragedia, prawdopodobnie wiążąca się z egzekucją komorniczą i wieloma kłopotami natury biurokratycznej i społecznej, natomiast dla kierowcy lamborghini analogiczny mandat będzie nieodczuwalny. Dlatego moim zdaniem powinniśmy wprowadzić taki system jak w Finlandii, gdzie mandaty płaci się w wysokości proporcjonalnej do zarobków. Takie rozwiązanie byłoby sprawiedliwe, a jednocześnie mogłoby wpłynąć na sposób zachowania się na drodze bogatszych kierowców.

ALEKSANDER GUSTAW PESZEL,

czytelnik PRZEGLĄDU



Podnoszenie wysokości mandatów nic nie da. Przecież już nieraz podejmowano takie zabiegi, a czy w jakiś sposób zmniejszyło to liczbę tragicznych wypadków? Nie. Natomiast kwestią niepodlegającą dyskusji jest konieczność wydawania dożywotnich zakazów wykonywania zawodu dla takich ludzi jak kierowca, który ostatnio zabił dziewczynę.

Not. Michał Sobczyk

ZBRODNIA CZY CHWAŁA

Dzieci w powstaniu warszawskim

Jacek Cezary Kamiński

Powstanie warszawskie jest numerem jeden polskiej listy przebojów historycznych. Gigantyczna klęska wojskowa, hekatomba ludności cywilnej i zagłada miasta uważane są za moralne zwycięstwo: przez państwo i jego instytucje, polityków, szkołę i społeczeństwo. Dzieje się tak, bo wciąż przemilczamy ogrom zbrodni na ludności cywilnej, w tym zagładę Woli, kilkadziesiąt tysięcy wymordowanych w ciągu kilku dni, skalę gwałtów na kobietach, cierpienia ludności cywilnej i zaangażowanie w walkę dzieci.

W polskiej opinii publicznej, z lewicową włącznie, wciąż dominuje entuzjastyczny stosunek do powstania jako moralnego zwycięstwa. To niemal dogmat ideologii państwowej III RP. O ofiarach i zniszczeniach w oficjalnych przemowach wspomina się niechętnie. Wątkiem, który zdaje się budzić niejakie zażenowanie apologetów sierpniowego zrywu, jest jedynie wykorzystanie do walki przez dowództwo AK nieletnich – nastolatków, a nawet młodszych dzieci.

Od 11 do 18 lat

Do dziś historycy nie ustalili dokładnie, jaka była skala udziału dzieci w dwóch formach zaangażowania militarnego – bezpośredniej i pomocniczej – w trakcie powstania warszawskiego. Zwykle szacuje się, że grupa ta składała się z ok. 1,1-1,2 tys. osób. Są jednak przesłanki, że mogą to być zaniżone oceny. Andrzej Czarski, autor książki „Najmłodsi żołnierze walczącej Warszawy”, podaje podobną liczbę tylko w odniesieniu do tych najmłodszych powstańców, którzy po kapitulacji trafili do obozów jenieckich. „Po upadku powstania do niewoli dostało się ponad tysiąc chłopców w wieku od 11 do 18 lat. W zadrutowanych wagonach kolejowych, pod silną niemiecką eskortą, stłoczeni po kilkadziesiąt osób rozwożeni byli po obozach jenieckich. Największa grupa dotarła do obozu w Lamsdorf – ok. 600 chłopców, a wśród kobiet – 14-, 17-letnie sanitariuszki i łączniczki”, pisał. Autor jako 14-latek sam brał udział w powstaniu, a potem trafił do wspomnianego Stalagu 344 (318) w Lamsdorf. Dziwnie



Powstańcy ze Starówki wychodzący z kanałów na ul. Nowy Świat 53, róg Wareckiej.

wyglądają kombatanckie dane zamieszczane przy jego biogramie na stronie internetowej Muzeum Powstania Warszawskiego, jeśli zważymy, że mowa o 14-letnim dziecku: numer legitymacji AK – 17690, numer jeniecki – 103335.

Przekaz propagandowy w kwestii dziecięcej epopei powstańczych zmagani jest bardzo niespójny. Z jednej strony, mamy podejście bezkrytyczne apologetyczne. Do najpopularniejszych miejsc powstańczego kultu należy pomnik Małego Powstańca na staromiejskim Podwalu. Figurka

Nieśmiertelni

Z drugiej strony, większość apologetów powstania, chyba wyczuwając, że takie bezkrytyczne podejście do dziecięcej wojaczki w XXI w. już nie bardzo uchodzi, podkreśla, że najmłodsi powstańcy nie walczyli z bronią w ręku. „Dzieciom najczęściej przydzielano rolę gońców, łączników, listonoszy. Roznosiły prasę, transportowały żywność i amunicję. Pomagały w kuchniach polowych i punktach sanitarnych. Gasiły pożary, uczestniczyły w grzebaniu zmarłych, przenosiły

funkcje łączników; z biegiem czasu, gdy napór nieprzyjaciela zwiększał się, a my broniliśmy się ciągle siłami zbyt szczupłymi, stopniowo zacierał się podział funkcji, aż w ostatnich dniach, gdy walki o blok mieszkalny osiągnęły poziom kulminacyjny, dotychczasowi łącznicy, posiadający już strzeleckie uzbrojenie, spełniali – zarówno w obronie, jak w kontrnatarciach – te same zadania co starsi koledzy”.

Historycy powstania odnotowują całkiem sporo przypadków walki z bronią w ręku znacznie młodszych dzieci niż Juliusz Kulesza. Kuriozalne przypadki młodocianych podoficerów opisywała w 2017 r. na łamach „Polska Times” Anita Czapryn: „Ale zdarzyło się i tak, że jeden z młodocianych powstańców zgłosił się do batalionu »Gozdawa« z własną bronią. Jego rodzice zginęli w czasie bombardowania już pierwszego dnia powstania. Był to 11-letni Witold Modelski, pseudonim »Warszawiak«, który szybko awansował na kaprała, uczestnicząc najpierw w walkach na Starym Mieście. We wrześniu znalazł się już w batalionie »Parasol«, który walczył na Czerniakowie. 23 września

Udział dzieci w powstaniu był planowym rozwiązaniem, skutkiem włączenia najmłodszych w działania podziemia przez dowództwo AK.

chłopca w za dużych oficerkach, zdobycznym hełmie i z wielkim automatem chyba na każdym robi wrażenie. Co roku o godzinie W zbiera się w tym miejscu spory tłum. Dominuje w nim zresztą dziecięca publiczność, bo oddanie hołdu najmłodszym żołnierzom Sierpnia '44 jest obowiązkowym punktem dla uczestników piłkarskiego turnieju trampkarzy o... Puchar Pamięci Małego Powstańca. Impreza ta jest zresztą filarem apologii powstańczej dziecięcej krucjaty. Zawody odbywają się w dniach obchodów rocznicowych od 14 lat na pobliskim stadionie Polonii.

Pomysłodawcą turnieju jest honorowy prezes KS Polonia Jerzy Piekarzewski, rodowity warszawiak, który sam w sierpniu 1944 r. miał dziesięć lat i gehennę powstania przeżył na Woli. „Organizuję Turniej o Puchar Pamięci Małego Powstańca, aby nie zaginęła pamięć o dzieciach walczących w Powstaniu Warszawskim, a w szczególności by nie zapomniano o ich szlachetności i waleczności”, wyjaśniał swoje intencje. W tym roku po raz pierwszy turniejowe drużyny wystąpiły nie pod własnymi barwami klubowymi, ale pod nazwami powstańczych jednostek Armii Krajowej. Rywalizowały więc ze sobą np. bataliony „Pięść” i „Czata 49”, Grupa „Kampinos”, Zgrupowanie „Żywiciel” czy Załoga Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Przekaz był jasny: dziesięcioletni zawodnicy wcielali się symbolicznie w powstańców warszawskich.

rannych, czyścić broń, niekiedy stały z nią na warcie”, czytamy w nowej książce Agnieszki Cudały „Warszawskie dzieci '44”. Czy tak rzeczywiście było? Granica pomiędzy łącznikiem a żołnierzem pierwszej linii często bywała płynna. Ciekawe świadectwo takiej sytuacji daje znany kronikarz



Szkolenie strzeleckie małych powstańców w Warszawie.

powstania Juliusz Kulesza, który krótko przed wybuchem walk w Warszawie skończył 16 lat. W pierwszej z książek poświęconych tej tematyce – „Z tasiemką na czołgi”, wydanej w 1979 r. – opisuje swój przypadek. Tak wspomina udział w walkach grupy rówieśników z reducty PWPW na Starym Mieście: „Wszyscy czterej pełniliśmy w drużynie początkowo

1944 r. »Warszawiak« pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Walecznych. Poległ 20 września na Wybrzeżu Czerniakowskim. To on jest patronem Sali Małego Powstańca w Muzeum Powstania Warszawskiego. Kolejnym niezrównanie dzielnym żołnierzem powstania był 14-letni Jerzy Bartnik »Magik«. On również został jednym z najmłodszych podoficerów Państwa

► Podziemnego. Był też najmłodszym żołnierzem odznaczonym najwyższym polskim odznaczeniem wojskowym – nadawanym za wybitne zasługi bojowe – Orderem Virtuti Militari”.

Nawet jeżeli zdecydowana większość młodocianych powstańców pełniła jedynie funkcje pomocnicze, trzeba wziąć pod uwagę, że wcale nie oznaczały one mniejszego zagrożenia życia niż udział w walce na pierwszej linii. Tym bardziej że – jak zauważa w książce Agnieszka Cabała – „dzieci bardzo często ginęły, m.in. dlatego,

musiał mieć przygotowany ekwipunek, w skład którego wchodziły: torba na przybory, laska harcerska (okuta metalem), nóż harcerski, latarka, podręczna apteczka, plan miasta i kilka innych przedmiotów. Cały ten zestaw miał czekać zapakowany, gotowy do zabrania. Istniał również system łączności, polegający na tym, że każdy z chłopców zawiadamiał kolejnego kolegę o miejscu i czasie koncentracji. Dlatego, wychodząc z domu, trzeba było zostawić informację, dokąd się poszło. Zawiszacy bardzo poważnie

Przekaz propagandowy w kwestii dziecięcej epopei powstańczych zmagani jest niespójny.

że nie uświadamiały sobie skali grożącego im niebezpieczeństwa, ale też nie bały się śmierci. Niektórzy młodzi ludzie poczuli się wręcz nieśmiertelni – tyle razy wychodzili cało z różnorodnych opresji, że nabrali przekonania, że im samym nic nie może się stać. Wyraz ogromnego zdziwienia w gasnących oczach śmiertelnie ранego dziecka to bardzo częsty motyw wielu wspomnień i relacji”. Jeden z takich przypadków beznamiennie opisuje Juliusz Kulesza: „Nieco wcześniej taki strzelec wyborowy (...) z mostu kolejowego zabił 14-letnią Danę Gonstółównę, córkę mego towarzysza pracy z rysowni, gdy nosiła woreczki z piaskiem do fortyfikowanego wówczas domu mieszkalnego. Była to pierwsza ofiara śmiertelna na terenie PWPW od chwili zdobycia gmachu”.

Wychowanie patriotyczne

Trzeba pamiętać, że udział dzieci w powstaniu warszawskim to nie była jakaś spontaniczna sytuacja, efekt insurekcyjnego zapału. Było to planowe rozwiązanie, będące logicznym skutkiem wcześniejszego włączenia najmłodszych w działania podziemia przez dowództwo AK. Mowa tu o zawiszakach, najmłodszej grupie metodycznej konspiracyjnego harcerstwa, Szarych Szeregów. Ta podziemna organizacja skupiała dzieci w wieku od 12 do 14 lat. W planach akowskich sztabowców zadaniem zawiszaków na czas otwartej walki zbrojnej miała być służba w zakresie regulacji ruchu, łączności i ratownictwa. „Na wypadek możliwości nieoczekiwane rozpoczęcia walk każdy zawiszak

podchodzili do tych przygotowań”, opisuje autorka „Warszawskich dzieci ‘44”. W dniach powstania warszawskiego ich najbardziej znanym dziełem była Harcerska Poczta Polowa.

Natomiast parciu samych młodych ludzi do wojaczki sprzyjało generalnie wychowanie patriotyczne w duchu insurekcyjno-romantycznym, które dominowało w okresie II RP i w konspiracyjnej edukacji. „Wychowałem się na »Dziejach porozbiorowych« Augusta Sokołowskiego, a wizje Grochowa, Igań czy Ostrołęki były w mej wyobraźni niemal obsesyjnie wyraziste i przemieszane z codzienną rzeczywistością. Stąd, gdy gruchnęły pierwsze strzały i usłyszałem słowo »powstanie«, uderzyło mnie niby prądem elektrycznym”, wspominał Juliusz Kulesza.

Na dziecku goiło się jak na psie

Osobny temat to los tysięcy warszawskich dzieci, które w powstaniu udziału nie brały, ale w taki czy inny sposób padły jego ofiarą, dzieląc los ludności cywilnej. Nikt dotąd nie policzył, ile ich zginęło, tak jak nieznana jest dokładna liczba ofiar warszawskiej hekatombi. Te, które przeżyły, wyszły często z okaleczeniami fizycznymi lub psychicznymi. „Wiele osób, które przeżyły powstanie



Pod pomnikiem Małego Powstańca na Podwalu co roku 1 sierpnia zbiera się tłum.

warszawskie jako dzieci, niechętnie do niego wraca. To zbyt bolesne. Na dodatek obawiają się braku zrozumienia. Uważają, że tylko ten, kto przeszedł przez to piekło, będzie w stanie ich zrozumieć. Tak sądził np. dziesięcioletni podczas powstania Jan Kobuszewski”, zauważa Agnieszka Cabała.

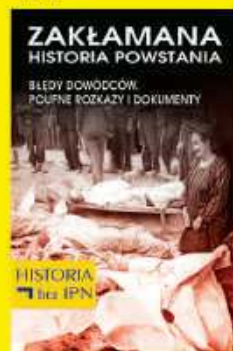
Oczywiście te reakcje są różne. Andrzej Pstrokoński, wybitny koszykarz CWKS Legia, wielokrotny reprezentant Polski, olimpijczyk i uczestnik mistrzostw Europy, w chwili wybuchu powstania miał osiem lat,

IM DALEJ OD POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, TYM MNIEJ PRAWDY



41 zł
Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów

Błędy dowódców.
Poufne rozkazy
i dokumenty
42 zł



już czwartego dnia został ranny w nogę. Dziś, z perspektywy prawie ośmiu dekad, ocenia, że powstańcza walka miała sens ze względu na pozytywne długofalowo skutki geopolityczne. – Światowi decydenci wiedzą, że z Polakami trzeba się liczyć, bo jesteśmy niepokorni – twierdzi. Mówi, że mimo odniesionej rany niewiele z tamtych dni pamięta i nie wpłynęły one jakoś

najczęściej oparte są na subiektywnych sądach, doświadczeniach własnych i rodzinnych czy też światopoglądzie. Dlatego temat ten prawdopodobnie nadal pozostanie jednym z przedmiotów odwiecznego sporu prowadzonego pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami decyzji o rozpoczęciu Godziny W”. Udziału dzieci i nieletnich w konfliktach

Formalnie więc nic nie obciąża dowództwa Armii Krajowej, które parało się zakazaniem dziś procederem. Pozostaje jednak kwestia odpowiedzialności moralnej za cierpienia, jakich doświadczyli najmłodszy żołnierze i cywile w wyniku decyzji o użyciu nieletnich do działań zbrojnych i samej decyzji o wybuchu powstania. Jest także długofalowy aspekt tego dylematu – skutki dla przyszłości narodu. 63 dni powstańczej janki przeżyły tak znaczące później dla narodowej kultury postacie jak Beata Tyszkiewicz, Krystyna Zachwatowicz-Wajda, Magdalena Zawadzka, Jarosław Abramow-Newerly, Jacek Fedorowicz, Jan Kobuszewski, Krzysztof Kowalewski czy Krzysztof Zanussi. Z drugiej strony mamy spisy nieznanym szerzej poległych nastolatków. Autorka książki „Warszawskie dzieci ‘44” publikuje listę dotyczącą tylko jednego powstańczego grobu: „Czternastolatki pochowani nie w zbiorowej mogile w Pęcicach to

Dzieci bardzo często ginęły dlatego, że nie uświadamiały sobie skali niebezpieczeństwa.

negatywnie na jego późniejsze życie. – Dziura była duża, ale pocisk wyciągnęli. Na małym dzieciaku wszystko goiło się jak na psie – nieco bagatelizuje obrażenia. – Tylko kilka momentów tkwi we mnie. Najbardziej scena z pierwszego dnia. Wychodzę do chłopaków na podwórko, a tu nagle wybucha strzelanina. Chwilę później trup Niemca leży, na środku ulicy Chopina. To się schowałem do piwnicy, ale gdzieś po półgodzinie strzelanina nieco ucichła, więc wyszedłem. Patrzę, a Niemiec nadal leży, tylko już bez pasa i bez broni – wspomina w rozmowie z nami.

Cytowana autorka popularnych książek o dzieciach w powstaniu warszawskim zadaje pytanie o ocenę ich udziału w powstańczej batalii: bohaterstwo czy barbarzyństwo? I odpowiada na nie wymijająco: „Zapewne trudno o jednoznaczną odpowiedź. Zwłaszcza że argumenty obu stron

zbrojnych nie regulowały wówczas żadne konwencje międzynarodowe. Sytuacja pod tym względem zmieniła się dopiero po wojnie, wraz z przyjęciem I i II Protokołu dodatkowego do konwencji genewskich z 12 sierpnia 1949 r. Co prawda, regulacje te początkowo wyznaczały granicę wieku, poniżej której nie można werbować dzieci do udziału

Pozostaje kwestia odpowiedzialności moralnej za cierpienia najmłodszych żołnierzy i cywilów.

w konfliktach zbrojnych, na zaledwie 15 lat, ale od początku zakazywały również wykorzystywania ich do „działań pośrednich na rzecz sił oraz grup zbrojnych”, a nie tylko do walki z bronią w ręku. Granicę wieku chronionego podwyższono w prawie międzynarodowym do 18 lat dopiero na przełomie XX i XXI w.

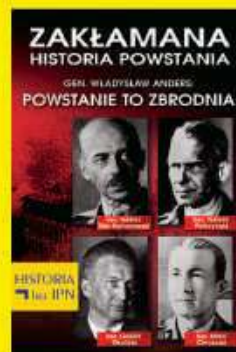
Zbigniew Chrzanowski, ps. Wilk, i Zbigniew Matraś, ps. Janek, Matecki, a także piętnastolatki: Michał Dowbor, ps. Zbyszek, i Wojciech Wajczuk, ps. Wojtek”. Nigdy nie poznamy odpowiedzi na pytanie, co straciliśmy z powodu ich przerwanych przedwcześnie egzystencji.

Jacek Cezary Kamiński



40 zł
Obłęd i głód. Nieznany „dziennik powstańczy”

Raporty oficerów AK:
To się skończy katastrofą
44 zł



43 zł
Gen. Władysław Anders: Powstanie to zbrodnia

DEMASKUJEMY
KŁAMSTWA
O POWSTANIU



Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Marcin Ogdowski

Patrząc z boku, można uznać, że Polska w przyspieszonym trybie szykuje się do wojny. Zakup tureckich dronów, decyzja o nabyciu amerykańskich czołgów czy wreszcie umowa na dostarczenie trzech fregat – takiego wzmożenia w tak krótkim czasie (dwóch miesięcy!) w tej części Europy nie obserwowano od dawna. A i sumy robią wrażenie, chodzi bowiem o ponad 1 mld zł na bezzałogowce, 23 mld zł na abramsy i co najmniej 8 mld zł na okręty. Co więcej, z resortu obrony płyną nieoficjalne informacje, że to nie koniec – że jeszcze w tym roku ma zapaść decyzja o zwiększeniu liczby kupowanych śmigłowców morskich (z czterech do ośmiu) i rozwiązaniu zastępczym dla programu „Orka”. O kupowaniu okrętów podwodnych nie ma mowy – w tym scenariuszu marynarzom będą musiały wystarczyć jednostki wypożyczone w którymś z krajów skandynawskich. Ów „pomost” zapewni możliwość realizacji zadań do czasu pojawienia się pełnoprawnych okrętów. Kiedy? O tym źródła

Patrząc z boku, można uznać, że Polska gwałtownie szykuje się do wojny. Ponad 1 mld zł na bezzałogowce, 23 mld zł na abramsy i co najmniej 8 mld zł na okręty.

milczą. Wiadomo za to, że w 2021 r. zakończy się epopeja z pozyskaniem dla polskiego wojska gąsienicowego transportera opancerzonego. Jako beneficjenta wskazuje się rodzimy przemysł, od lat pracujący nad projektem „Borsuk”. Z kopyta ruszy też rozbudowa komponentu lotniczego sił specjalnych – komandosi mają otrzymać cztery kolejne black hawki oraz od sześciu do ośmiu samolotów bliskiego wsparcia (tu wymienia się produkowane w kraju bryzy).

Sporo, zwłaszcza gdy dodamy do tego zakupy z minionych trzech lat – samoloty wielozadaniowe F-35, antyrakiety Patriot, wyrzutnie HIMARS czy pociski manewrujące JASSM. Istotne są również posunięcia w zakresie organizacyjnym – powołanie Wojsk Obrony Terytorialnej, mających dziś 20 tys. żołnierzy, oraz nowego związku taktycznego wojsk operacyjnych – 18. Dywizji Zmechanizowanej.

W medialnych deklaracjach minister obrony Mariusz Błaszczak idzie nawet dalej, zapowiadając, że docelowo armia zawodowa powinna liczyć 200 tys. żołnierzy (obecnie nieznacznie przekracza 100 tys. etatów). Czy Polska się remilitaryzuje? Przeciw komu zwieramy szyki? Czy naprawdę je zwieramy? A może to wszystko bujda, nastawiona na efekt propagandowy? Albo plan palcem na wodzie pisany, któremu stanie na przeszkodzie tyle niekorzystnych zmiennych, że już teraz lepiej założyć, że nic z niego nie wyjdzie? Pytań jest znacznie więcej, ale skupmy się na najważniejszych. Szczególnie że nie mówimy już o obronności *sensu stricto*,

ale o zabiegach związanych z chęcią utrzymania władzy. „Zbroimy się” – przy uparcie powtarzanej diagnozie, że poprzednicy nas „rozbrajali” – jest dziś jednym z głównych argumentów legitymizujących PiS. I elektorat temu wierzy, o czym świadczą choćby entuzjastyczne reakcje na zapowiedź zakupu abramsów.

Czołg na straży bramy

Trudno obronić tezę o „dywersyjnym” – do czego sprowadza się zarzut polityków PiS – rozbrajaniu wojska po 1989 r. Najpoważniejsze redukcje były efektem umów międzynarodowych i wygaszenia zimnej wojny. Wydatki na wojsko przeszły fazę zapaści w latach 90., a i później, za rządów PO-PSL, to ze środków MON chętnie wykrajano oszczędności dla budżetu. Wynikało to z ogólnej kondycji finansów i nie przyświecała temu

idea osłabienia państwa. Fakt, że do tego doszło, był niepożądanym skutkiem, choć warto zauważyć, że jednocześnie niemal cała klasa polityczna zabiegała o osadzenie Polski w gwarantujących większe bezpieczeństwo sojuszach (NATO i UE), co ostatecznie się powiodło. Poczyniono także istotne, choć wypowide, inwestycje, czego najlepszym przykładem jest zakup 48 sztuk F-16, których wdrożenie oznaczało przeskok generacyjny w siłach powietrznych. Czas jednak płynął, co w obliczu dynamicznego rozwoju technologii wojskowych doprowadziło do sytuacji, w której aż 80% użytkowanych przez armię systemów i rodzajów uzbrojenia zasługiwało na miano przestarzałych. Tak było jeszcze kilka lat temu. Skala zaniedbań wymagała szeroko zakrojonych działań modernizacyjnych, a więc i zakupów.

Jakie wyzwania rodzą taką konieczność? Abramsów dla przykładu potrzebujemy, by je rozstawić między Bramą Smoleńską a Bramą Brzeską – orzekł tuż po ogłoszeniu decyzji o zakupie minister Mariusz Błaszczak. Ów lapsus wywołał wiele krytycznych uwag pod adresem szefa MON, mającego najwyraźniej poważne problemy z geografią polityczną. „Nasze czołgi wjadą na Białoruś?”, dziwili się komentatorzy. Błaszczakowi rzecz jasna nie chodziło o inwazję na sąsiedni kraj – mówił o rozlokowaniu abramsów na ścianie wschodniej RP, na linii wyjścia ze wspomnianych bram. Kupione w Stanach czołgi mają bowiem chronić nas przed Rosją, dla której Białoruś stanowiłaby zaplecze do ataku. Mniejsza o realność tego scenariusza – w retoryce PiS kwestia rosyjskiego zagrożenia „od zawsze” była niezwykle istotna, obawy tego typu podziela bowiem istotna część elektoratu partii. Co więcej, ostatnio na takich samych lękach postanowiła zagrać opozycja



250 abramsów to zaledwie jedna trzecia potrzeb naszego wojska.

ustami Donalda Tuska, mówiącego o rosyjskich wzorcach w działalności rządu RP („nowy ład” – „ruski ład”). Paradoksalnie wzmacnia to antyrosyjskość jako postawę społeczną, tym razem w niepisowskiej części wyborców, którzy po takim „przygotowaniu” łatwiej przełkną decyzję o kosztownym zakupie, wymierzonym w „odwiecznego wroga”.

Bo liczy się wrażenie

Abramsy to faktycznie doskonała broń – żaden rosyjski odpowiednik nie wyjdzie zwycięsko ze starcia z amerykańskim gigantem (T-14 Armata, jakoby lepszy czołg, zmagający się z kłopotami „wieku niemowlęcego” i Rosjanie nadal nie są w stanie wdrożyć go do produkcji seryjnej). Lecz 250 sztuk to zaledwie jedna trzecia potrzeb naszego wojska, same czołgi zaś stracą większość atutów, jeśli nie będą elementem zintegrowanej całości. A nie będą – i tu kryje się niepopularna prawda na temat pisowskich zakupów zbrojeniowych. Jakkolwiek efektowne, umacniają negatywny trend wyspowej modernizacji wojska. Filozofia „tu trochę, tam trochę” nie poprawia zdolności bojowej armii. Abramsy – bez wsparcia sił powietrznych, bez parasola przeciwlotniczego, solidnej artylerii i wydolnego zaplecza – będą niczym toporek w ręku człowieka z zamkniętymi oczami. Jak trafią, to śmiertelnie, najpierw jednak muszą przetrwać, by

trafić... Tak naprawdę tylko zakup 32 sztuk F-35 – sporej jak na wdrożenie partii – można uznać za sensowne posunięcie. Byłby nim też – jeżeli się powiedzie – program pozyskania fregat. A reszta? Homeopatyczne zakupy patriotów nie polepszą znacząco jakości naszej obrony powietrznej, nabycie zaledwie jednego z co najmniej czterech wymaganych dywizjonów wyrzutni HIMARS nie zapewni skokowego wzrostu zdolności artylerii rakietowej. Pocisków JASSM kupiliśmy sporo, lecz flotyła ich nosicieli – F-16 – dochodzi do półmetka okresu eksploatacji, a z powodu kondycji reszty sił powietrznych jest przeciążona zadaniami. Zakup kolejnych maszyn to absolutna konieczność. I co? Ani widu, ani słychu.

Czołgi stracą większość atutów, jeśli nie będą elementem zintegrowanej całości. A nie będą. I taka jest prawda o pisowskich zakupach.

Są za to efekty propagandowe – przekonanie, że władza troszczy się o bezpieczeństwo państwa. Pouczająca jest tu historia zakupu patriotów. Podpisaliśmy umowę na dwie baterie, potrzebujemy dziewięciu, zestawy dotrą do nas za kilka lat – a pośród zwolenników PiS i tak panuje przekonanie, że problem „dziurawego nieba” został już załatwiony. Przecież minister Błaszczak wciąż powtarza: „kupilem”. To samo będzie mówił,

stając na tle abramsów. I to niebawem, bo rząd zapewnia, że pierwsze czołgi dotrą nad Wisłę w przyszłym roku, a największe dostawy nastąpią w 2023 r. Przypadek? Czołgi zza oceanu trafią do 18. DZ. Dodajmy do tego WOT, których budowa kulęje nawet po obniżeniu kryteriów zdrowotnych, ale do jesieni 2023 r. powinna się zakończyć. Uabramsonowana 18. Dywizja Zmechanizowana stanie się – przynajmniej na papierze i na wizji – najsilniejszym związkiem taktycznym WP, WOT w pełni „zalegalizuje” swój status rodzaju sił zbrojnych. PiS będzie zatem mogło użyć w kampanii wyborczej do Sejmu argumentu znaczącego wzmocnienia armii. „Proszę bardzo, oto dwa gotowe produkty”, usłyszymy i trzeba będzie specjalistycznej wiedzy, by móc się zderzyć z taką narracją. A tej wiedzy zwyczajnym ludziom po prostu brakuje. No i, historycznie patrząc, lubimy świadomość siły własnego państwa, mimo że zwykle oznacza to uleganie iluzjom.

Ambicje prezesa i generałów

O czym jeszcze mówią nam pisowskie zakupy? Sprawa abramsów dowodzi, że w partii władzy prysły złudzenia co do możliwości rodzimego przemysłu zbrojeniowego. Ślimacząca się modernizacja czołgów Leopard 2 (do standardu 2PL) i ograniczone remonty T-72 to szczyt możliwości zakładów wchodzących w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Uznano, że na tej bazie – sprzętowej i inżynierskiej – nie da się stworzyć nowoczesnego projektu czołgu. Stąd

zakup „z półki”, bez offsetu, który zresztą byłby mocno kłopotliwy. Eksploatacja abramsów nie przełoży się na zdolności polskiej zbrojeniówki, Amerykanie bowiem nie dzielą się w tym przypadku technologią. Świadomi tego związkowcy z PGZ napisali list otwarty do Andrzeja Dudy, wieszcząc śmierć zakładów zajmujących się produkcją i serwisem broni pancernej po nabyciu abramsów. Z odpowiedzią przyszedł minister Błaszczak, ►

► zapewniając o dalszym utrzymywaniu w linii wyprodukowanej w Bumarze rodziny czołgów T-72/PT-91. PGZ zyskała także wiodącą rolę w projekcie budowy fregat, których kadłuby powstaną w Polsce. Wdrożenie borsuków również pozwoli na pokaźny transfer środków na konta koncernu zbrojeniowego. PiS z oczywistych powodów nie naraża się na zarzut „zarzynania zbrojeniówki”, nawet jeśli oznacza to konieczność podtrzymywania przy życiu nieefektywnych struktur. Nie może też zrazić do siebie – i wyprowadzić na ulicę – załóg, stanowiących w dużej części elektorat partii.

Tymczasem wojsko będzie się głowić, jak obsłużyć trzy rodziny sprzętu pancernego – amerykańską, niemiecką i poradziecką. Z których ostatnia – z uwagi na fatalnie niskie parametry – powinna niezwłocznie trafić do muzeum. „Dadzą radę”, zdają się mówić politycy, głusi na argumenty wysokich kosztów. W PiS odkryto właśnie, że zbrojenia można finansować ze sprzedaży państwowych obligacji – czołgi zza oceanu mają być pierwszym zrealizowanym w ten sposób projektem. O kolejnych, choć bez konkretnych, mówił sam Jarosław Kaczyński, który ostatnio wykazuje duże zainteresowanie kwestiami obronności. Z kręgu współpracowników docierają informacje, że prezes pozazdrościł Viktorowi Orbánowi skali i tempa modernizacji sił zbrojnych. Świadom

korzyści zapragnął podobnych sukcesów – i również tym należy tłumaczyć zakupowe wzmożenie. W tle zaś mamy jeszcze typowe dla polityków bagienko – decyzje podejmowane są bowiem poza Andrzejem Dudą, formalnym zwierzchnikiem sił zbrojnych. Prezydent nigdy nie miał dużych wpływów na wojsko – dość wspomnieć, jak upokarzał go Antoni Macierewicz. Wiadomo, że „prezydencki” szef sztabu generalnego, gen. Rajmund Andrzejczak, był przeciwny abramsom. Optował za nimi dowódca generalny, gen. Jarosław Mika, uchodzący za człowieka Błaszczaka (i Kaczyńskiego). Nominalnie to Andrzejczak jest pierwszym żołnierzem RP, lecz obywateli oficerowie są czterogwiazdkowymi generałami. Zgodnie z zasadą cywilnego nadzoru w czasie pokoju to MON rządzi wojskiem – realne wpływy gen. Miki są zatem większe, niżby to wynikało z hierarchii. Zwłaszcza że za Andrzejczakiem nie stoi silny prezydent. Niezależnie od tego, kto wpadł na pomysł z abramsami, dowódca generalny przyklasnął w imieniu armii, zmuszając szefa sztabu do przeknięcia żaby dużych rozmiarów. A Kaczyński i Błaszczak wymierzili Dudzie kolejny policzek. Znamienne, że głowa państwa – tak ochoczo komentująca sprawy związane z obronnością – w sprawie abramsów wybrała milczenie.

Marcin Ogdowski

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak

Czy bunt w SLD został stłumiony? Nie, mamy raczej zawieszenie broni.

Włodzimierz Czarzasty nie ma większości w partii, nie ma jej w radzie krajowej ani w zarządzie. Jest przewodniczącym, dlatego że zawiesza tych, którzy mu się sprzeciwiają. Albo dlatego, że nie zwołuje posiedzeń ciał statutowych. Taką możliwość daje mu statut partii. Manipulując nim, Czarzasty zamierza dotrwać do kongresu zjednoczeniowego SLD i Wiosny, który zaplanowany jest na 9 października. A na kongresie chce zostać wybrany na czteroletnią kadencję. I ma plan, jak to zrobić. W statucie Nowej Lewicy zapisano, że partią kierować będą dwaj współprzewodniczący – z frakcji Wiosny i SLD. Ale ich wybór zostanie dokonany wspólnie, przez obie frakcje. Oto trik sezonu – wystarczy mieć poparcie Wiosny oraz śladowe poparcie SLD, by zostać szefem frakcji SLD i współprzewodniczącym partii.

Jak do tego doszło?

Wszystko, co najważniejsze, zdarzyło się w grudniu 2019 r., podczas konwencji SLD. To wtedy zdecydowano o połączeniu z Wiosną (Wiosna obradowała w tym samym miejscu, w innej sali; obie konwencje zostały zorganizowane w hotelu Gromada na warszawskim Okęciu). Wtedy też przyjęto statut, który dziś jest źródłem siły przewodniczącego Czarzastego.

Gdy rozmawiam z uczestnikami tej konwencji, gdy pytam ich, jakim cudem zgodzili się na taki statut, odpowiadają mniej więcej to samo: „Tak, głosowałem za statutem. Dlaczego? Wie pan, ja go nie czytałem... Powiedziano, że partia przygotowała, że fachowcy, że jest dobry, więc podniosłem rękę za. Dziś bardzo tego żałuję”.

Taka była wówczas atmosfera. Wyjątkiem był Leszek Miller, który był przeciw, mówił, że w ten sposób rozwiązywać partii nie można. Że zgodnie z ówczesnym statutem powinien się odbyć kongres, podczas którego partia zdecydowałaby, że kończy swoją działalność i jednoczy się z innym ugrupowaniem. Ale te uwagi zlekceważono.



Polska Misja Medyczna

Każdego roku z powodu braku opieki medycznej umiera 2.5 miliona noworodków. Działaj z www.PMM.org.pl

Przełącz datę 62 1240 2294 1111 0000 3718 5444

Czarzasty gra na czas

Buntownicy nie składają broni



Joanna Senyszyn, Tomasz Trela, Robert Kwiatkowski (z tyłu) i Sebastian Wierzbicki – buntownicy wciąż walczą.

„Wie pan, panowała euforia, że lewica wróciła do Sejmu, że będzie zjednoczenie – opowiada jeden z uczestników konwencji. – Że idziemy dobrą drogą. Czarzasty cały czas nas zagadywał. Wiem, że to dobrze o mnie nie świadczy. Ale tak właśnie było... Ten błąd popełniliśmy wszyscy”.

Jedni popełnili błąd, dla drugih był to początek rozgrywki.

To, że statut Nowej Lewicy, który daje olbrzymią władzę przewodniczącemu i zakłada bardzo dziwny tryb wyboru władz partyjnych, był ważnym elementem na drodze przejęcia partii, moi rozmówcy uświadomili sobie dużo później. Czyli kiedy? Tak naprawdę kilka tygodni temu. Wówczas, gdy rozpoczęły się przygotowania do kongresu zjednoczeniowego, który wyznaczono na 9 października.

Wtedy całe grono działaczy zorientowało się, że ma niewiele do powiedzenia i że wisi na łasce przewodniczącego.

I o to zaczęła się walka.

Statut wszystko opisuje. Po pierwsze, na kongres zjednoczeniowy idą dwie partie – czy też frakcje. Każda reprezentowana jest przez równą liczbę delegatów. Czyli 1:1. To już jest podejrzane, bo w samej Warszawie proporcje Wiosny i SLD są jak 66:960.

Po drugie, dwóch współprzewodniczących frakcje wybierają wspólnie. Wystarczy więc mieć poparcie

Wszystkie ciała przedstawicielskie są przeciw Czarzastemu.

jednej plus kilka głosów z drugiej – i ma się władzę. To pomysł Czarzastego. Nie musi on się starać o głosy dawnych towarzyszy z SLD, wystarczy mu oprzeć się na głosach Wiosny.

Po trzecie, statut *de facto* w ręce Czarzastego oddaje decyzję, kto będzie w nowej frakcji, a kto nie. Oto bowiem w art. 4 ust. 3 mamy zapis, że „członkostwo we frakcji nabywa się z chwilą przyjęcia przez koordynatora

frakcji oświadczenia o przystąpieniu do frakcji”, a „koordynator może nie przyjąć oświadczenia”. W takim wypadku można dochodzić swoich praw w sądzie partyjnym.

Oto więc jest sposób, by nowa partia była prywatną partią przewodniczącego.

O tym, że w SLD (czy Nowej Lewicy) wybuchł z tego powodu bunt, już pisaliśmy. Jak również o tym, że buntownicy wymyślili powołanie do życia kilku frakcji, bo wówczas podczas kongresu zjednoczeniowego będą mogli mieć większość.

Ten pomysł spalił na panewce, ponieważ Czarzasty, przed posiedzeniem zarządu partii, a także w trakcie, zawiesił swoich przeciwników. I zawieszał ich jednego po drugim, dopóki nie uzyskał potrzebnej większości.

Wtedy buntownicy zapowiedzieli zwołanie na 31 lipca posiedzenia rady krajowej. Tam mają większość. I to zdecydowaną. Podczas poprzedniego posiedzenia, jeszcze w czerwcu, większością 50:28 rada krajowa zdecydowała o zwołaniu drugiej części konwencji SLD (tej z grudnia 2019 r.), podczas której można byłoby zmienić statut partii.

Rada zwołana została na 31 lipca na podstawie art. 26 statutu, który zakłada, że może tak się zdarzyć na wniosek co najmniej 20% jej członków. Jednak w tym samym punkcie zostało zapisane, że radę krajową zwołują współprzewodniczący. I teraz pytanie: czy jeżeli jest wniosek 20% członków rady, to obowiązkowo muszą ją zwoływać?

Kto może to rozstrzygnąć? Tylko sąd. A jak długo sąd taką sprawę

będzie rozpatrywał? Rok? To jakie znaczenie będzie miał wydany wyrok, skoro 9 października ma być zjednoczenie obu partii i będą nowe władze, i wszystko będzie nowe?

Sytuacja była więc taka, że buntownicy, owszem, mogli zwołać posiedzenie rady krajowej, ale szanse na to, by Czarzasty (ze swoją grupą) uznał jej uchwały, były niewielkie. Zapowiadał się czas chaosu ▶

► i dwuwładzy. Dlatego rozpoczęły się różne działania, by wypracować jakiś kompromis. Uczestniczył w tym, jak się dowiedzieliśmy, Aleksander Kwaśniewski.

Efekt tych rozmów był taki – buntownicy w ostatniej chwili odwołali posiedzenie rady krajowej. W zamian stawiając warunek, że Czarzasty odwiesi tych, których zawiesił. Zawarli to w podpisanym przez nich oświadczeniu.

Statut Nowej Lewicy daje olbrzymią władzę przewodniczącemu i zakłada dziwny tryb wyboru władz partyjnych.

I te podpisy są najciekawsze. Bo one pokazują rzeczywisty układ sił. Otóż pod komunikatem o odwołaniu lipcowego posiedzenia rady krajowej podpisało się 23 członków zarządu i wiceprzewodniczących. Po stronie Czarzastego stoi zaledwie 11 osób (łącznie z nim). Układ sił jest więc jak 2:1.

I to jest *clou* obecnej sytuacji w Nowej Lewicy.

Wszystkie ciała przedstawicielskie są przeciw Czarzastemu. Byłby w mniejszości zarówno podczas konwencji, jak i podczas posiedzenia rady krajowej oraz zarządu. Co więcej, o ile do tej pory jego siłą były więzi dawnych działaczy ZSP, czyli Ordynacka, o tyle dziś ludzie Ordynackiej są w większości przeciwko niemu.

Dodajmy jeszcze jedno – delegatów na kongres zjednoczeniowy mają wybierać zjazdy wojewódzkie, w istniejącym, SLD-owskim składzie. Oznacza to, że na kongresie większość miałiby buntownicy. Jakiego zatem scenariusza możemy się spodziewać?

Na 10 sierpnia wyznaczone zostało posiedzenie zarządu partii, tego okrojonego, podczas którego zarząd ma odwiesić zawieszonych członków. W zamian za odwołanie posiedzenia rady krajowej. Czy tak się stanie? Tego na razie nikt nie wie. Dominuje przekonanie, że Czarzasty jednym odwiesi, drugich nie, że będzie próbował rozbijać buntowników.

To ostatnie zresztą już się dzieje, m.in. puszczona została plotka, że dogadał się z Markiem Bałtem, zawieszonym szefem struktur śląskich. Bałt później to dementował. „Mówił, że nie możemy dać się rozbić”, relacjonował jeden z tych, którzy z nim rozmawiali.

Następny termin to 17 sierpnia – do tego czasu trzeba zgłosić chęć wpisania się do frakcji. Jeżeli ktoś się nie wpisze – wypada z polityki. Tutaj możemy się spodziewać sporów zawirowań – część działaczy, zwłaszcza starszych, już ogłosiła, że do nowej frakcji nie wstąpi. Mówi

sens, jeżeli 9 października wszystko będzie inne?

Podobnie jest z konwencją – rada krajowa zobowiązała przewodniczącego do jej zwołania na 10 września. Ale co mu grozi, gdy tego nie zrobi?

Wszystko więc wskazuje, że do konwencji zjednoczeniowej Lewica będzie się zajmowała sobą. Zresztą może tak być i później. Bo wielką niewiadomą jest wciąż Wiosna. Wcale nie jest pewne, że Robert Biedroń będzie startował na stanowisko współprzewodniczącego. W gronie tych, którzy chętnie rzucają mu rękawicę, wymieniani są Krzysztof Gawkowski, szef klubu parlamentarnego Lewicy, Gabriela Morawska-Staneczka, wicemarszałkini Senatu, oraz Beata Maciejewska. Są już rozmowy i przymiarki.

Rozkład głosów Wiosny może zatem być różny. Zwłaszcza że na dobrą sprawę nie wiadomo, kto przystąpi do frakcji Wiosny (ściągnięci są tam ludzie z łapanek) i kto na kongres przyjedzie.

Nic dziwnego, że rada krajowa Nowej Lewicy rozestała po Polsce mejl, by komórki partyjne przedłożyły dokładną rejestrację tych, których do frakcji Wiosny się

Rozgrywki wyglądają żałośnie. Przewodniczący partii z uporem walczy o władzę, stosując triki jakby skopiowane z PiS i jego walki z TK.

się również, że jeśli chodzi o kandydujących, niektórzy będą przyjmowani, inni nie.

Wszystko po to, by wypchnąć z partii tych, którym Czarzasty nie ufa i których nie chce widzieć.

Kolejna rozgrywka toczyć się będzie na zjazdach wojewódzkich, na których wybierani będą delegaci na kongres zjednoczeniowy. W cieniu tego będą wisiały dwa postulaty – zwołanie posiedzenia rady krajowej i drugiej części konwencji.

Rada krajowa może zwołać kongres krajowy i odwołać kongres zjednoczeniowy. Powinna ona zbierać się co najmniej co trzy miesiące, a więc we wrześniu. Jeżeli przewodniczący jej nie zwoła, może go czekać sąd partyjny. Ale jaki będzie jego

przyjmuje, i tych którym przyjęcia się odmawia. Tylko czy będzie to skuteczne?

Z pewnej odległości te rozgrywki wyglądają żałośnie. Oto bowiem przewodniczący partii z uporem walczy o władzę, stosując triki jakby żywcem skopiowane z PiS, gdy partia ta walczyła z Trybunałem Konstytucyjnym.

Choć, dodajmy, ma o co walczyć. Bo wprawdzie taka partia, którą chce stworzyć, będzie mniejsza, pozbawiona połowy działaczy, ale będzie jego. O tym, kto na taki twór będzie głosował, już chyba nie myśli.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl





Feministyczny problem Nowej Lewicy

Lewica sięgała po kobiety w czasach kryzysu, ale nie wywiązywała się z obietnic oddania im większej władzy w ugrupowaniu

Jakub Dymek

To kobiety mają wyciągnąć Nową Lewicę z kryzysu. A przynajmniej chce w to wierzyć partia, która boryka się z kryzysem przywództwa i ma problem z poparciem w sondażach – zatrzymało się na 7-8% i nie chce rosnąć. Czy jednak pomysł postawienia na kobiety, polityczki i wyborczynie, rozwiązuje problemy Nowej Lewicy, czy tylko rzuca na nie jeszcze ostrzejsze światło? Dobre pytanie.

Dziś parlamentarzystki wszystkich trzech ugrupowań koalicyjnych lewicy, łącznie dziesiątka, jeżdżą po Polsce i odwiedzają mniejsze miasta pod hasłem „Zrobimy to lepiej!”. Posłanki Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Paulina Matysiak, Katarzyna Kotula czy wicemarszałkni Senatu Gabriela Morawska-Stanecka obiecują w piknikowej atmosferze rozmawiać z Polakami o ważnych sprawach. Ot, plan na kampanię w sezonie ogórkowym. To kolejny, po konwencji programowej prowadzonej wyłącznie przez kobiety, pomysł Nowej Lewicy z tego nurtu. Merytoryczne polityczki, zajmujące się prawdziwymi problemami, mają przeczytać wizerunkowi partii, która zajmuje się wyłącznie sprawami

tożsamościowymi, a na jej szczytach trwa walka samców o władzę.

Jednak geneza pomysłu jest mało przyjemna. Nowa Lewica wystawiła kobiety do pierwszego szeregu, by przykryć wywiad Gabrieli Morawskiej-Staneckiej dla „Gazety Wyborczej”, w którym ta oskarżała przewodniczącego Czarzastego o werbalną przemoc i groźby. Wtedy lewicowe polityczki, także te, które dziś razem z Morawską-Stanecką jeżdżą po Polsce, nie domagały się dymisji czy kary dla przewodniczącego. Samokrytyka Nowej Lewicy ograniczyła się do lakonicznych sformułowań o tym, że „nie ma zgody na seksizm”. Czarzasty przetrwał tamten wizerunkowy kryzys, tak jak na razie radzi sobie z buntem w partii. A złośliwy los chciał, że polityczki wywodzące się z Wiosny i Razem w sporze o kierownictwo i zjednoczenie Nowej Lewicy znalazły się w obozie, który gra na Czarzastego i jego zwycięstwo. I w ten sposób lewicowe polityczki, choć udzielają mediom wywiadów, w których obiecują nowy format kobiecego liderstwa, fotografują się potem w trasie z Markiem Dyduchem czy Andrzejem Szejną. Czyli sojusznikami Czarzastego, od których z kolei próbują się odcinać, gdy są zapraszane

Posłanki Nowej Lewicy ruszają w trasę po Polsce, 24 lipca 2021 r.

do studia TVN 24 czy TOK FM. To wszystko zaś w kontekście sondaży mówiących o radykalnym wzroście poparcia dla lewicy wśród kobiet i gdy badania potwierdzają, że elektorat lewicy od kilku lat się feminizuje.

Nowa Lewica znalazła się w feministycznej pułapce, którą sama na siebie zastawiła, z pomocą życzliwych jej publicystów. Partia widzi, że największe szanse na sukces wiążą się z postawieniem na młodych wyborców, przede wszystkim na młode kobiety. Jednocześnie kolejny rok z rzędu promuje mężczyzn, często niemłodych. Lewicą rządzą Czarzasty, Zandberg i Biedroń. Ten ostatni był także kandydatem na prezydenta, a gdy przyszło zaprezentować Polsce własną propozycję rzecznika praw obywatelskich, wystawiono Piotra Ikonowicza. A nie np. Agatę Nosal-Ikonowicz. W wyborach na przewodniczącego obie frakcje przedstawiały kandydatury mężczyzn, znów Biedronia i Czarzastego.

Były premier Leszek Miller, który publicznie gra na osłabienie Czarzastego, siedzi w Brukseli i zaśmiewa się w głos. „Podziwiam panie z lewicy, bo nie boją się ścierać z policją na ulicach, ale w partii jak duży kocur prychnął, to myszki się rozbiegły”, drwił w wywiadzie dla Gazeta.pl. Dziś każdemu, nie tylko Millerowi, łatwo wytknąć Nowej Lewicy hipokryzję, bo publiczne deklaracje posłanek i posłów nie pokrywają się z rzeczywistością. Lewica kilkakrotnie sięgała po kobiety w czasach kryzysu – gdy trzeba było ratować wizerunek partii w trakcie kampanii prezydenckiej Biedronia albo teraz – ale nigdy nie wywiązywała się z obietnic oddania im większej władzy w ugrupowaniu.

Lewicowe publicystki i publicyści, zakochani w Agnieszce Dziemianowicz-Bąk czy Paulinie Matysiak, tylko im szkodzą. Tworzą fałszywy wizerunek wpływowych i polityczek, które są gotowe objąć najważniejsze stanowiska nie tylko w partii, ale i w państwie. Ich sympatycy czytają takie teksty, a potem są rozczarowani, gdy się okazuje, że to nie Dziemianowicz-Bąk gra pierwsze skrzypce w partii.

Na razie im bardziej Nowa Lewica mówi, że stawia na kobiety, tym więcej ludzi widzi, że ma z tym problem.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Szczepienia problemem pracodawców

Czy rząd jesienią każe nam się szczepić obowiązkowo?

Anna Brzeska

Idzie jesień, nadchodzi czwarta fala pandemii, minister Niedzielski w radiu niemal faniącym się głosem przekonuje, że szczepionki to jedyny sposób, by z nią walczyć. Rozważany jest obowiązek szczepienia się lekarzy i nauczycieli. Rząd będzie musiał się zmierzyć z decyzjami, jak zapobiec kolejnej zapaści.

Niestety, jak pokazują ostatnie miesiące, ani elektryczne hulajnogi, ani hybrydowe samochody nie przekonały Polaków do szczepień i jest o co się martwić. Według CBOS większość społeczeństwa (52%) nie obawia się zakażenia koronawirusem. Wśród młodych (18-24 lata) takich osób jest aż 74%. Wciąż aż 27% ogółu ma niechętny stosunek do szczepień, a w grupie 18-24 lata szczepić się nie chce aż 45%.

I trudno się dziwić wobec wzmożonego ataku ludzi od antyszczepionkowych teorii spiskowych. Wiele też osób po prostu nie czuje potrzeby klucia się „dla zdrowia”. Wśród badanych, którzy nie chcą się zaszczepić, połowa w ogóle nie obawia się zakażenia, a 29% „raczej się tego nie boi”.

Mamy również problem w postaci słabości systemu ochrony zdrowia, do którego zaufanie podkopują lata zaniedbań, upadków oraz indywidualne doświadczenia obywateli. Pośród mejli i komentarzy od wkurzonych antyszczepionkowców, których zbulwersował mój artykuł o strasznych szczepieniach lekarzami (PRZEGŁĄD nr 31), otrzymałam także bardzo uprzejmy list, w którym pewien pan wprost mi wyznaje, że nie ma z kim porozmawiać o swoich wątpliwościach. A ma wątpliwości uzasadnione, w związku z wcześniejszą niepokojącą reakcją jego organizmu na różne zabiegi medyczne. Lekarz, z którym rozmawiał, „machnął ręką” i zalecił szczepienie. Trudno się dziwić obawom takich osób. Brakuje nam edukacji – ale też poczucia, że system

nas chroni i czuwa. Brakuje uwagi lekarzy, którzy, zawałeni papierkową robotą, ubolewają, że nie mają więcej czasu dla pacjentów. Teraz rząd zbiera kwaśne owoce zaniedbywania tych problemów przez lata.

Czy więc pozostaje przymus jako najszybsze rozwiązanie? Włoski Narodowy Instytut Zdrowia pokazał niedawno dane, z których wynika, że osoby niezaszczepione przeciw COVID-19 chorują dziesięć razy częściej (pisała o tym w lipcu „Rzeczpospolita”). Czy rząd ma prawo dopuścić do tego, by osoby te miały np. w pracy kontakt z dużymi grupami ludzi, wśród których mogą być zagrożeni ciężkim zachorowaniem, czasem niezaszczepieni ze względu na przeciwwskazania zdrowotne?

Decyzyjna wolnoamerykanka

Na razie wygląda to tak, że każdy, kto stoi na czele jakiejś firmy czy instytucji, według własnych przekonań ustala zasady postępowania wobec niezaszczepionych. To budzi kontrowersje.

Wiosną przez media przetoczyły się doniesienia o domniemanym „zmuszaniu do szczepień” żołnierzy Wojska Polskiego. Chodziło rzecz jasna nie o fizyczne zmuszanie, ale o blokowanie rozwoju zawodowego niezaszczepionym. W sprawie interweniował nawet ówczesny rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, kierując pismo do ministra obrony narodowej. Wprawdzie uznał za zrozumiałe wprowadzone w armii reguły bezpieczeństwa, które na udział w szkoleniach i kursach zezwalają wyłącznie zaszczepionym, jednak wyraził wątpliwość co do kwestii opiniowania służbowego żołnierzy w zależności od ich postawy wobec szczepień. Wskazał, że obowiązek szczepień nie został przecież formalnie wprowadzony przez ministra zdrowia.

MON w odpowiedzi wyjaśniło, że żołnierze, „którzy poddają się szczepieniom, wykazują się



odpowiedzialnością oraz minimalizują ryzyko zakażenia innych”, czym tłumaczono decyzję o uwzględnieniu faktu zaszczepienia przy opiniowaniu. Jednocześnie zaznaczono, że brak szczepienia przeciw COVID-19 nie będzie skutkował obniżeniem oceny żołnierza.

Z kolei na Uniwersytecie Śląskim zadecydowano, że od października akademiki uczelni będą dostępne tylko dla zaszczepionych studentów.

Brak dialogu i mszczące się błędy

Takich sytuacji i wątpliwości wobec braku jasnego stanowiska rządu będzie więcej. Przedstawiciele pracodawców zgłosili już rządowi pomysł przepisów, które dałyby im możliwość weryfikowania, czy pracownicy się zaszczepili. A co na to pracownicy? W rozmowach ze związkowcami widoczne są spore różnice przekonań co do ewentualnego obowiązku szczepień. Gładko takie rozwiązanie nie przejdzie.

Andrzej Radzikowski, szef OPZZ, stawia na dialog: – Uważam, że jeśli takie pomysły pojawiają się w rządzie albo u pracodawców, to zanim się je ogłosi i otrąbi sukces w mediach, powinny zostać przeprowadzone rozmowy w Radzie Dialogu Społecznego. Trzeba się zastanowić, jakie grupy powinny zostać ewentualnie objęte takim obowiązkiem, przygotować tych pracowników, stworzyć klimat



jakiś obawy w społeczeństwie. Teraz brak tego wyboru się mści.

Solidarność mówi „nie” segregacji

Marek Lewandowski, rzecznik prasowy Komisji Krajowej NSZZ Solidarność: – Jeżeli szczepienia co do zasady są dobrowolne, zmuszanie kogokolwiek, pod jakimkolwiek pozorem, do szczepień jest złamaniem tej zasady i nosi znamiona segregacji sanitarnej. Trzeba być konsekwentnym. Skoro rząd uważa, że szczepienia są tak kluczowe, niech uczyni je obowiązkowymi, podobnie jak obowiązkowe są inne szczepienia, i weźmie za taką decyzję odpowiedzialność. Tego jednak nie zrobiono i ma to logiczne konsekwencje. Są one takie, że każdy ma prawo wyboru. Jeśli więc ktoś z niego skorzystał i się nie zaszczepił, nie wolno go dyskryminować.

Teraz mówi się o obowiązkowych szczepieniach dla pracowników handlu. Gdzie była ta troska, gdy pandemia szalała?

do tego typu zmian. U nas zaś wszystko robi się odwrotnie – od ogłoszenia decyzji w mediach, a dopiero na końcu omawia się je w Radzie. Widać wyraźnie, że dialog społeczny nie jest szanowany. Tymczasem o potencjalnym obowiązku szczepień mówimy już ze dwa miesiące, jedna z organizacji pracodawców wysłała w tej sprawie list do premiera, a powinien on trafić do przewodniczącego RDS. Od tego jest Rada, by przynajmniej próbować rozwiązywać tego typu problemy.

Szef OPZZ zwrócił też uwagę na istotny problem z realizacją potencjalnego ograniczenia dostępności usług dla osób niezaszczepionych. – Teraz mamy obowiązek chodzenia w maseczkach w pomieszczeniach zamkniętych, w tramwajach, autobusach i sklepach. I proszę się rozejrzeć – sprzedawcy przestali reagować na brak maseczek, bo ludzie, którzy odmawiają ich noszenia, bywają agresywni. Sprzedawcy zostali z tym problemem sami. Jeśli mielibyśmy wprowadzić paszporty covidowe jako warunek wstępu, jak sobie wyobrażamy realizację takiej zasady? Kto miałby je sprawdzać? Policjant przed każdą restauracją czy kinem? Podejrzewam, że pracownicy raczej nie będą mieli odwagi.

I jeszcze ważny argument ekonomiczny: – Niezaszczepionych wciąż jest kilkanaście milionów, to połowa społeczeństwa. Czy jeśli zabronimy im wstępu do różnych miejsc lub do pracy, straty gospodarcze nie będą zbyt wysokie? Obroty przedsiębiorców spadną nagle o połowę – mówi Andrzej Radzikowski.

Przeciwko obowiązkowi szczepień dla nauczycieli opowiedział się także Sławomir Broniarz, szef ZNP, tłumacząc, że odsetek szczepień w tej grupie zawodowej jest wysoki i lepsze byłoby tu zachęty niż restrykcje.

– Z nauczycielami mamy złożony problem i widać tu skutki złej polityki rządu – dodaje Andrzej Radzikowski. – ZNP występował przeciw z inicjatywą przyspieszenia szczepień. Tylko co wtedy się stało? Podjęto decyzję, że wszyscy nauczyciele zostaną zaszczepieni produktem AstrZeneki, mimo że w tamtym czasie trzy europejskie państwa wstrzymały jego dystrybucję. To nie pozostało bez wpływu na chęć zaszczepienia się w tej grupie zawodowej. Na początku chciało to zrobić zdecydowanie więcej nauczycieli, lecz gdy zapadła decyzja, że może to być wyłącznie AstraZeneca, wiele osób się wycofało. Rząd powinien wówczas zostawić nauczycielom wybór co do rodzaju szczepionki, skoro pojawiły się

W Europie już mamy do czynienia z segregacją sanitarną. Ludzie niezaszczepieni są szykanowani, utrudnia się im życie na wiele sposobów. To niedopuszczalne.

Również Lewandowski wymienia błędy, które prowadzą do spadku zaufania obywateli do rządu: – Wokół szczepień ciągle zmienia się narracja, wciąż jesteśmy w jakimś zakresie okłamywani. Gdy rozpoczęto szczepienia, na oficjalnych stronach Ministerstwa Zdrowia mogliśmy przeczytać, że szczepiąc się, będziemy „chronić innych”. Szybko się okazało, że to nieprawda, bo nawet w rekomendacjach Europejskiej Agencji Leków, dopuszczających szczepienia na rynek, od początku było napisane, że nie jest jasne, czy osoby szczepione nie będą zakażać innych. Co więcej, w Wielkiej Brytanii czy Izraelu, gdzie większość ludzi jest zaszczepiona, pandemia trwa. I choć rzeczywiście mniej osób trafia do szpitali, ludzie zauważają sprzeczności przekazu, widzą, że jest inaczej, niż mówiono, i wyciągają wnioski.

Rzecznik Solidarności ma też do rządu żal o niesprawiedliwość w traktowaniu różnych grup: – Wychodzi tu pewna hipokryzja. Teraz mówi się o obowiązkowych szczepieniach dla pracowników handlu. Gdzie była ta

► troska o nich, gdy pandemia szalała i zakażały się tysiące ludzi dziennie? Wtedy ci pracownicy nie zostali objęci szczepieniami, mimo że pracownik kasy w markecie w ciągu zmiany obsługuje kilkaset osób. Lekarze zostali zaszczepieni w pierwszej kolejności, bo społeczeństwo w pewnym sensie oddało im swoje szczepionki, a i tak leczyli pacjentów zdalnie. Efektem były utrudniony dostęp do ochrony zdrowia i nadmiarowa liczba zgonów pozacovidowych.

Czy więc Solidarność opowiada się za obowiązkiem szczepień dla wszystkich? – Nie będę się wypowiadał na ten temat, bo się na tym nie znam – mówi Marek Lewandowski.

Odpowiedzialność jak gorący kartofel

Piotr Szumlewicz, szef związku zawodowego Związkowa Alternatywa, jest odmiennego zdania: – Jeśli chodzi o zdrowie, kluczowe jest dobro wspólne, dobro społeczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że szczepienia są jedyną ochroną przed epidemią i zapaścią systemu ochrony zdrowia. Tymczasem działania podejmowane przez rząd nie zdają egzaminu i szczepi się coraz mniej osób. Wprowadzenie obowiązkowych szczepień, być może stopniowo, zaczynając od grup zawodowych mających w pracy kontakt z dużą liczbą ludzi, jest więc

szybciej się rozprzestrzeniać, a mała liczba zaszczepionych przyczynia się do rozwoju nowych mutacji.

Kto ma podjąć taką decyzję? – Potrzebne są podstawa prawna i jednoznaczne przepisy wprowadzone przez władzę centralną po konsultacjach z ekspertami – mówi szef Związkowej Alternatywy. – Niestety, obecny rząd zrobił wiele, by zmarginalizować ich rolę w decyzjach dotyczących zdrowia publicznego – epidemiolodzy i lekarze odgrywają w tym procesie stosunkowo małą rolę. Szkoda, bo powinni odgrywać kluczową. Decyzja o obowiązku szczepień powinna zatem należeć do rządu, na gruncie rekomendacji ekspertów. Obawiam się jednak sytuacji, że rząd będzie miękko zapewniał, że „popiera szczepienia”, ale wobec lęku przed różnicą zdań zostawi każdemu – np. pracodawcom czy kierującym różnymi instytucjami – swobodę decyzji co do obowiązków pracowników. To spowoduje lawinę procesów sądowych, których wynik, wobec braku jasnego prawa, będzie zależny od przekonań sędziów. Skutki takiego podejścia widzieliśmy już, gdy rządzący przez pół roku nie mogli wprowadzić obowiązku noszenia maseczek, przez co ich przeciwnicy mogli się powoływać na brak podstawy prawnej do ukarania. Władza powinna podjąć decyzje, wziąć za nie odpowiedzialność i jasno powiedzieć, że wprowadzamy obowiązek szczepień, przynajmniej w pewnych grupach, jeśli nie od razu dla wszystkich – albo wobec braku tych decyzji wziąć odpowiedzialność za zapaść systemu opieki zdrowotnej i śmierć kolejnych osób.

Piotr Szumlewicz dodaje, że nawet wewnątrz jego związku zdania mogą być podzielone: – Wiem, że mogę się narazić wielu osobom, ale jako lider muszę jasno powiedzieć, że jako odpowiedzialni ludzie, którzy pracują z innymi, musimy się szczepić. Wszystkie związki zawodowe powinny jednogłośnie popierać akcje szczepień wśród pracowników, w tym optować za ich obowiązkiem.

Niestety, jedynomyślności nie ma nawet wśród związkowców. Jednak gorący kartofel ktoś musi w końcu złapać – decyzyjna wolnoamerykańka i brak planu nie pomogą nam powstrzymać czwartej fali.

Anna Brzeska

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Decyzja o obowiązku szczepień powinna należeć do rządu, na gruncie rekomendacji ekspertów.

– Sam się zaszczepiłem, ponieważ nie widziałem przeciwwskazań, choć praktycznie nie choruję. Słucham medyków, którzy mówią, że tylko szczepienia są w stanie powstrzymać pandemię. Jednak wątpię w to, bo z żadnym wirusem jeszcze sobie do końca nie poradziłem mimo powszechności szczepień. One mutują, wyprzedzają szczepionki – grypa jest tego najlepszym przykładem. Uważam więc, że jeśli szczepionka chroni szczepiącego się przed ciężkim zachorowaniem i śmiercią, jest dobrowolna i ogólnodostępna, nie mamy prawa wprowadzać żadnych innych obostrzeń. Każdy, kto się nie szczepi, robi to na własną odpowiedzialność, musząc liczyć się z tym, że umrze. To jego wola i jego prawo.

dobrym pomysłem. Obowiązek powinien dotyczyć szczególnie takich zawodów jak medycy czy pracownicy szkolnictwa. Nie wyobrażam sobie przyzwolenia na to, by celowo niezszytych się lekarze mieliby być źródłem rozprzestrzeniania się wirusa – to oznaczałoby złamanie przez nich podstawowych zasad pracy w ochronie zdrowia. Podobnie jeśli chodzi o nauczycieli, zwłaszcza że nie ma na razie rekomendacji dla szczepień u dzieci poniżej 12. roku życia. Jeśli niezaszczepieni nauczyciele mieliby zakażać je koronawirusem, należałoby to chyba uznać za przestępstwo. Dla dobra społeczeństwa powinien więc zostać wprowadzony obowiązek szczepień, tym bardziej że nowe warianty są coraz groźniejsze i mogą

Pozew przeciwko wiceministrowi Jabłońskiemu

Mec. Kalisz w obronie „Przeglądu”

5 lipca 2021 r. mec. Ryszard Kalisz wystąpił do Pawła Jabłońskiego, podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ostateczne przedsądowe wezwanie do zaniechania naruszeń dóbr osobistych „Przeglądu” i wydającej go fundacji poprzez:

– wezwanie wydawcy internetowego programu „Tłit” Grupy Wirtualna Polska SA do trwałego usunięcia programu z dnia 7 maja 2021 r., w którym to „udzielił Pan wywiadu, zawierającego stwierdzenia niepolegające na prawdzie, tj. wygłoszone bezpodstawnie i obraźliwe twierdzenia dot. Tygodnika »Przegląd« stanowiące bezsprzecznie bezprawne naruszenie dóbr osobistych mojej Mocodawczyni”,

– opublikowanie przeprosin na głównej stronie portalu internetowego Wirtualna Polska (www.wp.pl) oraz na stronie „Przeglądu” (www.tygodnikprzeglad.pl).

Z Galicji



Jan Widacki

Genetyk

Jeśli prof. Wiesław Wysocki, teolog z wykształcenia, zajmuje się biografistyką, to nic dziwnego, że myli mu się ona na ogół z hagiografią, a w konsekwencji pisane przez niego biogramy wzorowane są na żywotach świętych. To jeszcze można przeżyć, a nawet trochę się pośmiać. Gdy czczonym przez siebie „żołnierzom wyklętym” przypisuje cechy anielskie, to już gorzej, na pewno nie do śmiechu, ale i to można jakoś przeżyć. Jeśli jednak przy takim dorobku naukowym i takim warsztacie można zostać na uczelni publicznej kierownikiem Katedry Historii Najnowszej, kształcić studentów i młodą kadrę, to już całkiem nie jest do śmiechu.

Ale ostatnio prof. Wysocki przeszedł sam siebie. Przeanalizował mianowicie na antenie TVP Info wystąpienie Donalda Tuska w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. Dla przypomnienia, były premier, a obecny szef Platformy, w krótkim, pięknym i mądrym wystąpieniu przypomniał słowa poety powstańca Stanisława Marcza-Oborskiego z wiersza „Do Powstańca”: „Pamiętaj: nie wolno ci zwątpić w wolność, co przyjdzie, choćbyś padł...”. Tusk powiedział, że słowa te są dziś tak samo ważne i aktualne, jak były 77 lat temu. Powiedział, że trzeba pamiętać, iż powstańcy ginęli po to, abyśmy – kiedy zatrzymamy się na dźwięk syren w rocznicę wybuchu powstania – mogli, gdy głos syren ścichnie, wracać do normalnego, bezpiecznego życia wolnych ludzi. Co więcej, zdaniem Tuska nasza wolność nadaje szczególny sens ofierze powstańców i dlatego nie możemy w nią zwątpić. „Jesteśmy im to winni. Chwała bohaterom”, zakończył były premier.

Temu, że recenzujący tę wypowiedź w TVP Info teologohistoryk nie nadał za myśl byłego premiera i dlatego nazwał ją „pokrętną”, specjalnie się nie dziwię. Sprawność intelektualna jest cechą indywidualną. Można ją mieć albo nie. Można mieć, ale z niej nie korzystać. To się mieści w granicach wolności każdej jednostki.

Ale prof. Wysocki poszedł jeszcze co najmniej kilka kroków dalej i przekroczył dopuszczalną granicę. Powiedział mianowicie, „Myślę, że w Tusku nie ma jednak tego genu polskiego, a przynajmniej jest on o wiele słabszy i zagłuszony przez gen niemiecki”.

Dokonajmy zatem analizy tego zdania. Wynika z niego, że – po pierwsze – prof. Wysocki uważa, że myśli. Każdemu wolno mieć dobre zdanie o sobie. Po drugie, że uważa on, iż istnieją geny narodowe (np. gen polski, gen

niemiecki). Otóż nie istnieją. Ani w sensie biologicznym, ani przenośnym kulturowym, ani żadnym innym. Mówienie o takich „genach” jest nie tylko absurdem w świetle stanu nauki XXI w., ale wprost nawiązaniem do najobrzydliwszych teorii rasistowskich XIX i XX w. Prof. Wysocki jest członkiem Komitetu Obrony Dobrego Imienia Polski i Polaków. Głoszenie rasistowskich haseł budowaniu na świecie dobrego imienia Polaków chyba jednak nie służy.

Na koniec problem natury metodologicznej. Jakimi to metodami prof. Wysocki mierzy siły dostrzeganych przez siebie genów i jak to wyliczył, że gen polski jest u Tuska słabszy od genu niemieckiego? Empirycznie? Przez iluminację? Zważywszy na wykształcenie profesora, stawiałbym raczej na to drugie. Ale wiadomo, „Duch, kędy chce, tchnie” (J 3,8), no i tu ewidentnie nie chciał.

Czy koledzy prof. Wysockiego z UKSW akceptują dokonywany przez niego pomiar poziomu „polactwa” w Polaku?

Temu, że najbardziej skrajni propagandziści PiS robią od lat, co mogą, by „ciemny lud”, który wedle samego szefa TVP „wszystko kupi”, kojarzył Donalda Tuska z Niemcami (poczynając od „dziadka z Wehrmachtu”), się nie dziwię, choć jest to obrzydliwe i głupie. Ale jest na ich poziomie. Gdy zaś do tego chóru dołącza profesor, wyższej uczelni w końcu, gdy robi to w sposób nie tylko obrzydliwy, lecz także obrażający naukę i nadużywający zaufania społecznego do nauki i środowiska naukowego, to można by chyba oczekiwać jakiejś reakcji środowiska naukowego.

Czy koledzy prof. Wysockiego z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego też dostrzegają „narodowe geny” i mierzą siłę ich oddziaływania na poszczególne jednostki? Czy akceptują dokonywany przez ich kolegę pomiar poziomu „polactwa” w Polaku i dostrzegają zmagania narodowych genów ujawniające się w wypowiedziach? Co na to środowisko historyków? Czy za takie wypowiedzi nie powinien ich autor spotkać środowiskowy ostracyzm? A wracając do genów i do nauki. Patriotyzm na pewno nie jest uwarunkowany genetycznie. A głupota?

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

W covidzie mało seksu, mało ciąż

W 2020 roku w Polsce urodziło się najmniej dzieci od II wojny światowej. Rok 2021 wskutek pandemii nie będzie lepszy



Beata Igielska

Więcej dzieci nie zaczęło się rodzić dzięki 500+ i raczej nie urodzi się dzięki zasiłkom z Polskiego Ładu. Do rządzących jednak to nie dociera, mimo że takie dane przynosi marcowy raport Centrum Badań i Analiz Rynku dla Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej. Wynika z niego, że ludzie oczekują nie tyle pieniędzy, ile stabilnych warunków pracy. Chcą też dzielić się obowiązkami przy wychowaniu dzieci. Czyli raport pokazuje, że Polacy chcą mieć dzieci, a pracę zawodową postrzegają pozytywnie. Chcą usług, a nie tylko transferów finansowych. To ogromna zmiana, bo jeszcze 15 lat temu było duże zapotrzebowanie na transfery. Fakt, że badania zlecone przez rząd przyniosły takie wyniki, jest paradoksem.

– Wykształcone kobiety, aby mogły podjąć decyzję o dziecku, potrzebują wysokiej jakości żłobków i przedszkoli. Usługi opiekuńcze są potrzebne także pozostałym grupom społecznym. 500+ pomaga w zapewnieniu dzieciom dobrych

warunków życia, można opłacać zagębia pozaszkolne, ale ta kwota nie wystarczy na wychowanie dziecka. Nie powinniśmy forsować żadnego sposobu życia. Owszem, żłobki są potrzebne. Ale są też rodziny, które wolą zajmować się dziećmi same. Potrzebny jest miks rozwiązań rządowych w myśl zasady dla każdego coś dobrego – mówi prof. Anna Matysiak

trudności w dostępie do służby zdrowia, kobiety mogły nie chcieć korzystać z opieki lekarskiej w obawie przed zarażeniem koronawirusem. Nie wiadomo też, czy będzie recesja. To ludzi hamuje.

35% Polek legitymuje się wykształceniem wyższym, o prawie 11% więcej niż mężczyzn. Polki są jednymi z najlepiej wykształconych kobiet

Polki należą do najlepiej wykształconych kobiet w UE. Dlaczego miałyby rezygnować z rozwoju na rzecz posiadania dzieci?

z Katedry Ekonomii Ludności i Demografii Wydziału Nauk Ekonomicznych UW, laureatka prestiżowego grantu Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych – European Research Council (ERC).

Zdaniem prof. Matysiak pandemia miała jednak duży wpływ na spadek liczby urodzeń. Ale to, że teraz dzieci się nie rodzą, nie oznacza, że nie urodzą się później, gdy skończy się sytuacja, która była wielkim szokiem. Niektórzy stracili przecież źródła dochodu. Ponadto pandemia oznaczała

w Unii Europejskiej. Dlaczego więc miałyby rezygnować z rozwoju osobistego na rzecz posiadania dzieci? Dotacje państwowe nie przemawiają do kobiety z wyższym wykształceniem, bo nie zrekompensują straty. Dodatkowo drastycznie zmienione prawo aborcyjne „gwarantuje” większe prawdopodobieństwo posiadania dziecka z niepełnosprawnością. Konsekwencją jest zamknięcie kobiety w domu na niemal całe życie. Czy nie jest to skuteczny środek antykoncepcyjny?

– Polskie kobiety są lepiej wykształcone niż mężczyźni już od dawna. Szkoda, że wiele z nich nic w życiu nie robi z tym wykształceniem. Wpadają w rolę matki i pani domu. Uzależniają się całkowicie od partnera, a gdy dzieci podrosną, ten odchodzi do młodszej. Kobieta zostaje bez pieniędzy, bez doświadczenia zawodowego, bez perspektyw. Wnuków jeszcze nie ma, co wynika z decyzji młodych o odroczeniu macierzyństwa. I co tu robić? Pojawia się depresja – mówi Ewa Jarczewska-Gerc, adiunkt na Wydziale Psychologii Uniwersytetu SWPS, psycholog społeczny, trener biznesu.

Prof. Matysiak uważa, że Polski Ład proponujący transfer finansowy w wysokości 12 tys. zł za urodzenie dziecka przyspieszy tylko decyzje o urodzeniu dzieci, które i tak były zaplanowane, ale na nieco później. Nie wpłynie natomiast znacząco na zwiększenie liczby dzieci, na które kobieta decyduje się w cyklu swojego życia. Ludzie myślą racjonalnie: skoro i tak planowaliśmy mieć dziecko, tylko że np. za dwa lata, to miejmy je teraz, bo rząd daje spore pieniądze, a za dwa lata może z tego się wycofać. To też oznacza, że za jakiś czas liczba urodzeń znów spadnie, bo planowane na później dzieci urodzą się po prostu wcześniej, ale niekoniecznie urodzi się ich więcej.

– Ta polityka jest problematyczna, bo funduje społeczeństwu falowanie wyżów i niżów urodzeń. Zwłaszcza teraz może ona się przyczynić do nasilenia pocovidowego wyżu urodzeń. To będzie miało w przyszłości konsekwencje dla organizacji liczby miejsc w szkołach, dostania się na wymarzone studia czy wejścia na rynek pracy. Po jakimś czasie jednak liczba urodzeń prawdopodobnie zmaleje – konkluduje prof. Anna Matysiak.

Nie chcę rodzić potworka

Co zaś się tyczy wyroku Trybunału Konstytucyjnego, trudno powiedzieć, w jakim stopniu ma on przełożenie

na decyzje o rodzicielstwie. Kobiety starsze, które już mają jedno dziecko i zaspokojoną potrzebę macierzyństwa, mogą bardziej się zastanawiać nad kolejną ciążą, skoro wady letalne płodu są związane z wiekiem matki.

– Wyrok w dłuższej perspektywie może podzielać tak, że kobiety te nie zdecydują się na kolejne dziecko. Jednocześnie kobiety mogą się zdecydować na dzieci wcześniej, właśnie żeby zmniejszyć ryzyko urodzenia dziecka z wadą letalną. Wreszcie kobietom lepiej wykształconym i o wyższych

Rząd niby zachęca do posiadania dzieci, ale nie inwestuje w warunki rozwoju przyszłych rodziców i ich potomków.

dochodach może być akurat nieco łatwiej podjąć decyzję o dziecku, gdyż mają lepsze zasoby (językowe, finansowe), a więc może im być łatwiej usunąć ciążę za granicą. To może się przyczynić do wzrostu nierówności, gdyż dzieci z ciężkimi wadami, wymagające opieki i nakładów finansowych, będą wówczas częściej się rodzić w grupach społecznych, które i bez tego znajdowały się w relatywnie gorszej sytuacji ekonomicznej – zwraca uwagę prof. Matysiak.

Z kolei zdaniem prof. Piotra Sieroszewskiego, specjalisty perinatologa, położnika i ginekologa z Kliniki Medycyny Płodu i Ginekologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, wiceprezesa Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników, wyrok TK zakazujący zakończenia ciąży w przypadku wad letalnych wyraźnie nie przysłużył się dietności.

– Kobiety boją się zachodzić w ciążę, bo jakby coś takiego się wydarzyło, zostają same z problemem. Nie wszystkie są zdecydowane, żeby szukać rozwiązania za granicą. Inna sprawa, że w społeczeństwach rozwiniętych, a takim już jesteśmy, przesuwają się granice wieku urodzenia pierwszego dziecka. Kiedyś uczono nas terminu stara pierworódka na określenie

30-letniej kobiety w pierwszej ciąży. Dziś taki wiek to norma. Statystyczna mediana urodzenia pierwszego dziecka w Polsce przekroczyła 30 lat. Dzisiejsi 20-, 30-latkowie myślą najpierw o sobie: fajna praca i awans, drugi fakultet skończy, podróżować będę. Dziecko kiedyś tam urodzę. Ale jest granica biologiczna, o czym się zapomina. Moje pacjentki mówią: jeszcze nie teraz, nie pojadę przecież na koncert z brzuchem, nie wyjadę na Mazury na łódkę. Każdy żyje dniem dzisiejszym – wylicza prof. Sieroszewski.

Jakkolwiek by patrzeć na problem dietności, pozostają twarde fakty: w maju tego roku urodziło się 27,5 tys. dzieci, a w czerwcu 28,8 tys., o 3 tys. mniej niż w analogicznych miesiącach roku ubiegłego.

– Mnie specjalnie nie martwi ani nie dziwi, że Polki urodziły mniej dzieci. Ziemia wcale nie chce nosić więcej ludzi. Wydieramy ją pod hodowle, pod mieszkania – komentuje Ewa Jarczewska-Gerc. – Może wreszcie macierzyństwa będą bardziej świadome? Może nie będziemy produkować ludzi nieszczęśliwych, niedostosowanych społecznie, tylko będą to ludzie, którzy potrafią zarządzać sobą, swoim stresem, emocjami? Taki świadomy człowiek będzie miał wyższy dobrostan, ale też będzie wartościowym elementem społeczności.

Dlaczego dzieci się nie rodzą?

Ewa Jarczewska-Gerc wymienia kilka przyczyn małej liczby ciąż: wykształcenie kobiet i rosnąca z nim świadomość, że mają do odegrania w życiu więcej niż jedynie rolę biologiczną. Kolejny czynnik: trochę egoistyczna postawa wynikająca ze świadomości, że można fajnie żyć bez dziecka. Najnowsze badania, z lipca, wykonane na reprezentatywnej próbie przez zespół naukowców pod kierunkiem Ewy Jarczewskiej-Gerc pokazały, że ludzie, którzy mają dzieci, mają też wyższy poziom stresu. Ale również wyższy dobrostan.

– Wniosek? Dobre życie wymaga nieco stresu wynikającego z trudności zadań do wykonania. To nas

Mediana wieku w Polsce jest niższa od średniej w UE. W 2018 r. wynosiła ona 40,6. Przeciętna Polka ma 43 lata, a Polak – 39 lat. Kobiety są statystycznie starsze, bo dłużej żyją. W Wielkiej Brytanii mediana wieku wynosi 40,1, w Niemczech i we Włoszech – 45,9, na Słowacji – 40,2. Najmłodszy w Unii są Irlandczycy – mediana wieku wynosi 36,9. Przeciętny Amerykanin ma lat 38,2. To najwyższy wynik w historii USA.

► mobilizuje. Poza tym posiadanie dzieci aktywizuje. Taka prosta sprawa – trzeba wychodzić na dwór. Co ciekawe, im więcej ma się dzieci, tym wyższy dobrostan. Czyli warto mieć dzieci, ale pod warunkiem, że będzie to racjonalna, świadoma decyzja – podsumowuje psycholog.

Dominującego, jak mogłoby się wydawać, wpływu na małą liczbę ciąż nie miał szczyt pandemii koronawirusa, który mógł nie sprzyjać prokreacji jesienią 2020 r. Świadczą o tym wypowiedzi kobiet, które na Facebooku dyskutowały o powodach niezachodzenia w ciążę. Jedynie z wypowiedzi Ilony wychynęła pandemia: „Wiele młodych mam wstrzymało decyzję o zajściu w ciążę z powodu niewiadomego i licznych historii oddzielania matek od noworodków w czasie pandemii na wiele dni. Ja bym oszalała”.

Gabinety psychologów, psychiatrów i seksuologów pękają w szwach. Sytuacja na pewno nie sprzyjała prokreacji.

Małgorzata: „Tu chodzi raczej o brak bezpieczeństwa socjalnego młodych, brak perspektyw na mieszkanie oraz stałej pracy – i wszechobecne śmieciówki”.

Beata: „Stawiam na niepewność przyszłości. My w tej niepewności żyjemy już wiele lat, a pandemia tylko ją uwypukliła, u niektórych mocniej, innym jedynie przypomniała, że czas pewności dawno minął. Do tego dochodzi brak stabilizacji prawnej, ekonomicznej, gospodarczej. To moim zdaniem dominujące powody odraczania decyzji o macierzyństwie”.

Bez seksu nie ma dzieci

Internautka Karina do tego kotła łęków i niepewności dorzuca covidowe pogorszenie relacji międzyludzkich. Fakt: nie było randek, odraczano śluby i wesela, związki sypały się z powodu kłótni. Brakowało intymności, spokoju, komfortu, czyli wszystkiego, co powinno towarzyszyć

podejmowaniu współżycia seksualnego. W pandemii prawie nie było seksu, więc nie może być dzieci.

– Kiedy ludzie wychodzili normalnie do pracy, współżyli dwa razy w tygodniu. Gdy przyszła pandemia, małe polskie mieszkania dokuczyły rodzinom również w sferze intymnej – mówi dr Stanisław Dulko, seksuolog. – Dzieci nie chodziły do szkoły, całe dni odbywało się zdalne nauczanie, zdalna praca i np. była babcia do kompletu. 24 godziny na dobę ze sobą. Narastały konflikty, nieporozumienia. Życiu seksualnemu nie pomagało, jeśli bliscy znajomi albo członek rodziny umierali na covid. Na coś takiego nie byliśmy kompletnie przygotowani. Obecnie więc gabinety pedagogów, psychologów, psychiatrów, ale i seksuologów pękają w szwach. Sytuacja na pewno nie sprzyjała prokreacji.

Statystyki urodzeń ją odzwierciedlają. Ale jest nieco za wcześnie na pełną ocenę prokreacji w pandemii.

Prof. Piotr Sieroszewski: – Co dzień widzę ten spadek liczby kobiet ciężarnych. Pandemia rzeczywiście wystraszyła ludzi myślących zdroworozsądkowo, a planujących rodzinę. Boją się, bo nie wiedzą, czy zakażenie koronawirusem może wpłynąć negatywnie na matkę i dziecko, czekają na doniesienia naukowe, odraczają decyzję o prokreacji.

„Ludzie młodzi nie widzą perspektyw do założenia rodziny. W tak niepewnym świecie posiadanie dziecka jest obciążone dużym ryzykiem, a polityka prorodzinna nie przynosi efektów”, pisze Krystyna Iglicka, profesor nauk ekonomicznych, demograf, ekspert Komisji Europejskiej oraz Centrum Stosunków Międzynarodowych ds. migracji i demografii na łamach serwisu publicystycznego WszystkoCoNajważniejsze.pl w artykule „Czy Nowy Ład pomoże polskiej

demografii?”. Rządowy plan „kładzie duży nacisk na ulgi na dzieci, dofinansowanie do mieszkań i kredytów na budowę domu. Rodzi jednak również wiele niewiadomych. Pierwsza z nich to realność jego powodzenia. Druga – to pomysł mieszkania bez wkładu własnego, który stanowi duże ryzyko dla banków. Wzrost ryzyka może rodzic wyższe raty kredytowe. Nie wiadomo również, jaką politykę przyjmie Narodowy Bank Polski w warunkach rosnącej inflacji. Trzecia – to wysokość czynszów oraz lokalizacja takich mieszkań. Ich umiejscowienie na przedmieściach miast wymusza rozbudowę szeregu obiektów infrastrukturalnych, w tym żłobków i przedszkoli”. Zdaniem prof. Iglickiej trzeba zauważyć wpływ na dietność niedokończony proces urbanizacji: 40% Polaków żyje na wsi, ale młodzi chcą żyć w miastach, podróżować i nie obciążać się ratami kredytowymi na kolejne kilkadziesiąt lat. Woleliby zmieniać mieszkania co kilka lat wraz ze zmianą miejsca pracy i sytuacji rodzinnej. Tak jest we wszystkich krajach wysokorozwiniętych. Rząd niby zachęca do posiadania dzieci, ale nie inwestuje w warunki rozwoju przyszłych rodziców i ich potomków.

Co więc począć z tą niską dietnością? Prof. Iglicka wyjście widzi we właściwej polityce społecznej i opiekuńczej oraz tzw. silver economy, inwestującej w osoby starsze i warunki ich życia. Ważne już dziś powinny być projekty infrastrukturalne, miasto przyjazne osobom starszym. „Osiedla z odpowiednimi schodami, z poręczami, ze wspólną strefą socjalną, turystyka (czyli również obfita i niedroga oferta w sezonie jesienno-wiosennym, krajowa i zagraniczna), profesjonalna geriatra, uzdrowiska i sektor opiekuńczy również w obszarze nowych technologii. Jest to również szansa dla młodych w tym segmencie rynku pracy, który będzie obejmował właśnie rozwój silver economy. Pod warunkiem że zaczniemy działać teraz”. No właśnie. Tylko w ten sposób możemy starszych Polaków długo utrzymać w aktywności zawodowej i publicznej. Wyższy wiek emerytalny nie będzie karą, pracą przymusową, na którą nie mają ochoty ani siły. Będzie zaś wynikał z chęci.

Beata Iglicka

b.iglicka@tygodnikprzeglad.pl

Sprostowanie

W związku z nieprawdziwymi informacjami nt. Grupy Gobarto SA podanymi w artykule „Chlewnia przy pełnikowej łące” informujemy, że Grupa Gobarto SA to polska firma zajmująca się produkcją żywności. Spółka działa na rodzimym rynku rolno-spożywczym od 30 lat. Większościowym udziałowcem Grupy Gobarto SA jest polska spółka akcyjna – Cedrob, posiadająca 86,43% akcji.



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Turbokapitalizm niszczy sport

Zawsze kochałem sport. Grałem w piłkę nożną, siatkówkę, piłkę ręczną, koszykówkę, hokeja, skakałem w dal. Nieźle się zapowiadałem. Moje umiejętności sportowe zapewniały mi uznanie na podwórku i w szkole, co w przypadku bardzo dobrego ucznia, którym byłem, ratowało mi często skórę (szkolni twardziele byli moimi kumplami z boiska). Jak każdy chłopak marzyłem o karierze piłkarza. Zwyciężyła jednak miłość do książek, pozostała pasja kibica. Przede wszystkim hokejowego. Nie zapomnę meczów rozgrywanych na lodowisku bydgoskiej Polonii. Nie miało ono zadaszenia, a temperatura czasami spadała grubo poniżej zera. Marzliśmy niemiłosiernie. Jednak emocje były tak wielkie, a my tacy młodzi, że nic nie mogło nam zaszkodzić (z powodu wieku nie rozgrzewaliśmy się, tak jak dorośli, herbatką z prądem pitą z termosów). Szczególnie wtedy, gdy w grę wchodziły derby, czyli mecze z lokalnym rywalem, znakomitym Pomorzanie Toruń. Były to złote czasy polskiego hokeja, nasza drużyna narodowa grała zawsze w grupie najlepszych i czasami sprawiała wspaniałe niespodzianki – wygrała np. z hegemoniczną w owym czasie drużyną ZSRR. Kibicowałem także bydgoskiemu Zawiszy, choć w piłkę wolałem raczej grać, niż przyglądać się, jak grają inni.

Jednak nie o swoich przygodach ze sportem chciałbym tutaj pisać. Chodzi mi bowiem o rzecz ważniejszą. O to mianowicie, co ze sportem zrobił turbokapitalizm. Otóż zabił on ducha wspólnotowości, zniszczył lojalność i bezinteresowność. Pozbawił sport poezji i ducha. Kiedyś drużyny były skądś, w sensie reprezentowania jakiejś wspólnoty. Ich członkowie byli przywiązani do barw klubowych, transfery zdarzały się niezwykle rzadko i były zawsze przyjmowane z oburzeniem przez kibiców. Sportowców i kibiców łączyła miłość do miejsca – lokalny patriotyzm. Liczyła się przede wszystkim drużyna; indywidualna kariera, chociaż ważna, nie przysłaniała przywiązania do wspólnoty. Dziś w wielkim sporcie nic z tego nie zostało. Sportowcy są jak zaciężni żołnierze, idą tam, gdzie im lepiej zapłacą. Liczy się ich indywidualny interes. Są przedsiębiorstwami, nastawionymi przede wszystkim na zysk. Zmieniają kluby i miejsca zamieszkania, czasami jedynie udając sentyment do tych, w których pobyli nieco dłużej. Ich wartość to przede wszystkim wartość rynkowa – ile można na nich zarobić i ile oni sami mogą zarobić. Sport dzisiaj to biznes taki sam jak każdy inny. Kluby są często spółkami akcyjnymi i muszą zarabiać, ich

właściciele mogą nawet nie lubić sportu, nie ma to znaczenia. Kibice wciąż udają przed sobą i resztą świata, że jakaś drużyna to ich skarb – choć wszyscy jej członkowie to „wojsko zaciężne” – aczkolwiek coraz częściej dociera do nich, że to jedynie biznes i nic więcej.

Wielkie pieniądze skorumpowały sport, tak jak korumpują każdą dziedzinę naszego życia. Niszczą wartości wyższe, odzierają nasze życie z poezji i tego, dla czego w ogóle warto żyć: bezinteresownej miłości do ludzi i miejsc. W ten sposób stajemy się coraz bogatsi materialnie i coraz ubożsi duchowo. Karlejemy. Jak porównać dzisiejszych sportowców do uczestników greckich olimpiad? Ci ostatni zadowalali się wieńcem laurowym i wieczną sławą. Dzisiejsze gwiazdy sportu to bardziej chodzące kalkulatory, nienasytzeni zdobywcy wysokich pensji i premii za zwycięstwo. Nagradzani nieproporcjonalnie do swoich zasług, narcystyczni i próżni. Publiczność zaś to darmowi marketingowcy, dzięki ich przywiązaniu lepiej sprzedają się gadzety okoloosportowe, owe kubki, koszuli i czapeczki z logo klubu.

Co będzie jednak, gdy i kibice zrozumieją, że są jedynie narzędziem w rękach możnych sportowego świata, którzy bezlitośnie żerują na ich niedzisiejszym umiłowaniu bycia razem, tworzenia wspólnoty, na ich pasji i sympatii? Kiedy odwrócą się od plastikowego sportu wielkich pieniędzy, nieautentycznych wzruszeń i fabrykowanych uczuć? To pytanie o kwestie ważniejsze niż sam sport. To pytanie o przyszłość świata, z którego wyparowały bezinteresowność i poezja, miłość i przyjaźń, które nie dbają o wzajemność i w pogardzie mają jakkolwiek definiowany zysk. Bezlitośnie płaskiego świata wiecznej kalkulacji i ciągłego nienasycenia. Ludzi traktowanych jak towary i towarów traktowanych jak ludzie. Świata niebędącego w stanie zrozumieć pasji grupy chłopaków z kiepskiej dzielnicy prowincjonalnego miasta, którym wydawało się przez kilka godzin w tygodniu, że są najszczęśliwsi na świecie, kibicując swojej drużynie złożonej z zawodników, którzy grali, bo kochali grać, a nie grali, bo kochali pieniądze. Świata bogatego i pustego. Jeśli duch prawdziwego sportu ocaleje, to jedynie w małych i biednych klubach z miasteczek i wsi, gdzie jeszcze pozostało coś z ducha dawnej wspólnoty. Gdzie nie ma pieniędzy, a standard szatni woła o pomstę do nieba, lecz zachowało się trochę autentyzmu, szczerości i naiwności. Resztki niekapitalistycznego świata. Sensu.

Sportowcy są jak zaciężni żołnierze, idą tam, gdzie im lepiej zapłacą.

Akcja wydobywania
utopionych zwierząt
z jeziora Ińsko,
4 lutego 2021 r.



Zofia Bąbczyńska-Jelonek

Dramat jeleni

Ludzka bezmyślność niesie śmierć zwierzętom

– Te jelenie zachowywały się jak ludzie. One płakały, wyły, wskakiwały jeden na drugiego. Łączyły się porożami. Trudno było je rozdzielić – Piotr Kowalkowski, naczelnik OSP w Ińsku, do dziś pamięta akcję ratunkową z 3 lutego br.

Po południu strażacy zostali zaalarmowani, że w okolicy miejscowości Ścienne (gmina Ińsko w Zachodniopomorskiem) wpadło do zamrożonego jeziora Ińsko stado jeleni, kilkadziesiąt zwierząt. Załamał się pod nimi lód. Akcja ratunkowa trwała dwa dni. Zwierzęta ratowali strażacy ze Stargardu, oddziału OSP z Chociwła, Ińska i Długich oraz policja i leśnicy. Niestety, większość jeleni utonęła. Świadkowie zeznali, że „przerażone zwierzęta uciekały, bo zostały wystraszone hukami petard”. Zdaniem leśników i myśliwych jelenie to zwierzęta o silnym instynkcie samozachowawczym, nie weszłyby z własnej woli na zamrożone jezioro.

Nie rozumiwały, że chcemy im pomóc

– Po dotarciu na miejsce, ze względu na głębokość wody, która wynosiła ok 70 cm, i czas, który w tym momencie był bardzo ważny, aby uratować jak najwięcej zwierząt, postanowiliśmy wejść na sanie i przysunąć

się jak najbliżej tonącego stada. Dzięki temu udało się uratować kilka sztuk więcej – relacjonują strażacy z OSP Ińsko. Część jeleni wracała do wody. Niektóre uratowane byki udało się ogrzać. Te o własnych siłach wróciły do lasu. – Zwierzęta nie rozumiały, że chcemy im pomóc. Same chciały jeszcze się bronić – dodaje Mariusz Milewski, powiatowy strażnik rybacki, uczestnik akcji ratowniczej.

Te jelenie zachowywały się jak ludzie – płakały, wyły, wskakiwały jeden na drugiego.

Ludzie wyciągnęli z wody i uratowali 15 jeleni. Część utopionych zwierząt wydobyto od razu, ale nie wszystkie. Jak wyjaśnia mł. kpt. Rafał Matysiak z Komendy Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Stargardzie, było już późno i ciemno, panowały niekorzystne warunki atmosferyczne, co mogłoby narażać zdrowie i życie strażaków. Te zwierzęta, które pozostały w wodzie, wydobyto następnego dnia. W sumie było ich 19.

Miesiąc później spod lodu wypłynęły truchta kolejnych jeleni. Wyłowili je ratownicy WOPR Ińsko razem z myśliwymi i leśnikami. – Najprawdopodobniej trafiły one pod lód, kiedy w amoku, tratując się nawzajem, próbowały wydostać się z przerębli – uważają myśliwi z Braci Łowieckiej. Bilans tragedii zwiększył się. W lutym i marcu wydobyto z jeziora Ińsko 26 jeleni.

Policja została powiadomiona, że prawdopodobnie do tragedii jeleni przyczynili się ludzie. Potwierdzają to opinie łowczego Arkadiusza Borkowskiego z koła łowieckiego Głowacz w Szczecinie. Na podstawie złożonego przez koło zawiadomienia o przestępstwie Prokuratura Rejonowa w Stargardzie prowadzi obecnie śledztwo pod kątem znęcania się nad zwierzętami.

Władze Ińska i łowczy z tego okręgu domagają się zmiany prawa

i zaostrenia przepisów dla zbieraczy poroża.

Cenne poroże

Łowczy mówią wprost, że to zbieracze poroża są odpowiedzialni za śmierć tych zwierząt. W lutym rozpoczął się sezon zrzutów poroża jeleni, trwający z reguły do połowy kwietnia. Arkadiusz Borkowski jest krytyczny wobec zbieraczy: – Wszystkim im się wydaje, że te byki, wpadając w gęstwiny, będą sobie utracęły poroże. A poroże to konkretne pieniądze, i to duże. Za kilogram rogu jelenia, tzw. zrzut, można otrzymać ponad 100 zł.

– Starsze, dorodne byki jelenia zaczynają zrzucać już w styczniu, a młodsze w marcu, kwietniu, maju i czerwcu – wyjaśnia Marek Grugel, łowczy okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego w Bydgoszczy. – Ludzie skrzykują się nawet na forach internetowych, wymieniają informacjami. Niektórzy szukają poroża hobbystycznie, inni dla zarobku.

Mobilne skupki w tym roku za kilogram poroża płacą ok. 130 zł. Za dwie tyki jednego jelenia można zarobić nawet 800 zł. Tyka to pojedyncze poroże jelenia szlachetnego; może ważyć 3-4 kg. Zrzuty można sprzedać w skupie lub wystawić na internetowej licytacji. Okazy ponadprzeciętnej wielkości są poszukiwane przez kolekcjonerów, którzy mogą zaproponować znacznie większe pieniądze niż w skupach. Z poroża wykonuje się najprzeróżniejsze ozdoby i części do ekskluzywnych mebli (szczególnie eksportowanych na Zachód). Wykorzystuje je medycyna azjatycka, zwłaszcza jako składnik leków na potencję, afrodyzjaki i suplementy diety. Bywa też stosowane w kosmetykach.

Zbieracze poroża interesują się nie tylko jeleniami. Wiosną, od kwietnia do czerwca, ruszają na kolejne łowy – szukają pojedynczych rosoch łosi i łopat danieli. Jesienią też nie próżnują – ich łupem stają się parostki samców saren, kozłów, zrzucane zwykle pod koniec października.

Zbieractwem poroża para się z reguły miejscowa ludność z leśnych osad lub wsi położonych na obrzeżach kompleksów leśnych. Jak informują Lasy Państwowe, zbieractwo poroża jest legalne, ale pod pewnymi warunkami. Dozwolone jest zbieranie pojedynczych zrzutów poroży, czaszki

z rogami stanowią własność skarbu państwa i nie wolno ich ruszać, należy natomiast zawiadomić leśników o takim znalezisku, by nie zostać posądzonym o kłusownictwo. Trzeba też przestrzegać dwóch podstawowych zasad: po pierwsze, nie wolno płoszyć zwierząt, zmuszać ich do biegu, licząc, że podczas ucieczki odpadnie stare poroże; po drugie, należy unikać ostoi zwierzyny oraz innych terenów objętych ochroną. Inaczej mamy tragedię, jak nad jeziorem Ińsko.

Niech wykupują licencje

– Nie chodzi o te pieniądze, czy to jest 100, czy 150 zł, tylko o dobrostan zwierząt, który nie ma ceny – podkreśla Jacek Liwak, burmistrz Ińska. Stąd inicjuje zakaz zbiorów poroża i apel do władz o zmianę przepisów. – Nadleśnictwa niech sprzedają

odpowiedzialna jest postanka Katarzyna Piekarska, szefowa Parlamentarnego Zespołu Przyjaciół Zwierząt. Projekt zakłada zakaz sprzedaży i używania materiałów pirotechnicznych klasy F2 i F3 przez większość roku. To popularne petardy i fajerwerki generujące hałas, które możemy nabyć jako osoby prywatne. Pokazy w sylwestra będą możliwe tylko wtedy, jeśli rada gminy podejmie stosowną uchwałę. Wówczas 31 grudnia i 1 stycznia nie będzie grzywny za tę rozrywkę.

„Fajerwerki, w tym zwłaszcza petardy, bywają używane w pobliżu lasu, gdzie przerażone powodowanymi przez nie hukami zwierzęta są narażone na cierpienie, a nawet utratę zdrowia lub życia. Zdarzają się przypadki zwierząt w lesie, które padły ze strachu od huków fajerwerków, oraz zwierząt, które na skutek dźwięków i błysków wywołanych

Łowczy mówią wprost, że za śmierć kilkudziesięciu jeleni w jeziorze Ińsko odpowiedzialni są zbieracze poroża.

licencje. Skoro ci ludzie zarabiają na tym pieniądze, niech wykupują licencję – uważa łowczy Borkowski. Jest też pomysł, by wzorem krajów zachodnich zakazać zbiorów poroża. Na razie Lasy Państwowe wprowadziły wzmożone patrole na terenach leśnych w ramach akcji „Wieniec”.

Ale to nie wszystko. Nad dobrostanem zwierząt narażonych na huk petard pochylają się także politycy. Koalicja Obywatelska 20 lipca br. złożyła w Sejmie projekt nowelizacji ustawy o materiałach wybuchowych do użytku cywilnego. Ma on m.in. ograniczyć użycie oraz sprzedaż fajerwerków i petard dla dobra zwierząt. Za projekt

przez fajerwerki zostały wybudzone ze snu zimowego, co miało poważne skutki dla przetrwania przez niego zimy”, czytamy w uzasadnieniu projektu. Położymy sylwestrowych huków są też martwe ptaki. Badania nad wpływem fajerwerków na ptaki prowadzi w Polsce Fundacja Szklane Pułapki.

Katarzyna Piekarska przygotowuje też projekt nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt, która obejmie problemy zwierząt nękanych hukami petard. Szkoda tylko, że dopiero tragiczna śmierć kilkudziesięciu jeleni zmusiła ludzi do zastanowienia się nad skutkami płoszenia zwierzyny.

Na szczycie

Któż nie marzy, by stanąć na szczycie pięknej góry? Możliwie wysokiej. Góry przez duże G. Ale zanim wyruszymy na tę eskapadę, warto sięgnąć po „Na Szczycie. Magazyn Ludzi Gór”. Bo w nim, po pierwsze, nasze góry, czyli Tatry, Beskid Śląski, Góry Izerskie i Bieszczady. Po drugie, Miłka Raulin, najmłodsza Polka, która zdobyła Koronę Ziemi. A po trzecie, trochę sentymentalne przeżycie, które chyba każdy ma w życiorysie: gorący, letni wieczór i dobiegająca ze schroniska muzyka Starego Dobrego Małżeństwa czy Wolnej Grupy Bukowina. Może muzyka była inna, ale atmosfera niezapomniana. *JeD*



Umarła Nasza Klasa

Portal stał się nieopłacalny, a jego użytkownicy uciekli na inne platformy



Bronisław Tumilowicz

Portal społecznościowy Nasza Klasa został oficjalnie zamknięty 27 lipca 2021 r. o godz. 23.59. Po prostu stał się nieopłacalny dla właściciela, a jego użytkownicy puciekali do innych społecznościówek, takich jak Facebook czy Instagram.

Na pomysł Naszej Klasy wpadli studenci z Wrocławia, wzorując się na podobnej inicjatywie zagranicznej, Classmates.com, a nazwę wzięli z piosenki Jacka Kaczmarskiego. Komunikator miał umożliwiać użytkownikom odnajdywanie osób ze szkolnych lat i odnawianie kontaktów. Z czasem nabrał charakteru wielopoziomowej platformy komunikacji dla polskich użytkowników internetu, na której można było też grać w gry. W szczytowym okresie Nasza Klasa miała 14 mln aktywnych kont, bo tylu ludzi nawiązywało kontakty z byłymi kolegami i koleżankami ze szkoły. Początkowo z usług portalu korzystała jedna trzecia rodaków. Z czasem jednak liczba zainteresowanych zaczęła spadać, z powodu wzrostu popularności portali o zasięgu globalnym.

Autor tego tekstu pamięta pierwszą konferencję prasową Naszej

Klasy w Warszawie i sceptyczne głosy dziennikarzy, zapowiadających już wtedy, w 2006 r., kłopoty w upowszechnieniu tej usługi w obliczu startującego w Polsce Facebooka. Proroctwa okazały się prawdziwe, choć po kilkunastu latach, trochę z powodu polityki właścicieli i założycieli portalu, trochę ze względu na przemiany pokoleniowe, a trochę przez zaostrzenie dostępu do danych osobowych. Ale jeszcze w czasie kampanii prezydenckiej w 2010 r. tacy kandydaci jak Bronisław Komorowski, Grzegorz Napieralski, Andrzej Olechowski, Andrzej Lepper, Waldemar Pawlak czy Janusz Korwin-Mikke mieli tu profile i starali się zdobyć popularność jako „byli uczniowie”. Powoli jednak zaczynały się wykruszać grupy absolwentów szkół różnego typu, a na scenę wchodzili ci, którzy szkołę pamiętali jako stres i koszmar, a grupę rówieśniczą jako uczestników wyścigu szczurów. Dodatkowo Nasza Klasa kilkakrotnie zmieniała właścicieli.

Na portalu wprowadzano zmiany, m.in. dotyczące ochrony danych osobowych, zaczęto też obarczać użytkowników dodatkowymi kosztami za dawniej darmowe funkcje i wprowadzano inwazyjne reklamy.

To spowodowało spadek oglądalności i serwis znalazł się poza pierwszą dziesiątką najczęściej odwiedzanych witryn. Od 2010 r. stopniowo wygasało jego pierwotne przeznaczenie, ustępując miejsca miłośnikom gier komputerowych. Jeden z publicystów napisał nawet: „Facebook i inne aplikacje nie tylko odfity Naszej Klasie użytkowników, ale zepchnęły ją na pozycję lekkiego obciachu. Próby reanimacji się nie powiodły”.

Statystyki były nieubłagane. Z 14 mln użytkowników zostało ich w 2019 r. 1,2 mln, a w 2020 r. tylko 1 mln. Podobnie było z liczbą odston w miesiącu, która leciała na łeb na szyję. W sierpniu 2019 r. NK miała ich 47,5 mln, a w sierpniu 2020 r. już tylko 38,3 mln.

Co sądzą o śmierci Naszej Klasy jej założyciele? Nie udało się skontaktować z żadnym z nich, są już zbyt głęboko zaangażowani w inne biznesy. Maciej Popowicz jest miliarderm, jednym z najbogatszych ludzi w Polsce, ale największe pieniądze przyniosło mu zarządzanie spółką związaną z grami komputerowymi. „Nasza Klasa to była wspaniała przygoda, od inwestorów wiele się nauczyliśmy. To był przyspieszony kurs MBA i solidne fundamenty pod prowadzenie kolejnego biznesu”, powiedział kiedyś wrocławskiemu czasopismu. A pozostali? Paweł Olchawa związany był, jak można się zorientować z wpisów na FB, z Wyższą Szkołą Bankową we Wrocławiu, podobnie jak Arkadiusz Pernal. Michał Bartoszkiewicz i Łukasz Adziński pełnili ważne funkcje w firmach informatycznych. Wiadomo tylko, że jeszcze jako studenci zaczęli zarządzać milionami złotych.

Próbowaliśmy też skontaktować się z ostatnim właścicielem portalu, aby się dowiedzieć, czy nie sprzedałby praw do adresu NK.pl. Agnieszka Skrzypek-Makowska, kierownik komunikacji zewnętrznej Ringier Axel Springer Polska, odpowiedziała krótko: – Jeśli chodzi o oferty dotyczące samej marki NK, jesteśmy otwarci na propozycje współpracy.

Czy jednak w dobie, kiedy szkolnictwo zostało oddane w ręce takiego specjalisty jak minister Przemysław Czarnek, ktoś jeszcze będzie chciał poszukiwać kolegów i koleżanek z klasy?

b.tumilowicz@tygodnikprzeklad.pl

Zuzanna Muszyńska

Pingdemia atakuje Wyspy

600 tys. Anglików tygodniowo trafia na samoizolację

Wielka Brytania jest pierwsza w Europie i siódma na świecie pod względem oficjalnej liczby zgonów na COVID-19, których do końca lipca odnotowano tam niemal 130 tys. Obecnie trwa trzecia fala zachorowań. Zbiega się ona ze znoszeniem przez rząd obostrzeń oraz kryzysem w życiu codziennym spowodowanym samoizolowaniem się setek tysięcy Brytyjczyków, którzy korzystają z aplikacji na smartfony NHS COVID-19.

Torysi lubią ryzyko

Nawet milion uczniów nie doczekało końca roku szkolnego w klasach, kiedy w lipcu całe roczniki wysyłano do domów z powodu wykrycia choćby jednego zainfekowanego podopiecznego. Stały się pociągi i autobusy, gdyż zabrakło personelu do obsługi systemów sygnalizacji w kluczowych węzłach komunikacyjnych. Właściciele domów w Liverpoolu i Bristolu nie mogli wystawić na ulice odpadów ogrodowych w wyznaczonym dniu tygodnia – z powodu braku kierowców odwiołała wywózkę śmieci. Tesco poinformowało, że z powodu przestojów w transporcie marnuje się tygodniowo 48 ton żywności. Sieć handlowa Marks & Spencer zapowiedziała, że jeśli liczba samoizolujących się pracowników marketów utrzyma się na poziomie 20%, nieuchronnie będzie skrócenie godzin otwarcia niektórych sklepów. Nieplanowane nieobecności spowodowały produkcję w fabrykach samochodów Vauxhall w Luton pod Londynem oraz Nissana w Sunderland na północy kraju. Royal Mail

Pingdemia wywołuje ping – powiadomienie, które wysłała aplikacja, jeśli jej użytkownik przez minimum 15 minut przebywał 2 m od osoby zakażonej.

miała problem z dostarczeniem na czas listów i paczek, na stacjach benzynowych groziły niedobory paliwa. W sklepach zabrakło podstawowych artykułów, takich jak pieczywo i mleko, prasę obiegły zdjęcia pustych pótek witających klientów w różnych rejonach kraju. Całe załogi pubów i restauracji, które ledwo co otwarto



Zwolnieni z obowiązku samoizolacji będą podwójnie zaszczepieni oraz dzieci i młodzież do 18. roku życia.

dla gości, szły na chorobowe z powodu pinga. Właścicielom często nie pozostawało nic innego, jak ponownie zamknąć biznesy.

Szczytowa fala zachorowań, której spodziewano się w sierpniu, przyszła w połowie lipca, krótko przed zapowiedzianym od dawna zniesieniem restrykcji. Kiedy liczba dziennych przypadków przekroczyła 50 tys., Anglia

na sierpień nawet 100 tys. zachorowań dziennie. Ostatniego dnia lipca w całym Zjednoczonym Królestwie odnotowano 26 144 nowe przypadki covidu i 71 zgonów.

Minister Javid nazywa obecny etap „zarządzaniem ryzykiem”. Łato to najlepszy okres na znoszenie restrykcji, dzieci mają wakacje, nie roznoszą wirusa. Nie przewiduje się na razie dla studentów powracających we wrześniu na uczelnie obowiązku legitymowania się paszportem covidowym. Procentuje inwestycja w fantastyczny program szczepień – do końca lipca pierwszą dawkę otrzymało ponad 39 mln mieszkańców Anglii powyżej 18. roku życia (88,4%), drugą prawie 32 mln (71,7%). Najwyższy jak dotąd poziom zakażeń w całym Zjednoczonym Królestwie (Anglia, Walia, Szkocja, Irlandia Północna) to 81 tys. z 29 grudnia 2020 r. Sajid Javid podkreśla, że najistotniejsza jest liczba hospitalizacji i zgonów. ▶

- Najwyższa dotąd była 19 stycznia 2021 r. – 1359, to niewiele mniej, niż odnotowano w lipcu 2021 r. przez cały miesiąc.

Następuje preferowane przez rząd torysów odejście od narzucania odgórných zasad w kierunku indywidualnej odpowiedzialności i rozsądku obywateli. Według premiera Johnsona „należałoby” zakładać maseczki w zatłoczonych pomieszczeniach, a obsługa nocnych klubów „mogłaby” sprawdzać, czy goście są zaszczepieni lub czy przeszli covid. Ale nic na siłę.

Naukowcy kontra biznes

„The Guardian” publikuje artykuł zapowiadający możliwe przywrócenie obostrzeń w sierpniu, po czterech tygodniach relatywnych swobód – na co czytelnicy reagują brakiem entuzjazmu. Żle się dzieje teraz, na co więc czekać, argumentuje pielęgniarz zatrudniony w pogotowiu ratunkowym. Opisuje kolejkowiczów z covidowego serwisu telefonicznego, sfrustrowanych oczekiwaniem przez co najmniej kwadrans na zasadnicze pytanie, czy chory oddycha. Karetki pod szpitalami oczekujące na wolne miejsca przez ponad dwie i pół godziny, a w nich personel w kombinezonach ochronnych, bez możliwości wypicia choćby łyka wody, o przerwie na posiłek nie mówiąc. Ktoś inny ostrzega, żeby nie dostosowywać

aplikacji NHS do upodobań społeczeństwa, nie zwalniać z obowiązku samoizolacji kluczowych pracowników, przywrócić obowiązek noszenia maseczek i zachowywania odstępu, poczekać z otwarciem miejsc, gdzie wirus roznosi się najszybciej, takich jak kluby nocne czy stadiony.

W obliczu wzrostu zachorowań i kryzysu spowodowanego pingdemią rząd powinien się spodziewać skrajnie różnych reakcji społecznych. Tak właśnie może wyglądać „życie z wirusem” – jeśli liczba hospitalizacji będzie nadal rosła, w sierpniu wróci obowiązek noszenia maseczek i pracy z domu. Sprzeczne z opiniami naukowców są oczywiście głosy

Sieć supermarketów musiała zatrudnić 3 tys. pracowników tymczasowych w miejsce tych, których aplikacja skierowała na samoizolację.

świata biznesu. Na razie rząd zdecydował, że wysłucha tych drugich, i wprowadził złagodzone zasady dla pracowników 16 kluczowych gałęzi gospodarki (m.in. służby zdrowia, transportu, energetyki, produkcji żywności). Łagodniejsze zasady nie obejmują jednak pracowników handlu.

Pingdemie wywołuje ping, powiadomienie, które wysyła rządowa aplikacja, jeśli jej użytkownik przez minimum 15 minut przebywał w promieniu 2 m od osoby zakażonej koronawirusem, która – anonimowo – wprowadziła informację o pozytywnym teście do swojej aplikacji. Ani jej używanie, ani stosowanie się do jej zaleceń nie jest obowiązkowe. A jednak to przez nią sieć supermarketów Co-op musiała zatrudnić 3 tys. pracowników tymczasowych w miejsce tych, których aplikacja skierowała na samoizolację. Richard Walker, szef sieci supermarketów Iceland, już na początku lipca, obserwując rosnące wykładniczo wykresy nieobecności pracowników, stwierdził, że w połowie miesiąca osiągną one najwyższy poziom. – Covidowe zasady kończą się 19 lipca – mówił. – Samoizolacja pozostaje do 16 sierpnia. Czekaj nas nieźle szopka w biznesie.

– Wiele firm mniej lub bardziej oficjalnie sugeruje pracownikom odinstalowanie aplikacji – komentuje z Londynu Kamil Arendt, informatyk i działacz polonijny. – Trudno się dziwić, gdy całe branże są paraliżowane

przez gwałtowne niedobory rąk do pracy, a sytuacja była trudna już od miesięcy, do czego przyczynił się brexit i spowodowany przez niego exodus siły roboczej, wcześniej tanio importowanej z kontynentu. Coraz częściej podkupywani są najbardziej poszukiwani pracownicy. Kierowca za przejście do konkurencji może dostać nawet kilka tysięcy funtów na powitanie.

Są jednak i tacy, dla których otrzymanie pinga jest równoznaczne z zagrożeniem egzystencji. Dla osób z niskimi dochodami przebywających w samoizolacji rząd przeznacza zapomogi w wysokości 500 funtów. Pomoc otrzymują też

rodzice dzieci, które przebywają w samoizolacji i wymagają opieki. Pracownik dostaje ustawowy zasiłek chorobowy w wysokości 96,35 funtów tygodniowo, jeżeli ma umowę o pracę. Z apelem, aby odpowiednio rekompensować zarobki pracownikom przebywającym w samoizolacji, zwrócił się do rządu Matt Draper, szef związku zawodowego kierowców i magazynierów zrzeszonych w Unie. Związkowcy postulują przywrócenie obowiązku noszenia masek w środkach transportu publicznego, sklepach i restauracjach. Zachęcają rząd do ostrożnego znoszenia restrykcji wynikających z użycia aplikacji. – Zapewnienie kluczowym pracownikom, takim jak kierowcy ciężarówek, zwolnienia z samoizolacji wbrew zaleceniu aplikacji poprawi na krótko sytuację w łańcuchu dostaw, ale nie przyczyni się do spadku liczby zakażeń – powiedział Draper.

Przyszłość pinga pod znakiem zapytania

Mniej niż połowa dorosłych Brytyjczyków ma nadal w telefonach aplikację, która w każdej chwili może wysłać zniechęcający ping. Spadła także o połowę liczba logowań do miejsc takich jak bary, restauracje i sklepy. Po opublikowaniu tych danych na odpowiedź rządu nie trzeba było długo czekać – aby uratować system, ogłosił pilnie, że od

9 sierpnia zmienia zasady działania aplikacji, tak by pingi dostawały tylko osoby, które kontaktowały się z zarażonym w ciągu ostatnich dwóch dni, a nie jak poprzednio pięciu.

W mocy pozostaje harmonogram, zgodnie z którym po 16 sierpnia samoizolacja będzie konieczna jedynie wtedy, jeśli ktoś otrzyma pozytywny wynik testu na covid. Zwolnieni z obowiązku samoizolowania się będą podwójnie zaszczepieni oraz dzieci i młodzież do 18. roku życia. Tak jak do tej pory ping ma być tylko jednym z elementów systemu NHS Test and Trace. Innym są równolegle działające zespoły specjalnie wyszkolonych operatorów, które zidentyfikowanym z imienia i nazwiska osobom narażonym na zakażenie wysyłają telefoniczną lub SMS-ową wiadomość. To już nie zalecenie – nie wolno odmówić wykonania takich oficjalnych poleceń pod groźbą kary co najmniej 1 tys. funtów. Po 16 sierpnia zidentyfikowane przez operatorów systemu osoby otrzymają zalecenie wykonania testu PCR. Jeśli wynik będzie negatywny, mogą żyć normalnie.

Boris Johnson ogłosił debiut aplikacji śledzącej zakażonych covidem w maju 2020 r., nazywając ją na dłu przed uruchomieniem – jakżeby

w poprzednich latach zapłaciła gigantyczne kary za marnotrawstwo środków publicznych. Obecnie Serco obsługuje 20% punktów testowania. Firmom Serco i Mitie w czerwcu 2021 r. przedłużono kontrakty na łączną kwotę 687 mln funtów. Inną bohaterką afer związanych z NHS Test and Trace jest jego była szefowa, baronowa Harding. Jako dyrektor generalna TalkTalk Group baronowa odpowiadała za skandal związany z cyberatakiem, po którym wyciekły dane 4 mln osób. Diana Mary „Dido” Harding zna się na koniach, zasiada w zarządzie Jockey Club. Z jej inicjatywy w marcu 2020 r., pięć minut przed lockdownem, odbyły się wyścigi konne na Cheltenham Festival. Na trybunach było 250 tys. widzów. Wirus zebrał wśród nich niemałe żniwo.

– Czy na uratowanie aplikacji i całego systemu nie jest za późno? – zastanawia się Kamil Arendt. – Jego użyteczność w oczach opinii publicznej mogła właśnie otrzymać śmiertelny cios. Niemal każdy Brytyjczyk zna osoby, które dostały w ostatnich tygodniach ping, choć późniejsze testy u niewielu wykazały zakażenie. Coraz powszechniejszy jest pogląd, że sam program funkcjonuje niepoprawnie

Szczytowa fala zachorowań przyszła w połowie lipca, krótko przed zapowiadaniem zniesieniem restrykcji.

inaczej – „najlepszą na świecie”. System startował z problemami, początkowo uparcie stawiając na własną technologię, zamiast skorzystać z interfejsów przygotowanych w tym celu przez Google i Apple. Podczas pilotażowej fazy programu, która objęła wyspę Wight, wielu użytkowników odkrywało, że ich telefony nie są kompatybilne z aplikacją. Ostatecznie system ruszył w całym kraju we wrześniu 2020 r. Partia Pracy od początku krytykowała rząd za marnotrawienie publicznych pieniędzy. Budżet systemu Test and Trace wzrósł z planowanych 22 mld do 37 mld funtów. To tylko jedna z kontrowersji towarzyszących wprowadzaniu w życie NHST&T. Wiele z nich dotyczy znikania ogromnych sum pieniędzy, danych, czasem ludzkich istnień. Na przykład na liście płac NHST&T figuruje Serco, firma, która

i nie należy go traktować serio – choć operator broni się przed zarzutami, twierdząc, że z technicznego punktu widzenia działa on zgodnie z założeniami. Mimo to wiele osób uznaje, że aplikacja jest im już niepotrzebna i można bez żalu się z nią pożegnać.

Przed scenariuszem „utruty społecznej zgody” ostrzegał były minister zdrowia Jeremy Hunt, który wzywał, żeby przyspieszyć zwolnienie osób w pełni zaszczepionych z obowiązku 10-dniowej samoizolacji, na co rząd się nie zdecydował. – Jeśli apkę odinstalują młodzi, najaktywniejsi zawodowo, a jednocześnie ze względu na poziom zaszczepienia najbardziej roznoszący wirusa – dodaje Arendt – do statystyk zgonów na covid zapewne będzie można doliczyć aplikację NHS COVID-19.

Zuzanna Muszyńska

Wydawnictwo Studio Emka POLECA

Tadeusz Olszański
Igrzyska osobiście

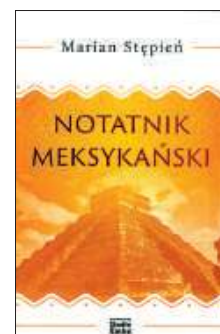
Tadeusz Olszański, zwycięzca plebiscytu ogłoszonego przez Klub Dziennikarzy Sportowych na najwybitniejszych dziennikarzy w latach 1921-2021 w kategorii dziennikarz prasowy, jest autorem kilkunastu książek o tematyce sportowej. Relacjonował przebieg sześciu igrzysk olimpijskich, po raz pierwszy rzymskich w 1960 r. Łatwy język i proste słowa naleyście oddają atmosferę na olimpijskich arenach, gdzie obok eksplozji radości nie zabrakło dramatycznych momentów, takich jak zamach terrorystyczny w Monachium w 1972 r. Oddają także atmosferę igrzysk, które stały się ogromną imprezą sportową, coraz liczniejszą i coraz bardziej kosztowną.

Wydawnictwo Studio Emka trafiło w punkt, bo igrzyska w Tokio stawiają te wszystkie pytania, które zadaje Olszański, o czystość gry, uczciwość i merkantylizację sportu. Ale w czasie olimpiad magia rywalizacji o medale wygrywa.



Marian Stępień
Notatnik meksykański

Prof. Marian Stępień, historyk literatury, krytyk literacki, polityk, profesor UJ, wykładał na uczelniach amerykańskich i meksykańskiej. Jest członkiem założycielem Stowarzyszenia „Kuznica”. Był redaktorem naczelnym „Zdania”. W latach 1988-1990 pełnił funkcję sekretarza KC PZPR ds. kultury. Jego „Notatnik meksykański” jest osobistym, erudycyjnym, choć szkicowym reflekssem wrażeń z pobytu w stolicy Meksyku w 1981 r. – fascynacji pomnikami wielkiej kultury Majów, Tolteków i Azteków, zaciekawienia współczesną społecznością tego kraju. Poruszająca i zarazem powściągliwa relacja ze spotkaniem po kilku latach ojca z córką; zapis wspólnej podróży po monumentach kulturalnych i przyrodniczych Meksyku.



Słowacy szykują się na najgorsze

Szczepienia przeciw covidowi idą jak po grudzie

Łukasz Grzesiczak

Stosunek do szczepień przeciw COVID-19 to obecnie jedna z głównych osi podziału politycznego na Słowacji. Antyszczepionkowcy protestują przed parlamentem i siedzibą prezydentki Zuzany Čaputovej, Progresywna Słowacja organizuje wiece poparcia dla szczepień, a najradyjniej szczepią się mieszkańcy regionów, które głosują na neofaszystowską partię Mariana Kotleby.

Słowackie szczepienia przeciw covidowi idą jak po grudzie. Nasz południowy sąsiad ma najmniejszy w regionie procent zaszczepionej populacji. Jeśli popatrzeć na kraje Grupy Wyszehradzkiej, liderami są Węgry, gdzie – według danych z serwisu Our World in Data – do 2 sierpnia pełną dawkę szczepionki

wykryto w Indiach. Jest on bardziej zakaźny niż poprzednie warianty i każda osoba z nim się spotka – powiedział pod koniec lipca epidemiolog Martin Pavelka ze słowackiego ministerstwa zdrowia.

Słowacy szykują się na najgorsze. Znowu przygotowują szpitale, monitorują zapasy leków, pracują nad usprawnieniem śledzenia kontaktów osób zakażonych, ale przede wszystkim walczą o jak największą liczbę zaszczepionych. Dlatego 1 sierpnia wystartowała loteria, która ma zachęcić do szczepień. Może w niej wziąć udział każda zaszczepiona osoba, która ma stały pobyt na Słowacji. Warunkiem jest rejestracja. Pierwsze losowanie odbędzie się 15 sierpnia. Najwyższa nagroda wynosi 100 tys. euro. Laureaci będą losowani co tydzień do końca października. Według słowackich mediów koszt całego

szczepieniem było wówczas odpowiednio 30,9% i 36%. Ten sam sondaż pokazuje, że Słowacy są bardzo podzieleni w sprawie szczepień, stosunek do nich stał się silną deklaracją polityczną. Z każdym miesiącem maleje liczba osób, które nie wiedzą, czy się zaszczepią. W grudniu 2020 r. niezdecydowanych było 27,8%, w lipcu br. tylko 12,3%.

31% Słowaków jest zwolennikami obowiązkowych szczepień przeciw COVID-19 dla wszystkich, którym umożliwi to stan zdrowia. Przeciwny pogląd ma 62% ankietowanych. Za to ponad połowa (55%) osób już zaszczepionych uważa, że szczepienia przeciw koronawirusowi powinny być na Słowacji obowiązkowe.

Daniel Kerekes w internetowym serwisie gazety „Denník N” przeanalizował, jak wykształcenie, poglądy polityczne, pochodzenie etniczne, bezrobocie czy dostępność do internetu wpływają na zainteresowanie szczepieniami. Kerekes określił współczynnik korelacji między szczepieniem a poszczególnymi kategoriami. Jeżeli współczynnik korelacji wynosi 0, nie obserwujemy zależności między szczepieniem przeciw COVID-19 a zmienną. Im jest bliższy 1, tym ta zależność silniejsza. Znak plus lub minus mówi, czy zależność jest dodatnia, czy ujemna.

W przypadku wyborców, którzy w wyborach parlamentarnych w 2020 r. oddali głos na koalicję z udziałem proeuropejskiej Progresywnej Słowacji, korelacja ze szczepieniami wynosi 0,269. Nieco wyższa jest w przypadku wyborców liberalnej partii Wolność i Solidarność – 0,292. Za to najsilniejsza jest ujemna (minus 0,309) korelacja między szczepieniami a wyborcami neofaszystowskiej Partii Ludowej Nasza Słowacja (LSNS) Mariana Kotleby. Z badania wynika silna niechęć wobec szczepień osób z wykształceniem podstawowym i zawodowym. Ciekawe, że liczniej chcą się szczepić osoby z wykształceniem średnim niż z wyższym. Jeżeli patrzeć na kwestie

Najradyjniej szczepią się mieszkańcy regionów, które głosują na neofaszystowską partię Mariana Kotleby.

przyjęło 56,45% obywateli (1,81% otrzymało jedną dawkę). Na drugim miejscu jest Polska, gdzie w pełni zaszczepionych jest 46,23% osób (2,27% przyjęło jedną dawkę). Tuż za nami są Czechy – tam pełną dawkę zaszczepiono 45,69% populacji (pierwszą przyjęło 7,22%). Słowacja jest na końcu – ma 36,55% w pełni zaszczepionych mieszkańców (pierwszą dawkę otrzymało 5,02%). Średnia dla wszystkich państw UE to 49,40% zaszczepionych pełną dawką i 10,16% tych, którzy przyjęli tylko pierwszą z dwóch dawek.

– Podstawowa liczba odtwarzania (teoretyczna liczba osób, której każdy chory przekazuje zakażenie – przyp. ŁG) na Słowacji jest trzeci tydzień z rzędu powyżej wartości krytycznej 1. Możemy zatem otwarcie stwierdzić, że na Słowacji rozpoczęła się już następna fala epidemii. Ta fala charakteryzuje się nowym wariantem delta, który jako pierwszy

przedsięwzięcia to ponad 26,4 mln euro. Pomysłodawcą i zwolennikiem loterii jest minister finansów i byłby premier Igor Matovič, który twierdzi, że to dobra inwestycja, stanowiąca ułamek kosztów leczenia ciężkich przypadków.

Sondaże wskazują, że w ostatnich miesiącach na Słowacji rośnie liczba osób, które nie chcą się szczepić. Szczepienia rozpoczęły się tam w grudniu 2020 r. Wówczas według sondażu agencji MNFORCE przeprowadzonego we współpracy z Instytutem Socjologii Słowackiej Akademii Nauk nie chciało się zaszczepić 49,9% obywateli. Na przełomie stycznia i lutego przeciwnikiem szczepień był co trzeci mieszkaniec Słowacji (33,5%). Najmniejszą niechęć do szczepień zanotowano w marcu 2021 r., kiedy przeciwnych było 28,8% ankietowanych. W maju i w lipcu ta liczba znów wzrosła, przeciwnych



Protest przeciwko obostrzeniom przed parlamentem w Bratysławie.

etniczne, chętniej szczepią się przedstawiciele mniejszości węgierskiej, a najmniej ochoty wykazują słowaccy Romowie. Z kolei słowaccy katolicy szczepią się chętniej niż ewangelicy, ale kwestia religii nie wydaje się znacząca w przypadku szczepień. Inaczej niż bezrobocie czy dostęp do internetu. W przypadku dostępu do sieci korelacja ze szczepieniami jest bardzo silna i dodatnia, w przypadku bezrobocia równie silna, ale ujemna. Najmniej skłonne do szczepień

Jednocześnie zapewnił, że armia nie rozważa obowiązkowych szczepień dla wszystkich żołnierzy.

Za to obowiązkowe będą szczepienia dla katolików, którzy zechcą spotkać się z papieżem Franciszkiem podczas jego zaplanowanej na 12-15 września pielgrzymki. Franciszek odwiedzi Bratysławę, Koszyce, Preszów i niewielką miejscowość Šaštín-Stráže na zachodzie kraju, gdzie planowana jest msza dla 350 tys. osób.

Stosunek do szczepień stał się silną deklaracją polityczną.

są więc osoby z wykształceniem podstawowym i zawodowym, często wykluczone cyfrowo i ekonomicznie. Niechęć do szczepień łączy słowackich Romów i wyborców Mariana Kotleby.

Na razie o obowiązkowym szczepieniu na Słowacji nie ma mowy. Choć minister obrony Jaroslav Naď ogłosił niedawno, że na zagraniczne misje pojedą tylko zaszczepieni żołnierze. – Każdy żołnierz, który jedzie na operacje i misje, już dziś musi przejść harmonogram szczepień. W ramach niego otrzymuje szczepionki na różne choroby, w tym przeciw COVID-19 – wyjaśnił.

Pod koniec lipca Bratysława stała się areną protestów antyszczepionkowców, którzy sprzeciwiali się projektowi nowego prawa. Manifestanci blokowali parlament, protestowano także pod siedzibą Zuzany Čaputovej. Ostatecznie parlamentarzyści złagodźli projekt ustawy. Przyjęty przez parlament i podpisany przez Zuzanę Čaputovą przypomina regulację, które obecnie obowiązują w Czechach. Nowe prawo pozwala, by w przypadku pogorszenia się sytuacji pandemicznej restauracje, teatry czy punkty usługowe, np. fryzjerów, mogły odwiedzać osoby w pełni zaszczepione, z negatywnym wynikiem

testów lub z zaświadczeniem o przechorowaniu COVID-19.

W odpowiedzi na protesty antyszczepionkowców Progresywna Słowacja zorganizowała w Bratysławie demonstrację poparcia szczepień. Warto dodać, że stolica jest słowackim liderem pod względem liczby zaszczepionych mieszkańców – pełną dawkę przyjęło 54%.

W zaszczepieniu Słowaków miał pomóc rosyjski Sputnik V, o którą to szczepionkę zabiegał osobiście ówczesny premier, a dziś minister finansów, Igor Matovič. Wtedy rząd zapewniał, że tą szczepionką będzie chciało się zaszczepić nawet milion Słowaków. Rosyjska szczepionka przyczyniła się do wielkiego kryzysu rządowego, w efekcie którego Matovič stracił fotel premiera. Na Słowację trafiło 200 tys. dawek, ale ok. 160 tys. niewykorzystanych zostało odkupionych przez Rosjan po tej samej cenie. W ostatni poniedziałek lipca pierwszą dawką zaszczepił się sam Matovič, o czym poinformował w mediach społecznościowych: „Gdyby Sputnika nie demonizowano, moglibyśmy mieć zaszczepionych jak Węgrzy pół miliona osób. Dla niektórych jednak bój z Rosją i Matovičem jest cenniejszy niż zdrowie i życie ludzkie”.

l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

**W nowym numerze
tygodnika „NIE”:
Kto będzie nowym liderem
Lewicy? Liderka.**



Wykluczeni i świetnie połączeni

Jak Austria radzi sobie z brakiem transportu publicznego

Beata Dżon-Ozimek

13-tysięczne miasteczko Wörgl w Tyrolu uznaje się za najlepiej skomunikowane małe miasto w Austrii. W Wörgl ponad 160 razy dziennie pojawiają się pociągi, autobusy dalekobieżne zatrzymują się niemal 250 razy. Jest jeszcze autobus miejski, który kursuje co 30 minut. Bilet dobowy w nim kosztuje 2 euro, a miesięczny 5 euro.

Taka sytuacja to świadoma polityka i efekt starań burmistrz Hedwig Wechner podjętych w 2010 r. Socjaldemokratka, dawna posłanka, postanowiła zawalczyć o powstrzymanie ucieczki mieszkańców do miejsc oferujących lepsze perspektywy i większe możliwości, także komunikacyjne, wpływające na jakość życia. Miasteczko wymierało, a dziś, również dzięki inwestycjom w transport publiczny, uchodzi za jedno z najszybciej rozwijających się w Austrii. Z czasem stało się też regionalnym centrum – do pracy i po zaopatrzeniu dojeżdża tu ok. 5 tys. osób dziennie. Zadziałały już pierwsze lata inwestycji w publiczną komunikację o dużej częstotliwości i w trasy rowerowe, zachęty dla firm, których pracownicy dojeżdżają rowerem lub komunikacją miejską, oraz tanie bilety w miejskich liniach.

Nie byłoby to możliwe bez decyzji politycznej rządu krajowego Tyrolu oraz federalnego, które inwestują duże pieniądze. Zapewnienie infrastruktury w całej Austrii, nierówno pokrytej siecią publicznej komunikacji, jest ważnym tematem polityki proekologicznej władz federalnych, praktyka jednak wygląda różnie.

Niezależny Austriacki Klub Transportu (VCÖ) zbadał dostępność ośrodków regionalnych (jest ich 124) pod względem transportu publicznego. Oprócz stolic powiatów są to również mniejsze miasta, które mają znaczenie dla regionu – miejsca dojazdów do pracy, szkół czy opieki medycznej. Kryterium była



Na stację w 13-tysięcznym Wörgl pociągi przyjeżdżają ponad 160 razy dziennie, a autobusy dalekobieżne ok. 250 razy.

możliwość dotarcia komunikacją publiczną w ciągu pół godziny. Okazuje się, że obecnie 97% ludności Austrii może dojechać do regionalnych centrów w tym czasie samochodem, natomiast komunikacją publiczną tylko 67%. W Dolnej Austrii czy Styrii i Górnej Austrii bywa gorzej, niemal połowa nie ma takiej możliwości, ale np. w Salzburgu czy Vorarlbergu dostępność wynosi 79%.

Smutny faworyt, Burgenland

Prawie połowa gmin austriackich ma niewystarczające połączenia z udziałem transportu publicznego, a co piąte miasto nie ma połączenia kolejowego. Około jednej trzeciej miasteczek do 10 tys. mieszkańców nie ma żadnych połączeń kolejowych. Niemal jedna piąta Austriaków mieszka w miejscach, gdzie liczba ludności nie przekracza 250 osób – tam dostęp do transportu publicznego jest bardzo ograniczony lub nie ma go wcale. Ludzie są skazani na własne samochody.

Najgorzej radzi sobie pięciotysięczna gmina Birkfeld w Styrii. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat nie było tu inwestycji w transport publiczny. Te słabo skomunikowane miejsca nie tylko się nie rozwijają – one wręcz zamierają. Do stolicy Styrii, Grazu, można z Birkfeld dojechać taksówką, autobusem (ponad dwie godziny, z przesiadką) lub własnym autem, ale nawet z bliskich okolic Grazu prawie dwie trzecie ludności nie może do niego dotrzeć w ciągu pół godziny komunikacją miejską. Nie ma tam szans na dojazd do pracy w sposób przyjazny dla klimatu, nie ma prawie żadnej alternatywy dla samochodu. Innym smutnym faworytem jest Burgenland – w 60% gmin autobusy, nie mówiąc o pociągach, jeżdżą rzadko. Do sześciu z 13 miast w landzie nie można dojechać pociągiem.

W czterech innych z dziewięciu krajów związkowych: w Dolnej Austrii, Górnej Austrii, Styrii i Karyntii, prawie połowa gmin jest słabo skomunikowana transportem

publicznym. A im gorzej on funkcjonuje, tym więcej emitowanych gazów cieplarnianych. Austria zajmuje pod tym względem trzecią pozycję w UE. W Burgenlandzie, Vorarlbergu i Salzburgu ruch drogowy produkuje więcej dwutlenku węgla niż wszystkie inne sektory razem wzięte. To prawie 75% więcej dwutlenku węgla niż w 1990 r.

W rankingu krajowym w truci przoduje znowu Burgenland. Każdy mieszkaniec generuje tu rocznie 3,2 tony dwutlenku węgla w ruchu drogowym. W Vorarlbergu to prawie 2,5 tony, w Wiedniu – najmniej, 1,8 tony. Tu w ostatnich latach maleje liczba rejestrowanych aut, transport publiczny funkcjonuje znakomicie i można zapomnieć o samochodzie.

Oprócz zachowań komunikacyjnych mieszkańców Austrii dużą rolę w produkcji dwutlenku węgla odgrywa tzw. turystyka paliwowa z krajów sąsiednich, bo jego emisja jest obliczana na podstawie ilości sprzedawanego paliwa. Benzyna i olej napędowy są tańsze w Austrii dzięki niższym podatkom paliwowym, więc ciężarówki i samochody osobowe jeżdżą przez granicę tam i z powrotem, co dodatkowo generuje dwutlenek węgla.

Życie bez auta?

– Jeśli mieszkasz na obszarach wiejskich w pobliżu miasta, to możesz żyć bez samochodu. Ale daleko na wsi życie bez niego jest prawie niemożliwe, choćby ze względu na codzienne potrzeby. W pewnym momencie nie ma już sensu ekonomicznego zapewnianie dostaw transportem publicznym – mówi badaczka ruchu drogowego Astrid Gühnemann, profesorka Uniwersytetu Zasobów Naturalnych i Nauk Przyrodniczych w Wiedniu (BOKU), szefowa Instytutu Transportu. Uzależnieniu od samochodów winien jest też trend budowania osad sypialń u bram wielkich miast. – Wyznacza się więcej i więcej działek budowlanych. Nawet jeśli są tam połączenia kolejowe, często nie ma nawet piekarni – dodaje badaczka w rozmowie z think tankiem Moment.

W Austrii sieć kolejowa powiększyła się o 13% od lat 70., sieć dróg wyższej kategorii – o 25%, a zdaniem prof. Gühnemann dla niektórych

planistów odcinanie przestrzeni od ruchu samochodowego stanowi temat tabu. Wizja zrównoważonego systemu transportowego wymaga małych kroków, które są łatwe. – Przykład: amerykańskie miasto Portland w stanie Oregon było bardzo zorientowane na samochody. Przyszli burmistrz i gubernator, którzy chcieli to zmienić. Krok po kroku wyznaczali ścieżki rowerowe. O to właśnie chodzi: po prostu zacznij! – podkreśla.

Zmiana filozofii transportu to także zmiana myślenia o przestrzeni publicznej. W miastach miejsca parkingowe odgrywają ogromną rolę. – Zgodnie z powszechnym prawem mogą bezpłatnie postawić auto na ulicy. Ale nie wolno mi tak po prostu postawić tam swojej szafy. Jak widać, demontaż każdego prawa

Skoro nie ma dostępu do autobusów lub pociągów, wiele społeczności organizuje transport na żądanie.

zwyczajowego jest niezwykle trudny – mówi szefowa Instytutu Transportu. Ten opór przed zabieraniem miejsca samochodom jest wielki, również w polityce, widać to choćby w dyskusjach o przedmieściach Wiednia, gdzie ogranicza się miejsca parkingowe. Według Astrid Gühnemann wiele osób jest przekonanych, że mniejszy ruch samochodowy i mniej miejsc parkingowych powoduje niekorzystne skutki ekonomiczne – zupełnie niestusnie.

Obywatelskie modele transportowe

Odcięte od transportu publicznego miejsca szukają własnych rozwiązań, ludzie jakoś muszą żyć. Skoro nie ma dostępu do autobusów lub pociągów, wiele społeczności opracowuje innowacyjne modele transportu na żądanie: autobusy obywatelskie, taksówki zbiorowe, społeczne, a nawet młodzieżowe.

Nie masz samochodu i chceszjechać do supermarketu, lekarza, fryzjera? Przyjeżdżasz autobusem, ale na resztę drogi do domu nie masz transportu? Odwiedzasz znajomych, krewnych w obszarach działania „transportu społecznego”? Zabierz cię do domu e-Dorfmobil. Nie możesz odebrać dziecka od kolegi,

ze szkoły – e-Dorfmobil je odbierze. Pojazd elektryczny zwykle jest kupowany z udziałem gminy i specjalnie stworzonych stowarzyszeń mieszkańców zainteresowanych dostępem do społecznej taksówki. Służyć ma przede wszystkim osobom z terenu, które są mniej mobilne, bo nie mają auta, prawa jazdy lub nie mogą już prowadzić.

W Górnej Austrii, w Sonnbergu, działa taki e-Dorfmobil; społeczna taksówka jeździ od poniedziałku do piątku od godz. 8 do 20. Wystarczy telefon do dyżurującego kierowcy. – Czasem trzeba zaplanować trochę czasu oczekiwania, przejazdy mogą zostać odrzucone lub odwołane przez danego kierowcę ze względów bezpieczeństwa, np. w warunkach zimowych – wyjaśnia „społeczny

taksówkarz”. Wszystkie osoby, które chcą korzystać z usług taksówki, a także kierowcy, są członkami stowarzyszenia e-Dorfmobil, to wymóg prawny i ubezpieczeniowy. Formularze członkowskie są dostępne na stronie, w pojeździe i w urzędach. Koszty podróży pobierane są ze składki członkowskiej, każdy otrzymuje swoją kartę e-Dorfmobil i pokazuje ją kierowcy przed rozpoczęciem jazdy. Miesięczne składki wynoszą dla kierowców, którzy pracują jako wolontariusze, 4,90 euro, dla pasażerów w wieku 6-18 lat – 12,90 euro, dla tych w wieku 18-26 lat – 18,90 euro, a dla starszych – 24,90 euro. Stowarzyszenie powstało w 2019 r., podobne działają w innych miejscach ubóstwa transportowego w Austrii.

Osobną ideą są taksówki młodzieżowe, bezpieczny transport dla młodych ludzi, także w weekendy, by nie wykluczać nikogo z życia kulturalnego czy towarzyskiego. Ścieżki społecznych inicjatyw transportowych są przetarte, chociaż nie zastąpią dobrej sieci komunikacji publicznej ani niechcianego już przez wielu własnego auta. Wiedzą to najlepiej sami wykluczeni czy ograniczeni komunikacyjnie, nie tylko w Austrii.

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

62 lata amerykańskiej blokady

Własne szczepionki pozwolą na zaszczepienie do końca sierpnia 70% Kubańczyków

Rozmawia Lech Miodek

Panie ambasadorze, polska opinia publiczna jest zaskoczona ostatnimi wydarzeniami na Kubie, szczególnie wielkością i spontanicznością manifestacji. Pojawiły się w nich hasła antyrządowe. Jakie są przyczyny protestów?

– W rzeczywistości została rozpętana gigantyczna, brutalna, polityczno-medialna operacja przeciw Kubie, wdrożona, kierowana i finansowana przez Stany Zjednoczone, z użyciem sieci społecznościowych, automatycznych wzorców setek tysięcy tweetów, robotów, algorytmów i kont nowo stworzonych na tę okazję; wszystko to przy wsparciu międzynarodowych i ponadnarodowych mediów informacyjnych.

Z absolutnym bezwstydem rozpowszechniano zmanipulowane ilustracje protestów i manifestacji, które miały miejsce w innych krajach i w różnych okresach, aby utwierdzić światową opinię publiczną w przekonaniu, że na Kubie nikt już nie rządzi, że panuje ogólny chaos. Jednocześnie nie zapomniano o zmanipulowanych informacjach o rzekomych nieuzasadnionych represjach wobec demonstrantów.

Donald Trump zrobił wszystko, aby zdusić kubańską gospodarkę.

Media zagraniczne podają, że wobec manifestujących władza stosowała tortury i że niektórzy byli przetrzymywani w aresztach bez wiedzy rodzin. Czy to w świetle przepisów obowiązujących na Kubie jest w ogóle możliwe?

– Na opublikowanych zdjęciach było widać, że doszło do zamieszek i że były grupy, które dopuszczały się w niektórych miejscowościach aktów wandalizmu, powodując szkody



Ambasador Kuby Jorge Marti Martinez

materialne. Niektórym osobom grożono śmiercią. Były to niewątpliwie działania mające charakter rażących przestępstw, naruszających spokój i porządek wewnętrzny. Na Kubie nie doszło do wybuchu społecznego, który tak promuje i za którym tęskni rząd Stanów Zjednoczonych.

Kuba, jako strona Międzynarodowej Konwencji ONZ w sprawie ochrony wszystkich osób przed wymuszonym zaginięciem oraz Konwencji w sprawie zakazu stosowania tortur oraz innego okrutnego, niehumanitarnego lub poniżającego traktowania albo karania, spełnia postulaty zawarte w tych dokumentach. Obywatele Kuby nie mogą być ofiarami przymusowych zaginięć, tortur ani być poddawani okrutnemu, niehumanitarnemu lub poniżającemu traktowaniu lub karaniu,

zgodnie z art. 51 naszej konstytucji. Na Kubie nie ma osób zaginionych. Nie było ich też w przypadku ostatnich wydarzeń. Nie ma również tajnych miejsc odosobnienia, do których byłyby zabierane i tam przetrzymywane osoby bez powiadomienia ich rodziny i bliskich o lokalizacji aresztu, w którym te osoby się znalazły.

Każda osoba trafiająca do jednostki policji podlega w pierwszej kolejności odręcznemu zarejestrowaniu, a następnie jej dane osobowe są przekazywane do rejestru automatycznego, którym posługują się wszystkie jednostki policyjne. Jest to gwarancją znajomości lokalizacji każdej zatrzymanej osoby w dowolnym miejscu w kraju. Informacje o miejscu pobytu osób są ustalane i kontrolowane przez organy wchodzące w skład Prokuratury Generalnej

(FGR) jako organu odpowiedzialnego za zapewnienie legalności.

Podczas ostatnich wydarzeń każda rodzina wiedziała, gdzie przebywają ich bliscy, mogła ich odwiedzać, dostarczać przedmioty higieny osobistej lub leki. Pewna grupa zatrzymanych została zwolniona po stwierdzeniu, że nie popełnili oni żadnego przestępstwa, natomiast niektóre osoby zostały objęte środkiem zapobiegawczym innym niż pozbawienie wolności. Były jednak osoby postawione w stan oskarżenia, wobec których zastosowano środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego pozbawienia wolności.

Wielokrotnie mówi pan o roli, jaką odegrały i odgrywają Stany Zjednoczone jako promotor nieszczęść na Kubie. Obecna administracja amerykańska nie zamierza odchodzić od polityki Donalda Trumpa i rezygnować z prób zduszenia gospodarki kubańskiej. Czy rząd Bidena stosuje wobec Kuby jakieś dodatkowe środki, a jeśli tak, to jakie?

– Administracja Bidena kłamie, mówiąc o „pokojowych demonstrantach”. 11 lipca w niektórych miejscowościach doszło do zamieszek i incydentów, które były rezultatem operacji terrorystycznej, medialnej przeprowadzonej bezkarnie z terytorium Stanów Zjednoczonych, która spowodowała zamieszki, rozpętała przemoc, nienawiść i wandalizm, w celu dalszego podzielenia Kubańczyków, zniszczenia prestiżu Kuby w świecie i ograniczenia wszelkich przejawów solidarności, którą otrzymuje od innych narodów.

W kampanię destabilizacyjną przeciwko naszemu państwu zaangażowano bezpośrednio machinę polityczną Florydy, wykorzystano pandemię koronawirusa oraz poważne ograniczenia i trudności, z jakimi mamy do czynienia, będące przede wszystkim konsekwencją ludobójczej blokady gospodarczej, handlowej i finansowej, zaostrejzonej przez 243 środki zastosowane przez poprzednią administrację amerykańską i utrzymywane przez obecną. Byłoby niemoralne, gdybyśmy nie zauważali także naszych błędów. Nie będziemy ukrywać, że trwająca od 62 lat nieludzka blokada wyrządza nam poważne szkody. Brakuje żywności, leków, paliwa i innych

produktów. Blokada w ostatnich czterech latach przybrała nowe formy, zwłaszcza w okresie sprawowania urzędu przez Donalda Trumpa. Zrobił on wszystko, aby zdusić kubańską gospodarkę.

Nasze możliwości rozwoju zostały drastycznie ograniczone. Nie mamy łatwego dostępu do surowców, nawozów, pestycydów czy sprzętu rolniczego. Mamy też ograniczone możliwości importowe. Blokada,

Administracja Bidena kłamie, mówiąc o „pokojowych demonstrantach”.

COVID-19, spadek dochodów z turystyki, a wraz z nim spadek dochodów ogółem, zmniejszyły nasze możliwości zakupów żywności i leków za granicą. Często ze strony ponadnarodowych korporacji spotykamy się z przypadkami odmowy handlu.

Nie ulega wątpliwości, że sektorem najbardziej dotkniętym wybuchem pandemii była turystyka. Z Polski przyjechało o 11 406 mniej turystów w porównaniu z analogicznym okresem 2020 r. Chociaż w zeszłym roku utrzymywała się turystyka indywidualna, to w porównaniu z rokiem 2019 liczba turystów przybyłych na Kubę zmniejszyła się w 2020 r. o 93%. Dodajmy, że wpływ z turystyki stanowiły w ubiegłych latach ponad 40% kubańskiego PKB. Możemy sobie wyobrazić, co to oznacza dla gospodarki i ludzi żyjących z turystyki.

W porównaniu z 2019 r. liczba turystów przybyłych na Kubę w ubiegłym roku zmniejszyła się o 93%.

Czy istnieje obrót handlowy poza systemem kartkowym?

– Mała i średnia własność prywatna rozwija się na Kubie bez ograniczeń. Ponad pół miliona Kubańczyków pracuje na własny rachunek. Inwestycje, zwłaszcza przedsiębiorców hiszpańskich, kanadyjskich i francuskich, są lokowane w różnych gałęziach gospodarki, nie tylko w turystyce. Obrót handlowy poza systemem kartkowym istnieje zatem i rozwija się, chociaż jest to proces powolny.

Czy nowa sytuacja zmusi rząd Manuela Marrera do wprowadzenia zmian systemowych, o których tak wiele się mówi od dłuższego czasu? Jakie reformy już wprowadzono?

– Strategia rządu do 2030 r. opiera się na zwiększeniu skuteczności zarządzania, rozwoju infrastruktury, potencjału ludzkiego, nauki, technologii i innowacji, wykorzystaniu zasobów naturalnych, ochronie środowiska i relacjach międzyludzkich opartych na zasadach sprawiedliwości i równości.

System energetyczny zmierza ku normalności. Uda się uniknąć braku dostaw energii elektrycznej do szpitali czy w celach prywatnych. Wydano zezwolenia na import artykułów spożywczych, środków czystości i lekarstw. Z 619 lekarstw określanych jako podstawowe BioCubaFarma produkuje 365. Blokada spowodowała, że koszty nabycia lekarstw za granicą zwiększyły się dla nas o 30-50%. Nie udaje się nam jeszcze pokryć pełnego zapotrzebowania na lekarstwa. W rolnictwie zwiększony został obszar zasiewów. Dokonano zmian norm prawnych obowiązujących w mikro-, drobnych i średnich przedsiębiorstwach, w pracy na własny rachunek i dotyczących spółdzielni pozarolniczych, kierując się potrzebą oddzielenia własności od zarządzania nią. Zniesiono obowiązek przestrzegania skali wynagrodzeń. Chodzi o to, aby lepsza praca

była lepiej wynagradzana. Jest to coś, co się rodzi. Naszym celem jest przede wszystkim podporządkowanie każdego kroku normom prawnym. W tym zakresie pracujemy ściśle z Wydziałem Prawa Uniwersytetu Hawańskiego.

Kuba jest jedynym krajem Ameryki Łacińskiej, który wyprodukował własne szczepionki antycovidowe. Nie korzysta z rosyjskiej szczepionki Sputnik, jak Meksyk czy Argentyna. Czy poza tym, że wykorzystuje własne szczepionki dla swoich

► **obywateli, gotowa jest wysłać je za granicę?**

– Nieprawdą jest, że sytuacja zdrowotna na Kubie jest niekontrolowana, jak próbowały tego dowieść różne media. Nasz model ochrony zdrowia jest skuteczny, powszechny i bezpłatny, jest przejawem polityki integracji społecznej. Dysponujemy zdolnym, wykwalifikowanym i oddanym personelem, skutecznie walczącym ze wzrostem infekcji powodowanym przez nowe odmiany koronawirusa. Dane dotyczące liczby zakażonych i zmarłych są nieporównywalne z danymi innych krajów, i to na przekór amerykańskiej blokadzie i wysiłkom USA, by utrudnić nam dostęp do niezbędnego sprzętu, surowców, leków i zaopatrzenia.

Talent i praca naszych naukowców pozwoliły nam wyprodukować dwie pierwsze szczepionki przeciw COVID-19 w Ameryce Łacińskiej. Mamy własną Abdalę o wysokiej skuteczności – 92,8%, a także Soberanę 2, znajdującą się w końcowej fazie badań. Dzięki temu do końca

sierpnia zaszczepimy 70% Kubańczyków. Do końca roku zaszczepiona będzie cała populacja, a to pozwoli nam również na współpracę z innymi krajami w zwalczaniu pandemii. Na marginesie chciałbym dodać, że kubański sektor biochemiczny proponował współpracę polskim odpowiednikom, ale niestety skończyło się na spotkaniu wstępnym.

Ponad pół miliona Kubańczyków pracuje na własny rachunek.

Jakie działania podejmuje diaspora kubańska w USA?

– W odróżnieniu od antykubańskich środowisk politycznych na Florydzie, społeczność kubańska w innych regionach Stanów Zjednoczonych i w różnych krajach świata stworzyła szeroki ruch solidarności z Kubańczykami na wyspie. W Stanach Zjednoczonych manifestuje się od miesięcy przeciw blokadzie Kuby na rzecz normalnych relacji

między oboma krajami, opartych na zasadach poszanowania. Inicjatorem ruchu jest mieszkający tam od wielu lat prof. Carlos Lazo, który swoją kampanię nazwał Mosty Miłości (Puentes de Amor). W ramach kampanii tysiące Kubańczyków mieszkających w USA przejechało ponad 2 tys. km po całym kraju, by do Białego Domu przekazać swoje pokojowe przesłanie: No More Blockade, Unblock-Cuba, LetCubaLive. Podobne szerokie ruchy przeciwko blokadzie były organizowane w Europie, Azji i Ameryce Łacińskiej.

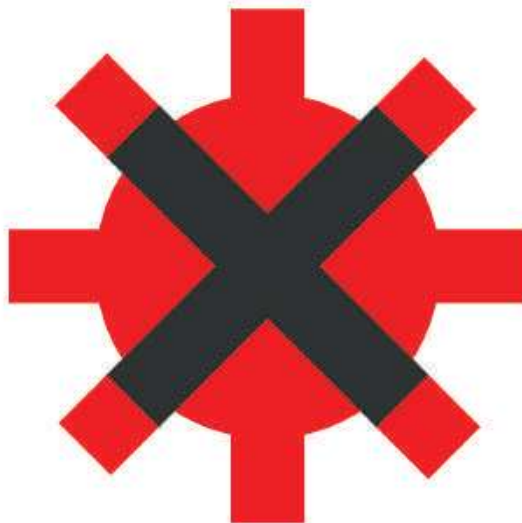
Jakie są możliwe scenariusze rozwoju sytuacji?

– Mimo olbrzymich kłopotów nasze instytucje funkcjonują normalnie. W rozwiązywaniu narosłych trudności pomaga nam wrodzony patriotyzm i kreatywność społeczeństwa, które chce być niezależnym, suwerennym, zamożnym i otwartym dla wszystkich, budującym demokrację i socjalizm, na który postawiło.

Lech Miodek



WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL



RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ, WPŁAĆ NA KONTO PCK 16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Mozemy w Polsce zaobserwować bardzo ciekawy eksperyment medialny, który zaowocował powstaniem konglomeratu pism jednobrzmiących, schematycznych i choć niemal wzorcowych w jednorodności – to czasem nieprzewidywalnych i zaskakujących. Są to tzw. tygodniki opinii prawicowej, w odróżnieniu od tygodników opinii. W tych ostatnich, mimo rozpoznawalnej linii redakcyjnej i jakiejś ramowo identyfikowalnej polityki zespołu, można znaleźć teksty wobec głównego czy dominującego nurtu polemiczne, dyskusyjne, odmienne. Zdarza się zapraszanie autorów czy rozmówców do wywiadów spoza redakcyjnej „bańki”. W tygodnikach opinii prawicowej takich szaleństw, odchyłeń ani fanaberii po prostu nie ma. To są pisma, które, nie mając wspólnego koncernu zarządzającego treściami i pieniędzmi, zachowują się jak pododdziały zwarte ideologicznego natarcia: tematy te same, wrogowie ci sami, problemy identyczne i powtarzalne, wąska pula komentujących, najlepiej członków redakcji (z fundamentalną dominacją

seksualną. O tym jednak „Rzeczpospolita” się nie zająknęła. Ale może redaktorzy tego dziennika wiedzą, jaka nauka posługuje się prawomocnie takimi zwrotami i kliszami pojęciowymi, których użył Dariusz Oko, określając osoby homoseksualne m.in. jako „kolonię pasożytów”, „rozrost nowotworowy” i „dumą homoseksualną”. Ich prawa nazwał „ideologią homo” i „herezją homo”. I właśnie użycie tych sformułowań niemiecki sąd uznał za „podżeganie do nienawiści”, bo tymże te słowa i zwroty są oraz taką funkcję miały pełnić.

Dariusz Oko od lat prowadzi swoją prawicową krucjatę przeciwko homoseksualistom, chcąc przekierować w przestrzeni medialnej na te właśnie środowiska (w tym na tzw. lobby gejowskie w Kościele katolickim) zarzuty wobec osób duchownych o przestępstwa gwałtów i nadużyć wobec dzieci. To, co w Polsce uchodzi mu na sucho lub nawet wzbudza jawne poparcie i aplauz skrajnych środowisk prawicy oraz elit władzy (po wyroku mocno gardłował w obronie „wolności nauki” wiceminister

Cios prosto w Oko

mężczyzn, bo wiadomo: konserwatyzm i prawica to męska specjalność). Czyli, w największym skrócie, parafrazując anegdotę o przedwojennych mercedesach, mamy tu pisma różnobarwne, różnorodne i wielobarwne, pod warunkiem że będzie to kolor brązowy. Pisma te próbują oczywiście sprawić wrażenie, że różnią się od siebie, i czasami rzeczywiście tak jest, szczególnie gdy się okazuje, że ich patroni polityczni weszli np. w jakiś spór w łonie rządzącej elity (podatki, lex TVN, szczepionki, spór z Unią). Ale czasami wszystkie te pozorne różnice znikają jak obłoczki i nadciągają potężne czarne chmury wspólnych obsesji czy mitycznych wrogów. Coś takiego mogliśmy zaobserwować w ubiegłym tygodniu, kiedy z nic lub niewiele znaczącego wydarzenia (epizodu sądowego spoza Polski) trzy główne tygodniki opinii prawicowej zrobiły temat czołówkowy, okładkowy, główny numer.

Cóż tak wstrząsnęło światem polskiej prawicy medialnej, że zawyla jednym głosem? Otóż sąd w Kolonii (Niemcy) wydał wyrok skazujący pana Dariusza Oko (polski ksiądz, doktor habilitowany nauk humanistycznych, Uniwersytet Papieski w Krakowie) za „podżeganie do nienawiści” w artykule opublikowanym w niemieckim magazynie „Theologisches”. Za winnego uznał również 90-letniego redaktora naczelnego pisma ks. Johanna Stöhra. Jak relacjonuje „Rzeczpospolita”, w tekście Dariusz Oko „opisywał działania wewnątrzkościelnej zorganizowanej grupy przestępczej, połączonej z praktykami homoseksualnymi, która działa na szkodę nieletnich i wykorzystuje zależnych od niej kleryków”. Bynajmniej nie owa naukowa (nauka nie zajmuje się publikowaniem doniesień kryminalnych) publikacja ze swoją treścią przyciągnęła uwagę kolońskiego sądu, tylko użyte w niej bardzo konkretne i pochodzące całkowicie spoza języka jakiegokolwiek nauki terminy i pojęcia o jednoznacznym wymiarze dyskryminującym i stygmatyzującym w związku z orientacją

sprawiedliwości Marcin Romanowski – a przypomnijmy, że to polityczne zaplecze Zbigniewa Ziobry stoi za polityczną nagonką na środowiska, świat ludzi LGBT w Polsce, owocującą setkami aktów agresji, pobić czy pogromów), w Niemczech kończy się wyrokiem grzywny w wysokości 4,8 tys. euro lub 120 dniami aresztu. Stąd dzięki wzmocnienie tygodników „Sieci”, „Gazeta Polska”, „Do Rzeczy” i tytułatoryjna histeria: „Tak działa niemiecki knebel”, „Przeczytaj tekst, za który Niemcy skazali ks. Oko”, „Skazany za prawdę”.

Sam skazany mości się już w niemieckich kazamatach, pozuje na umęczonego Jezusa, zamordowanego Popieluszkę i pierwszych chrześcijan pożeranych przez lwów w Koloseum – a jest po prostu funkcjonariuszem i siewcą nienawiści wobec osób LGBT, co w standardowym procesie udowodnił niemiecki sąd. Ale w Polsce księży z powodu wylewania hektolitrow nienawiści nie stają przed żadnymi sądami, nagminnie natomiast staje się to doświadczeniem innych: m.in. chłopca, który w przedsionku kościoła w Zawierciu nie zdążył w mroźną noc zdjąć czapki, aktywistki oskarżanej o obrazę uczuć religijnych poprzez rozwieszenie plakatów z tęczową Maryją bądź trzech mężczyzn, którzy przewrócili pomnik prałata Jankowskiego, pedofila krzywdzącego chłopców i dziewczynki przez kilkadziesiąt lat.

Niemal urzędowa bezkarność polskich księży katolickich została więc poważnie urażona decyzją niezawisłego sądu w Kolonii, który rozumie znaczenie wypowiedzianych przez Dariusza Oko słów, nie da się zwać jego naukowej tytułaturze, mającej dać alibi nienawistnym, a nie naukowym, poglądom. Uderz w Oko, nożyce całej prawicy się odezwą. To jednak niesamowite, jak niewielka grzywna potrafiła zabość. I bardzo dobrze. Życzę więcej bólu.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

A jednak Trzecia

Nie byłoby Trzeciej Rzeczypospolitej, gdyby nie Polska Ludowa

Paweł Siergiejczyk

Czy Trzecia Rzeczpospolita jeszcze istnieje? Są autorzy, którzy udzielają na to pytanie zdecydowanej odpowiedzi. Prof. Andrzej Romanowski we wstępie do książki „Antykomunizm, czyli upadek Polski” stwierdza: „Trzecia Rzeczpospolita była najlepszym państwem w polskich dziejach. Ale była nie do utrzymania – podkopywana przez antykomunizm i katolicyzm, została skazana w kolebce. Ta sekwencja wydarzeń dopiero dziś układa się w logiczną całość. Bo dopiero dziś możemy zobaczyć, co naprawdę się stało w momencie zaprzysiężenia przez prezydenta Andrzeja Dudę sędziów dublerów Trybunału Konstytucyjnego. Jakże łatwo, jak niemal niezauważalnie wtedy, nocą z 2 na 3 grudnia 2015 r., Trzecia Rzeczpospolita przestała istnieć”.

Czy jednak wybitny krakowski intelektualista nie idzie w pesymizmie zbyt daleko? Oczywiście dla nikogo uczciwie myślącego nie ulega wątpliwości, że w ową posępną noc grudniową rozpoczął się proces coraz bardziej ordynarnego łamania konstytucji przez pisowską władzę. I nieprzypadkowo początkiem tego procesu był zamach na Trybunał Konstytucyjny, czyli ten organ władzy sądowniczej, który mógłby – i powinien – łamać konstytucję na każdym kroku piętnować i blokować. Dzisiaj, po pięciu i pół roku funkcjonowania Trybunału „z przetrąconym kręgosłupem”, nie ulega wątpliwości, że konstytucja RP z 1997 r. jest już tylko pięknym zabytkiem z poprzedniej epoki, w której władza (wówczas lewicowa) była zdolna sama się ograniczać, by wspólnie z opozycją (też raczej centrolewicową niż prawicową) dać państwu nową ustawę zasadniczą.



Prezydent Aleksander Kwaśniewski podpisuje zarządzenie w sprawie ogłoszenia w Dzienniku Ustaw konstytucji uchwalonej w dniu 2 kwietnia 1997 r. przez Zgromadzenie Narodowe.

Pierwsza Rzeczpospolita istniała więc do trzeciego rozbioru, Druga Rzeczpospolita funkcjonowała od momentu odzyskania niepodległości w roku 1918 do jej utraty w roku 1939 (z symbolicznym przedłużeniem działania władz na emigracji), a Trzecia Rzeczpospolita narodziła się – jak stwierdza preambuła jej konstytucji – „odzyskawszy w 1989 roku możliwość suwerennego i demokratycznego stanowienia o Jej (Ojczyzny – przyp. aut.) losie”.

Inaczej zatem niż u Francuzów, którzy nigdy nie utracili na dłużej suwerennego bytu państwowego, u nas to właśnie suwerenność

Konstytucja z 1997 r. jest już tylko pięknym zabytkiem z poprzedniej epoki, w której władza – wówczas lewicowa – była zdolna sama się ograniczać.

A jednak prof. Romanowski i inni autorzy, którzy już pogrzebali Trzecią Rzeczpospolitą, popełniają pewien błąd, wynikający z utożsamienia państwa z jego systemem prawno-politycznym. Być może ten błąd ma źródło w zasugerowaniu się tradycją francuską, w której każda kolejna konstytucja dawała początek nowej Republice: Pierwszą Republikę powołała do życia rewolucja francuska, Drugą – Wiosna Ludów, Trzecią – klęska w wojnie z Prusami, Czwartą – wyzwolenie Francji po II wojnie światowej, a Piątą – determinacja gen. de Gaulle’a po powrocie do władzy w końcu lat 50.

Polska tradycja jest jednak inna. U nas numeracja Rzeczypospolitej wiązała się nie z nową konstytucją, lecz z niepodległym bytem państwa.

jest „miarą państwowości”, nie zaś kolejne konstytucje, których mieliśmy wiele i niestety zwykle nie były one szanowane nawet przez elity państwa, w którym miały obowiązywać. Deptanie ustawy zasadniczej przez obecną władzę nie jest więc w Polsce niczym nowym – raczej należałoby powiedzieć, że wpisuje się w smutną polską tradycję. To przestrzeganie litery i ducha konstytucji przez większość klasy politycznej w latach 1997-2015 było czymś wyjątkowym na tle naszych dziejów.

Czy zatem Trzecia Rzeczpospolita, rozumiana jako niepodległe państwo polskie, rzeczywiście przestała istnieć wraz z połamaniem jej porządku konstytucyjnego przez PiS? Na szczęście nie! Bo nawet Jarosław Kaczyński i jego fatalna ekipa nie są

w stanie odebrać Polsce niepodległości – choć swoją bezmyślną polityką zagraniczną z pewnością ją osłabiają, jak na ironię nazywając siebie przy tym „obozem niepodległościowym”. Ale tak często pojawiające się w kręgach opozycyjnych porównania obecnej władzy z targowicą są tylko częściowo trafne. Bo choć targowiczanie byli równie nieprzychylni wobec Zachodu i nowoczesności jak dzisiejsza polska prawica, to obecna Polska nie graniczy z mocarstwami, które byłyby w stanie odebrać jej suwerenność, wykorzystując do tego rodzimych „obrońców tradycji”.

To nasze wielkie szczęście, że od 30 lat nikt nam z zewnątrz nie zagraża: ani Rosja, która jest na to za słaba, ani Niemcy, które stanowią jeden z fundamentów (być może nawet najsolidniejszy) demokratycznego Zachodu. To również szczęście polskiej prawicy, która nie ma okazji odegrać tak fatalnej roli jak targowica pod koniec Pierwszej Rzeczypospolitej. A przynależność do Unii Europejskiej i NATO zmusza każdą władzę, nawet najgorszą, do przestrzegania podstawowych reguł nowoczesnej demokracji. Już słyszę zarzut: ale przecież zarówno Kaczyński, jak i Orbán wyczyniają to, co wyczyniają, mimo przynależności ich krajów do struktur Zachodu. Oczywiście to prawda, ale spróbujmy sobie wyobrazić, na co ci politycy pozwoliliby sobie, gdyby Polska i Węgry nie należały do UE i NATO. Wystarczy spojrzeć choćby na wschodnie despoty – od Mińska po Pekin – by docenić dziejową rolę tych polityków, którzy umocowali Polskę w strukturach zachodnich. Szczególnie rolę prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który wraz z premierami Leszkiem Millerem i Włodzimierzem Cimoszewiczem przeprowadził polską lewicę „na drugi brzeg” geopolitycznego myślenia, co miało decydujące znaczenie w tworzeniu ogólnonarodowego konsensusu w sprawach zagranicznych.

Mamy więc nadal Trzecią Rzeczpospolitą – i dzięki Bogu, że mamy. Chłodno myślącemu historykowi wypada zgodzić się z prof. Romanowskim, że po roku 1989 było to najlepsze państwo w polskich dziejach. Przede wszystkim dlatego, że

powstało nie na gruzach wojen czy rewolucji, lecz na gotowym fundamencie, który budowano od 1945 r. Bo nie byłoby Trzeciej Rzeczypospolitej, gdyby nie Polska Ludowa, której elity – przez dziesięciolecia siłą rzeczy zależne od ZSRR – w końcu lat 80. wykorzystały możliwość wybicia się na niepodległość, wyciągając w tym celu rękę do ludzi opozycji. Powiedzmy sobie jasno: nie byłoby

Elity Polski Ludowej w końcu lat 80. wykorzystały możliwość wybicia się na niepodległość, wyciągając w tym celu rękę do opozycji.

Trzeciej Rzeczypospolitej, gdyby nie tak postępowane dziś Okrągły Stół i wybory kontraktowe, gdyby nie prezydentura Wojciecha Jaruzelskiego i rząd Tadeusza Mazowieckiego, gdyby nie dobra wola oraz instynkt państwowotwórczy ludzi PZPR i ludzi Solidarności.

Taką Trzecią Rzeczpospolitą opłakuje prof. Romanowski i tylu jego rówieśników, bo taką chcieli ją widzieć i mieli nadzieję, że jej ideowy fundament będzie trwał. Ale w historii politycznej nic nie jest trwałe: szlachetni idealisci, którzy pragnęli budować państwo dla wszystkich obywateli, państwo bez zemsty i nienawiści, szybko zaczęli być wypychani przez cynicznych populistów drapujących

się w szaty prawdziwych patriotów. Można wręcz wyrazić zdziwienie, że totalne rządy tych ostatnich nastąpiły tak późno – ćwierć wieku po odzyskaniu suwerenności. Na szczęście już po umocowaniu Polski w strukturach zachodnich.

Nie czas więc urządzać przedwczesny pogrzeb Trzeciej Rzeczypospolitej, skoro to państwo nadal istnieje – aczkolwiek w formie mocno

zdegenerowanej i jakże dalekiej od ideałów, które leżały u jego początków. Warto natomiast myśleć o przyszłości. Bo nasze państwo – jestem o tym głęboko przekonany – ma przed sobą przyszłość, i to lepszą niż to, co widzimy dzisiaj. Trzeba jednak wyciągać wnioski z przeszłości i zrobić wszystko, aby ci, którzy za jakiś czas przejmą po PiS ster nawy państwowej, nie popełniali tych samych błędów co ich poprzednicy w pierwszym ćwierćwieczu trzeciej niepodległości. Aby odbudowali Trzecią Rzeczpospolitą jako naprawdę demokratyczne i praworządne państwo wszystkich obywateli.

Paweł Siergiejczyk jest historykiem i publicystą

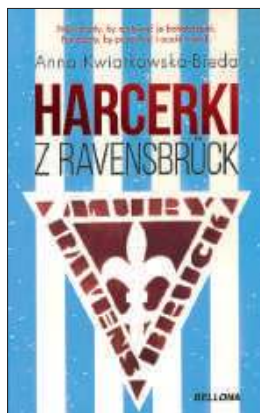
HARCERKI Z RAVENSBRÜCK

To reporterska opowieść. W obozie Ravensbrück działały w pełnej konspiracji drużyny harcerek – Szare Szeregi i Mury, siedem zastępów, przez które przeszło ponad 100 więźniarek. Tworzyły je w większości przedwojenne harcerki. Poznajemy je w działaniu, w obozowym życiu. Józefa Kantor, Renée Skalska, Helena Korewina, Wanda Półtawska, Krystyna Czyż i dziesiątki innych... Ich nazwiska i losy przewijają się przez karty opowieści o życiu i śmierci w Ravensbrück, walce o kawałek chleba, o zachowanie godności. Harcerki pomagały chorym, pomagały „królikom”, czyli więźniarkom, na których przeprowadzano eksperymenty medyczne. Potrafiły przemycić w świat prawdę o tym, co w Ravensbrück się działo.

Opowieść straszna, bo był to nieludzki obóz, i piękna zarazem, bo pokazująca wielką wewnętrzną siłę tych, którym hitlerowcy odmawiali prawa do bycia ludźmi.

/W

Anna Kwiatkowska-Bieda, *Harcerki z Ravensbrück*, Bellona, Warszawa 2021



Zanim nadejdzie wielka powódź

ZROZUMIEĆ PRZYCZYNĘ I NATURĘ ŻYWIOŁÓW

Piotr Kowalczak,
Krzysztof Szamatek

Gwałtowne zjawiska pogodowe obserwowane w ostatnich latach na całym świecie każą zadawać pytania o ich przyczyny, możliwości zapobiegania im czy choćby zrozumienia prawidłowości i dynamiki ich rozwoju. Historia geologiczna Ziemi jest wystarczająco długa i dobrze poznana (ok. 5 mld lat), by stwierdzić, że wszystkie zjawiska żywiołowe już kiedyś się zdarzyły, i to wielokrotnie. Tym, co odróżnia zjawiska z odległej przeszłości od obecnych wydarzeń, jest obecność człowieka, mogącego reagować i działać. Nasze spojrzenie na tę problematykę wynika z uprawianych przez nas zawodów – hydrologa i geologa. Spróbujmy zatem odpowiedzieć sobie na kilka pytań.

1. Co było przyczyną ostatnich tragicznych powodzi w Europie?

W Europie Zachodniej, w Niemczech, Belgii, Holandii, Luksemburgu, a potem w krajach sąsiednich, powódzie wystąpiły w połowie drugiej dekady lipca. Zdaniem meteorologów ich przyczyną nie były rekordowe opady dobowe, chociaż Światowa Organizacja Meteorologiczna (WMO) poinformowała, że w niektórych częściach Europy Zachodniej w ciągu dwóch dni spadło tyle deszczu, ile zwykle w dwa miesiące. Powódzie były skutkiem długich i ciągłych, intensywnych opadów.

Jak na kraje o bardzo nowoczesnej infrastrukturze zanotowano bardzo dużo ofiar w ludziach. Przykładem może być Nadrenia-Palatynat w Niemczech, a w szczególności położona w zlewni rzeki Ahr osada Schuld, gdzie zginęło 50 spośród 600 mieszkańców. W Belgii duże zniszczenia notowano m.in. w Liège. W Holandii najtrudniejsza sytuacja była w okolicach Maastricht, gdzie służby musiały ewakuować mieszkańców czterech miejscowości: Bunde,

Voulwames, Brommelen i Geulle. Trzeba było także ewakuować ludzi z niszczonego powodzią Valkenburga.

Trwają jeszcze poszukiwania ponad tysiąca zaginionych oraz szacowanie strat. Wstępnie ich wielkość określono na 20-30 mld euro. Ostateczne ustalenia będą możliwe dopiero po ustąpieniu wód, co jednak potrwa, gdyż zalane zostały głównie tereny płaskie, nizinne, z których część położona jest w depresji; dlatego woda z tych obszarów będzie ustępować bardzo wolno. Zwłaszcza że 25 lipca kolejna fala intensywnych opadów nawiedziła Belgię i północną Holandię.

2. Czy podobne sytuacje grożą Polsce?

Oczywiście tak. Powódzie są skutkiem występowania przez dłuższy czas intensywnych opadów, spowodowanych specyficzną, powtarzalną sytuacją synoptyczną. Podczas obecnej powodzi w Niemczech zanotowano opady w przedziale 100-200 mm w okresie kilku dni. Natomiast w Polsce powódź w 1997 r. spowodowały znacznie wyższe opady, np. od 4 do 9 lipca były to opady powyżej 600 mm, ale pojawiły się w krótszym czasie i na zdecydowanie mniejszej powierzchni. Przyczyną powodzi zachodnioeuropejskiej było zatrzymanie nad Europą Środkową strefy niskiego ciśnienia z masami wilgotnego powietrza znad Morza Śródziemnego, nazwanej Bernd,

Rosji. W rezultacie powstaje obszar intensywnych opadów.

Powódzie o identycznej genezie występują także w Polsce. Nie są one zjawiskiem nadzwyczajnym. Zdarzają się mniej więcej co 100 lat. Na dużych rzekach wielkie powódzie wystąpiły np. na Odrze w 1903 i 1997 r. W czasie powodzi tysiąclecia z 1997 r. przekroczone zostały najwyższe dotąd notowane stany wody na Odrze. Najtragiczniejsza powódź miała miejsce w 2010 r. w Bogatyni, gdzie wylała rzeka Miedzianka. W ciągu dwóch godzin zalane zostało 75% powierzchni miasta. W niektórych miejscach głębokość wody wynosiła 5 m. Woda zniszczyła budynki mieszkalne i mosty. Zginęły cztery osoby. Poszkodowanych zostało 1,2 tys. rodzin. Miasto było całkowicie odcięte od świata. Straty oszacowano na 250 mln zł. Wcześniej taka powódź zdarzyła się w 1916 r. Na rzece Ahr podobne powódzie jak tegoroczna wystąpiły w 1804 i 1910 r. Potwierdza się zatem powiedzenie, że najstarsi ludzie takich tragedii nie pamiętają.

3. Czy przyczyną zjawisk żywiołowych jest globalne ocieplenie?

Klimatolodzy zdecydowanie odrzucają taką tezę. Powódź jest rezultatem okresowo występującej blokady podążających z południa na północ ośrodków niżowych przez wyżę skandynawskie lub rosyjskie, czego skutkiem są duże sumy opadów.

Zmasakrowano miejskie sieci hydrograficzne – zniknęły ciek, zbiorniki wodne i obszary wodno-błotne, ubyło obszarów zielonych.

która została zablokowana między obszarami wysokiego ciśnienia położonymi na zachód i wschód od niej. Taka sytuacja to typowy schemat powstawania powodzi letnich w Europie. Zwykle wilgotne masy powietrza znad Morza Śródziemnego są transportowane na północ i tam blokowane przez wyżę ze Skandynawii lub

Jak podała BBS News, „najlepsi klimatolodzy przyznali, że nie udało im się przewidzieć intensywności niemieckich powodzi i kopuły termicznej w Ameryce Północnej. (...) Twierdzą, że przyczyną są ich komputery, które nie posiadają wystarczającej mocy, aby dokładnie określić wielkość tych skrajności”. Opinia ta mija się



Powódź w belgijskim mieście Liège.

z prawdą, gdyż przynajmniej od powodzi w 1997 r. systemy prognoz i ostrzegania są stale doskonalone i możemy zaryzykować twierdzenie, że odąd wszystkie zagrożenia powodziowe były poprzedzone prognozami i ostrzeżeniami. Na przykład o powodzi zachodnioeuropejskiej ostrzegano cztery dni wcześniej, a w przypadku powodzi w 1997 r. na Odrze – 30 godzin przed wystąpieniem opadów. Co z tymi informacjami robią rządowe i lokalne ośrodki decyzyjne, to już inne zagadnienie. Obecny system prognoz w ramach Europy jest sprawny i doskonale zintegrowany. Natomiast system ostrzeżeń wymaga ciągłego doskonalenia. Z całą odpowiedzialnością stwierdzamy, że dotychczasowe wyniki modeli IPCC mają niewielkie znaczenie praktyczne, zwłaszcza w działaniach kryzysowych. Należy bowiem odróżnić pogodę od klimatu.

4. Jakie nauki wyciągamy z tragedii Europy Zachodniej i polskich doświadczeń?

Powódź z 1997 r. doprowadziła do przełomu w dziedzinie ochrony przeciwpowodziowej w Polsce, potwierdziła konieczność rozbudowy i modernizacji służby hydrologiczno-meteorologicznej w celu stworzenia nowoczesnej sieci osłonowej kraju. Bardzo szybko zaktualizowano czekający od lat 90. XX w. plan modernizacji sieci pomiarowo-obsługowej IMGW. Wzmocniono odporność

sieci na wystąpienie ekstremalnych warunków hydrologiczno-meteorologicznych, wymieniono większość urządzeń pomiarowych, zbudowano nowy system łączności. Pozwala to obecnie na monitoring warunków hydrologiczno-meteorologicznych w czasie rzeczywistym, co stanowi podstawę działań w trakcie powodzi

Z globalnym ociepleniem skutecznie walczyć się nie da, należy się adaptować do nieuchronnych zmian.

lub innych zjawisk ekstremalnych. Do systemu monitoringu wprowadzono System Lokalizacji Wyładowań Atmosferycznych i System Radarów Meteorologicznych. Nowoczesne urządzenia pomiarowe znacznie poprawiły jakość i zakres pomiarów. Nowe modele matematyczne służące prognozowaniu pogody poprawiły też jakość prognoz i pozwoliły na nawiązanie efektywnej współpracy z ośrodkami za granicą. Ważnym zakupem był nowoczesny komputer wielkiej mocy.

Po 1997 r. powstały mapy zagrożenia powodziowego i mapy ryzyka powodziowego, które są dokumentami planistycznymi, opracowanymi zgodnie z dyrektywą Parlamentu Europejskiego i Rady z 23 października 2007 r. w sprawie oceny ryzyka powodziowego i zarządzania nim. Mapy te stanowią podstawę podejmowania działań mających na celu ograniczenie negatywnych skutków powodzi

dla zdrowia i życia ludzi, działalności gospodarczej, środowiska i dziedzictwa kulturowego.

Konieczna jest zmiana podejścia do oceny występowania zjawiska wielkich wód i ich powstawania. Należy wykorzystywać naturalne cechy zlewni i tworzyć umiejętnie sztuczne elementy sieci hydrograficznej, a teren tak zagospodarowywać, by móc zatrzymać jak największą ilość wody w zlewni. Na razie nasze działania są reaktywne, po powodziach walczymy z powodziami, po suszach walczymy z suszą. A przecież zarówno susze, jak i powodzie zwalczamy takimi samymi metodami i środkami.

Potrzeba działań, które przyczynią się do lepszego zagospodarowania szczególnie wód opadowych, a więc przede wszystkim rozwoju małej retencji. Od 1998 r. czeka na pełne wdrożenie hierarchia potrzeb małej retencji w Polsce pozwalająca na planowanie przedsięwzięć w tej dziedzinie. Mamy przygotowane kilka lat temu wojewódzkie programy małej retencji (tylko w części zrealizowane). Trzeba przedyskutować celowość niektórych przedsięwzięć ujętych w tych dokumentach, dokonać aktualizacji,

a zwłaszcza uwzględnić uwagi rolników i ekologów. Ale przede wszystkim należy kontynuować działania na rzecz małej retencji. Tak bardzo brakuje nam dobrze utrzymanych, mocno osadzonych w tradycji wiejskiego krajobrazu stawów, odbudowy sieci hydrograficznej.

Dyskusja na temat znaczenia i roli wody w miastach w Polsce rozpoczęła się stosunkowo niedawno. Tradycyjnie za wszystkie mankamenty w zarządzaniu wodą wini się poprzedników. Za susze, powodzie, melioracje wodne, regulacje rzek przemienne oskarża się zaborców, potem czasy PRL. Jednak działania melioracyjne w tamtym okresie były całkowicie zgodne z założeniami ówczesnej polityki gospodarczej i przynajmniej doraźnie skutecznie realizowały cele tej polityki. Od XIX w., wskutek budowy kanalizacji, również miasta zaczęły być intensywnie odwadniane. Na to nałożył się problem



Powódź w Bogatyni w 2010 r.

► rosnącego udziału powierzchni nieprzepuszczalnych, ograniczających zasilanie wód podziemnych i zatrzymywanie wód z opadów atmosferycznych na obszarach miast. Jednak problem odwodnienia obszarów zurbanizowanych jest pomijany przez decydentów. A przecież zmasakrowano miejskie sieci hydrograficzne – zniknęły ciek, zbiorniki wodne i obszary wodno-błotne, ubyło obszarów zielonych. Do końca pierwszej dekady XXI w. dominującą przyczyną tych zmian w Polsce było według opracowania IPCC globalne ocieplenie. Takie stanowisko było bardzo dobrym usprawiedliwieniem dla decydentów. Jednak po powodzi z lipca 2021 r., która szczególnie dotknęła obszary

zurbanizowane, istnieje konieczność bardziej realistycznej oceny sytuacji. Za bardzo potrzebną i oczekiwaną w gronie „wodziarzy” należy uznać przedstawioną przez wiceministra infrastruktury Marka Gróbarczyka na posiedzeniu Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego propozycję włączenia do systemu ochrony przeciwpowodziowej map powodzi miejskich spowodowanych wodami opadowymi oraz roztopowymi. Opracowania w tej dziedzinie lokalnie są znacznie zaawansowane, jednak dotychczas musiały ustępować poglądom związanym z globalnym ociepleniem. To jest konkret. Powyższe prace będą musiały przebiegać równolegle z działaniami w dziedzinie

zagospodarowania przestrzennego stanowiącego podstawę właściwego zagospodarowania wód i ochrony przed skutkami ekstremalnych zjawisk hydrologiczno-meteorologicznych.

W tej dziedzinie na szczęście mamy dobre przykłady i w kraju (Bydgoszcz), i za granicą (Berlin), gotowe do natychmiastowego wdrożenia.

5. Czy możemy ochronić się przed powodziami?

Żywiotowe zjawiska naturalne występowały i będą występować niezależnie od naszej woli. Zadaniem społeczeństw jest poznanie ich dynamiki, ostrzeganie przed ich wystąpieniem i ochrona ludzi (ale już nie ich dobytku materialnego). Najskuteczniejsza jest prewencja, choć ona może najczęściej zmniejszać skalę następstw zjawisk żywiołowych, nie zaś im zapobiegać. To nawiązanie do polityki kojarzenia wszystkich anomalii pogodowych ze wzrostem zawartości dwutlenku węgla w atmosferze. Nie wszyscy podzielają ten pogląd. Istnieje wiele dowodów geologicznych na to, że w przeszłości zawartość dwutlenku węgla w atmosferze była wielokrotnie wyższa niż obecna i ta prognozowana, a na Ziemi występowały zjawiska globalnego ochłodzenia (interesujące w tej sprawie jest stanowisko Komitetu Nauk Geologicznych PAN z 2019 r. – www.kng-pan.agh.edu.pl/wp-content/uploads/Stanowisko-KNG_klimat_2019.pdf).

Jeśli zatem jest to naturalny cykliczny proces na Ziemi, to żadne nasze działania nie powstrzymają tego procesu. Należy więc myśleć o działaniach adaptacyjnych, które będą skuteczniejsze i społecznie bardziej akceptowane. W debacie publicznej myli się bowiem często różne pojęcia: zanieczyszczenie, ochronę środowiska oraz globalne ocieplenie. Z zanieczyszczeniem należy, trzeba i można walczyć, ochronę środowiska należy realizować tak szeroko, jak tylko się da, ale z globalnym ociepleniem skutecznie walczyć się nie da, należy się adaptować do nieuchronnych zmian...

Dr hab. Piotr Kowalczak jest hydrologiem, emerytowanym pracownikiem Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej

Prof. dr hab. Krzysztof Szamalek jest geologiem z Uniwersytetu Warszawskiego, byłym wiceministrem środowiska odpowiedzialnym za gospodarkę wodną

Gdzie szukać informacji o zagrożeniach

Najwięcej informacji na temat zagrożeń, meteorologii i hydrologii w Polsce można znaleźć na publicznym portalu Informatycznego Systemu Osłony Kraju. Dzięki ISOK każda osoba mająca dostęp do internetu może sprawdzić, czy zamieszkuje obszar zagrożony powodzią, a jeśli tak, to jak duże jest zagrożenie. Odbiorcami są też wszystkie instytucje zaangażowane w zarządzanie kryzysowe, a także inne instytucje państwowe i samorządowe, uczelnie, instytuty badawcze, media itd. ISOK zawiera mapy: zagrożenia powodziowego, ryzyka powodziowego, zagrożeń meteorologicznych (np. burz czy intensywnych opadów) i innych (np. mapy zagrożonych ujęć wody lub ryzyka awarii przemysłowych).

Strona internetowa IMGW zawiera szczegółowe informacje dotyczące stanu i prognoz pogody, jak również zjawisk hydrologicznych. W przypadku wystąpienia zagrożenia należy przeglądać prognozy, komunikaty i ostrzeżenia hydrologiczne i meteorologiczne wydawane przez Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej – Państwowy Instytut Badawczy. W okresie zagrożenia należy dodatkowo zapoznać się z instrukcjami dotyczącymi powodzi zamieszczonymi na stronach internetowych Rządowego Centrum Bezpieczeństwa (www.rcb.gov.pl) oraz Państwowej Straży Pożarnej (www.straz.gov.pl). W okresie poprzedzającym powódź i podczas jej trwania należy korzystać z informacji lokalnego sztabu kryzysowego dostarczającego szczegółowych danych dotyczących miejsca, w którym przebywamy.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Karmieni cierpieniem

Wracając z zamku Kliczków, spędzam dwa dni we Wrocławiu. Cały czas z rodziną, więc trochę przyjemności, a wiele stresów. Dzieci trudne, a żona ma krótki lont, czyli szybko traci cierpliwość. Antoś kinoman zamarzył sobie kino VIP, bodaj jedyne takie w Polsce, Franio z kolei musi być w zoo, też jedyne takie w Polsce. Dzieci współczesne, wychowywane w duchu przyzwolenia na wszystko, są pewne, że wszystko im się należy. A ich marzenia przeradzają się od razu w obsesję. Zostawiamy dwójkę „potworów” w kinie i instalujemy się w wynajętym apartamencie. Późnym wieczorem chwila wyciszenia, spacerujemy po Ostrowie Tumskim, podświetlone kościoły i kamienice, mosty, woda, jest magicznie. Można by powiedzieć, że cała Polska pięknieje i się poprawia, gdyby nie zaszpecało nas PiS. Wrocław to też nowa, ciekawa architektura, wiele starych kamienic zaś odnowiono i miasto kwitnie. Wojna i zniszczenia nie zabrały mu duszy, co przydarzyło się Warszawie, wszystko przez to nieszczęsne powstanie.

Znowu wielkie celebracje w rocznicę jego wybuchu. Wzmoczenie patriotyczne zdaje się tym bardziej wzmacniać, im więcej lat mija od samego zdarzenia. Dekoruje się ostatnich uczestników powstania, którzy brali w nim udział choćby symbolicznie. Niemal wszyscy już na wózkach inwalidzkich, przegrywają teraz wojnę z czasem. Moja mama brała udział w powstaniu, ale zawsze uważała je za błąd i nonsens, za zbrodnię niemal. Czemu więc tak celebrujemy najbardziej absurdalną i tragiczną klęskę w naszej historii? Czytam właśnie książkę, która ukazała się niedawno – „Rowerem przez II RP”. Bernard Newman, angielski pisarz i podróżnik, jedzie na rowerze przez Polskę roku 1934 i ją opisuje (do tej książki będę jeszcze wracał). Komentując polski stan ducha, pisze: „Polacy wolą się karmić cierpieniem niż zwycięstwami. Wprawdzie starają się obecnie ożywić romantyczne wspomnienia dawniejszej chwały, ale jednoczącym ich węzłem jest wspólne cierpienie”.

Aleksander Kwaśniewski, komentując powrót Tuska do polityki, mówi, że już nie ma energii i sił, on do polityki nie wróci. A wielka szkoda. To potencjalnie polityk numer trzy w Polsce, po Tusku i Kaczyńskim. Myślę o sile oddziaływania na ludzi. Mógłby odegrać istotną rolę w odebraniu władzy PiS. Kwaśniewski uważa, że w Polsce nadal przewagę ma żywioł konserwatywno-narodowo-katolicki. Może ma rację, ale to chyba się zmienia, z każdym rokiem przybywa Polaków myślących bardziej liberalnie. Czy na pewno?

Nowe badania mówią, że coraz więcej rodaków, już 17%, jest za polexitem, to echo ujadania PiS na Unię. I niestety grozi nam znowu wielka fala emigracji, wyjeżdżać będą ci bardziej energiczni i liberalni. Wyjadą, bo świat kusi, będą wyjeżdżać ludzie LGBT – chcą mieć normalne, godne życie (mój kolega z tej grupy właśnie wyjeżdża, do Czech, tam też jest inaczej), wyjadą młodzi, których irytuje zimna wojna domowa, która toczy się w Polsce.

Cały ten bal maskowy wygląda już tragikomicznie. Większość ludzi w miejscach, gdzie maski są obowiązkowe, nosi je tylko na ustach, by móc swobodnie oddychać nosem. W zoo wrocławskim były nieprawdopodobne tłumy. Wszyscy bez masek, a ludzie ocierali się o siebie. Gdy mieszkalem w hotelu w Zakopanem, wymagano, by do restauracji wchodzić w maskach, a potrawy ze szwedzkiego stołu pobierać w rękawiczce, w innym hotelu nikt tego nie wymagał. Ten brak konsekwencji jest jakoś zrozumiały, sytuacja epidemiczna jest pogmatwana i wiele w niej niewiadomych. A ja coraz bardziej jestem za obowiązkowymi szczepieniami. Jakby nie było ich w przypadku różnych chorób dziecięcych. Znamienne, że najmniej szczepień zostało wykonanych w województwach, które uparcie głoszą na PiS. Tam najwięcej myślenia spiskowego, zakutych łbów, wiary, że Ziemia jest płaska. To, że w Polsce i na świecie rosną w siłę ruchy antyszczepionkowców,

że radykalizują się i dokonują aktów agresji, jest ciekawym zjawiskiem psychologicznym. Podczepia się pod nie politycznie prawica, a u nas ruch narodowy i Solidarna Polska. Czyli wyznawcy spiskowego myślenia o świecie. Prawica nie chce stracić tych ludzi, bo to zwykle jej elektorat, dlatego kluczy, ostro potępia, a niewiele robi, by ich przekonać lub karać.

PiS forsuje radykalną podwyżkę dla polityków i posłów. Celnie komentuje to Szymon Hołownia: „To próba udobruchania ze strony Kaczyńskiego swoich postów, którzy nie załapali się na korupcję polityczną, którą PiS uprawia. Zostało to przeprowadzone w stylu właściwym PiS. Marionetkowy prezydent, słuchając prezesa, wykonuje wszystkie polecenia. To mnie przeraża i osłabia, jak bardzo niewładnym prezydentem jest Andrzej Duda”. Tak, prezydent jest ciężko chory na brak charakteru. Jego słabość jest wystawiona na widok publiczny, naga i bezwstydną.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl



Róża Luksemburg, autoportret.



Warszawa, ul. Złota.
W kamienicy pod
nr. 16 mieszkała
z rodziną Anna,
siostra Róży.

Rodzina Róży



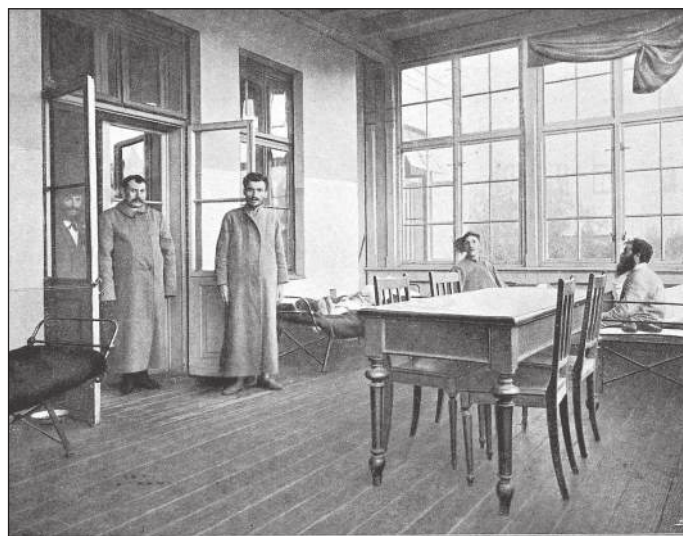
Zdjęcie bratanka Róży, Jerzego Edwarda Luxenburga (rodzina stosowała różną pisownię nazwiska), w mundurze ochotnika wojny polsko-radzieckiej z 1920 r. w dokumencie studenckim.



Dzieci braci Róży, Warszawa, 1911 r.



Berlin, Wielkanoc 1902 r. Rodzina Luksemburgów.



Leżalnia.

Warszawa, pawilon chorób płucnych Szpitala Starożytnych, w którym pracował Józef, brat Róży.

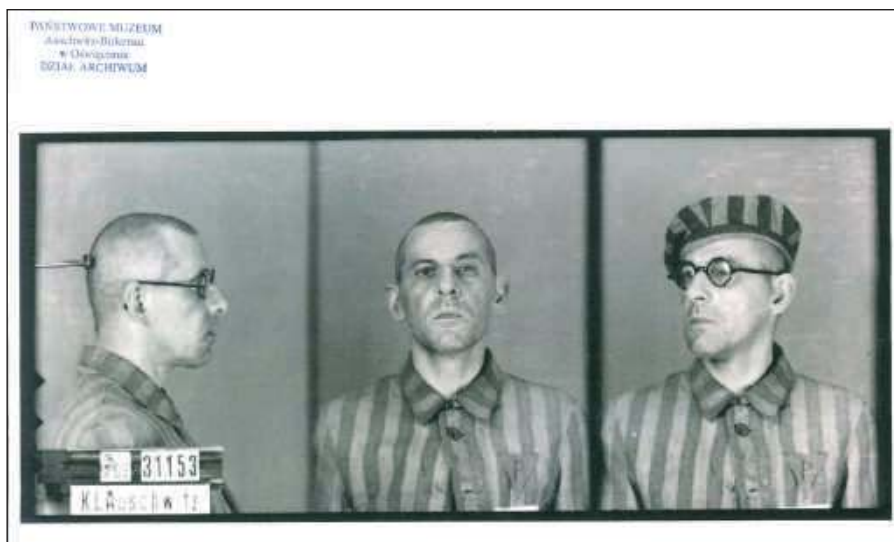
Luksemburg — bardzo polska historia

Nic w tej opowieści nie jest oczywiste, jednowymiarowe. Prowadzi zwiedzających ścieżkami przebiegającymi z dala od utartych szlaków – w lipcu i sierpniu w 400-letniej synagodze w Zamościu, mieście rodzinnym Róży Luksemburg, prezentowana jest wystawa „Poza kadrem. Rodzina słynnej zamościanki”. Przygotowało ją w związku ze 150. rocznicą urodzin najbardziej znanej – obok Marii Skłodowskiej-Curie – Polki Przedstawicielstwo Fundacji im. Róży Luksemburg w Polsce we współpracy z zamojskim Centrum „Synagoga” Fundacji Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego.

Autorami wystawy są Krzysztof Pilawski (treść) i Wojciech Jankowski (grafika).



Podanie Jerzego Edwarda Luxenburga o przyjęcie na wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego.



Fotografia obozowa Józefa Luxenburga, więźnia KZL Auschwitz.

Rozmawia Kuba Armata

Zdażyła się pani stęsknić za planem filmowym i sceną przez czas pandemii?

– Bardzo, choć powrót do teatru po półtora roku przerwy był dla mnie stresującym i, przyznam, dziwnym doświadczeniem. Czułam, jakby od ostatniego razu na scenie minął bliżej nieokreślony, ale bardzo długi czas. Dodatkowo odzwyczailiśmy się od obecności widzów. Ekscytujące i wręcz niewiarygodne było więc to, że będziemy naprawdę dla nich grać. Przystawiliśmy się przez ten czas na inne warunki, przyzwyczailiśmy do noszenia masek. A tu jak dawniej, mamy prawdziwe święto. Niedawno też wróciłam z planu po sześciu tygodniach zdjęć do filmu Anny Kazejak „Fucking Bornholm”, pracuję nad kolejnym scenariuszem. W tygodniu poprzedzającym naszą rozmowę pracowałam już jak przed pandemią – rano miałam zdjęcia, a wieczorami grałam spektakle.

Pandemia mocno pokrzyżowała pani plany zawodowe?

– W ubiegłym roku spadło mi pięć produkcji. Planowałam zacząć zdjęcia w marcu i miały one potrwać aż do jesieni. Nagle wszystko się zatrzymało. I to naprawdę na długo – na sześć, siedem miesięcy. To było szokujące. Pamiętam, że w styczniu, jeszcze przed pandemią, pojechałam na Sri Lankę, później w Tatry i pomyślałam: jak to dobrze, że udało mi się odpocząć, bo planów zawodowych będzie za chwilę aż za dużo.

Czy przez te siedem miesięcy pojawił się lęk związany z brakiem pracy i dalszymi perspektywami?

– Ogromny. Marzec był najgorszy, zwłaszcza pierwsze dwa tygodnie, kiedy w ogóle nie było wiadomo, o co chodzi. Nagle pozamykali nas wszystkich w domach i w zasadzie trudno było stwierdzić, czy mamy do czynienia z jakimś realnym zagrożeniem, bo z jednej strony docierały do nas katastroficzne prognozy, z drugiej zaś w moim otoczeniu nikt wtedy jeszcze nie chorował. Na szczęście nie mam w domu telewizora, docierały do mnie jedynie strzępki relacji. Warszawa stała się nagle wymarłym miastem. Każdy z nas ma jakieś zobowiązania, więc naturalnie miałam w głowie, że tak może wyglądać początek końca.

À propos braku telewizora, czytałam, że jest pani osobą bardziej analogową niż cyfrową. Odnajduje się pani w świecie mediów społecznościowych, które dzisiaj są chyba częścią pracy aktora?

Praca, czyli pasja

Przez chwilę spodziewaliśmy się, że pandemia wiele przewartościuje. Wracamy jednak do tego, co było. I to jeszcze mocniej

AGNIESZKA GROCHOWSKA

– aktorka filmowa i teatralna. Od 13 sierpnia można ją oglądać w filmie „Moja cudowna Wanda”



– Trudno mi porównać moją sytuację z aktorami, którzy dzisiaj zaczynają. Debiutowałam w innym momencie, mogłam zatem zupełnie inaczej tę sytuację poprowadzić. Choć już wtedy byłam radykałem (śmiech). Prowadzę swój profil na Instagramie, ale tylko dlatego, że ktoś podszył się pod mnie i założył fałszywe konto. Absurdalna sytuacja. Uważam jednak, że można być tam takim, jakim się chce. Nie muszę spędzać na Instagramie trzech godzin dziennie i publikować intymnych rzeczy. Mogę być w kontakcie ze swoimi widzami. To dla mnie bardzo interesujące. Myślę, że gorączka relacjonowania swojego życia już się nie zatrzyma. Przez chwilę spodziewaliśmy się, że pandemia wiele przewartościuje. Wracamy jednak do tego, co było. I to jeszcze mocniej.

Powiedziała pani kiedyś, że aktorstwo to nie tylko praca, ale też dzika przygoda i rodzaj terapii.

– To coś, czego niezmiennie mi przez ten rok brakowało. Nagle, po raz pierwszy od wielu lat, okazało się, że nie mogę pójść do pracy i się wyładować. Zdałam sobie wtedy sprawę, jak wielki ma to wpływ na moje życie. Wcześniej zawsze kilka razy w tygodniu mogłam powrzeszczać, popłakać, pośmiać się. Scenariusze wplatają się w życie i pewne tematy mogłam dzięki nim przepracować. Zresztą nie chodzi tylko o to, co mam do grania, ale i o środowisko, w jakim przebywam. Moi koledzy i koleżanki po fachu to świetni ludzie, z którymi uwielbiam spędzać czas.

Ani kobiety, ani mężczyźni nie chcą oglądać stereotypowych postaci. Mamy szansę robić dużo ciekawsze rzeczy.

Nagle zostałam od swojego świata odcięta, musiałam skonfrontować się ze swoimi emocjami, ale już nie grając. Praca ma wpływ na moje życie i odwrotnie. Zastanawiałam się, jak to jest w przypadku bohaterki filmu „Moja cudowna Wanda”, z czym tam się skonfrontuję.

To było coś nowego?

– Kiedy usłyszałam, o czym jest film, pomyślałam, że to kolejna historia o uciemiężonej Polce, która wyjeżdża z kraju za pracą. Nie byłam przekonana, do czasu gdy

przeczytałam scenariusz. Wspaniały! Wanda wcale nie jest ofiarą. Rozmawiałam kilkakrotnie z mieszkającą w Szwajcarii Bożeną Domańską, która jest pierwowzorem tej postaci. Została niesprawiedliwie potraktowana przez swojego pracodawcę, poszła do sądu i wygrała. Było o niej głośno do tego stopnia, że powstały film dokumentalny i sztuka teatralna. Pani Bożena bardzo mnie zainteresowała. Przekonywała, że opiekując się kimś, trzeba to traktować wyłącznie jako pracę, nie można się spalać.

Oceniamy się nawzajem, wywyższamy, ponizamy. Zajmujemy się tylko pozycjonowaniem, do czego przyczyniają się pieniądze.

Jest w filmie scena, kiedy moja bohaterka wraz z jej pracodawczynią siadają przy stole i rozmawiają o warunkach współpracy. One są równe, podczas gdy dzisiejszy świat jest tak skonstruowany, żeby tej równości nie było. Oceniamy się nawzajem, wywyższamy, ponizamy. Zajmujemy się tylko pozycjonowaniem, do czego w dużej mierze przyczyniają się pieniądze.

Z tą równością to nie jest prosta sprawa, bo typ pracy, jakim jest wyjazd za granicę, by opiekować się starszą osobą, ludzie postrzegają jako coś gorszego.

– Taka jest konstrukcja: jeden ma wszystko, a drugi nic. Nasz film jest także o tej rzekomej wspaniałości Europy Zachodniej. Europy, która zaprasza do siebie ludzi z biedniejszych krajów, oferując

istnieje. Dom, w którym kręciliśmy, wystawiony jest na sprzedaż, a jego cena sięga 20 mln euro. My w jego wnętrzu toczyliśmy negocjacje dotyczące ciężkiej pracy za 200 franków. **To dwa różne światy, ale zarówno Wanda, jak i pani wyjeżdżacie za granicę do pracy. Ona opiekować się starszym mężczyzną, pani na plany filmowe. Czuła pani z bohaterką rodzaj połączenia?**

– Myślałam o tym. Moja sytuacja była o tyle inna, że zawsze jeździłam z dziećmi, które były na tyle małe,

że mogłam zabierać je ze sobą. Wynajmowałam większe mieszkanie, jechała z nami niania. Nie zmienialiśmy naszych rytuałów. Nasze życie po prostu przenosiło się do innego miasta. Pamiętam zabawną sytuację, kiedy nagrywałam pierwsze próbne zdjęcia do „Mojej cudownej Wandy”. Byłam wtedy we włoskich Alpach, gdzie kończyłam inny plan. Nie widziałam dzieci przez dwa tygodnie i dosłownie chodziłam po ścianach. Choć to zupełnie inna sytuacja, rozumiałam ten rodzaj pozostawienia gdzieś daleko swojego życia.

Ponoć lubi pani podróżować. Tego najbardziej brakowało w pandemii?

– Wydaje mi się, że tak. Przez to, że dzieci zawsze zabierało się „pod pachę”, one mają dokładnie tak samo. Były przyzwyczajone, że dziś jesteśmy w Warszawie, jutro na Podlasie, a pojutrze w Rzymie. Teraz doszło do tego, że kiedy głośno myślę, żeby gdzieś pojechać, one za pięć minut są już spakowane, z walizkami. Nieważne, że nie ma nawet jeszcze konkretnego pomysłu. Dużym walorem pracy za granicą jest to, że moje dzieci miały już okazję mieszkać w Londynie, Rzymie, Berlinie czy Zurychu. Zobaczyły, że świat jest większy, można mieć kawałek domu w zupełnie innym miejscu. Pod tym względem ostatni rok był straszny. We wrześniu mieliśmy premierę filmu na festiwalu w Zurychu. Pamiętam, jak weszłam na puste Okęcie, prawie nikogo nie było. Robiło to wrażenie. Był we mnie strach, że normalność już nigdy nie wróci. ▶

► **Pandemia skomplikowała także plany związane z nowojorską premierą „Mojej cudownej Wandy”. Miał być pokaz na Tribeca i obiad z Robertem De Niro, a zamiast tego projekcja odbyła się online.**

– W ogóle strasznie za mną chodzi Nowy Jork, bo nigdy jeszcze tam nie byłam. Za każdym razem, gdy nadarzała się okazja, coś stało na przeszkodzie. A to spektakl w teatrze, a to zdjęcia. Kiedy zatem nasz film zakwalifikował się na festiwal do konkursu, pomyślałam, że nie mogła się nadarzyć lepsza okazja. Niestety, i tym razem okazało się, że Nowy Jork musi poczekać.

Hardy jest też jednym z moich ukochanych aktorów. Ma niesamowite warunki, możliwości. Świetnie było przez 12 godzin zagrać z nim scenę i móc się sprawdzić na jego tle.

Zagranicznych produkcji w pani aktorskim dorobku jest znacznie więcej. Ciągnie panią do tego, by się sprawdzać w nowych warunkach?

– Bardzo mnie ciągnie, choć w zasadzie nie było żadnych planów z tym związanych. Miałam jedynie marzenie, by to, co robię, pozostało moją pasją. Tak się ułożyło, że na pewnym etapie kariery mogłam wybierać spośród scenariuszy. Nie było istotne,

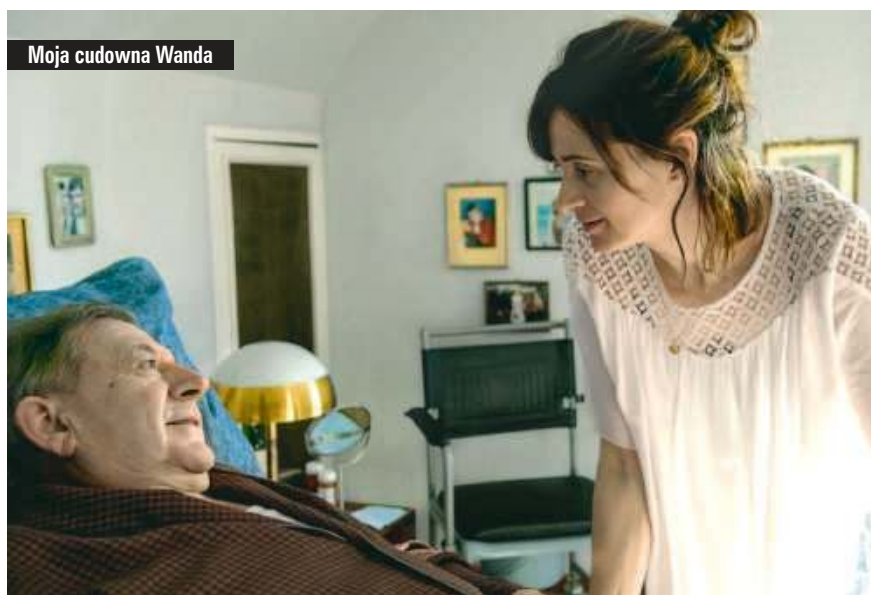
Johnsen. To był czas, kiedy w Polsce postrzegana byłam jako aktorka *stricto* dramatyczna. Pamiętam zdziwienie, że mogę zagrać w ogóle inną rolę. Ta możliwość wynikała właśnie z braku kontekstu.

Przypięcie etykiety, w tym przypadku aktorki dramatycznej, jest dla aktora niekomfortowe?

– Z pewnością, bo zależy nam na tym, by robić różne rzeczy, a w takiej sytuacji mamy poczucie, że role są do siebie podobne. Paradoksalnie my, i dotyczy to nie tylko aktorów, za sprawą instynktu samozachowawczego dążymy do sytuacji oswojonych, które są dla nas bezpieczne. Dlatego ważne jest, by czasami ktoś nas zdopingował do zrobienia czegoś zupełnie innego. Wielokrotnie, chociażby przez sam fakt pracy w obcym języku, byłam zmuszona do wyjścia ze swojej strefy komfortu. Ktoś popychał mnie do basenu, a ja wprawdzie nie wiedziałam, czy tam jest woda, ale mimo lekkiego przerażenia skakałam.

Olga Bołądź powiedziała mi, że aktualnie aktorki dostają dużo ciekawsze role niż kilka lat temu. Pojawia się coraz więcej postaci, z którymi możecie się identyfikować. Podziela pani to przekonanie?

– Zdecydowanie tak. Myślę, że wynika to z faktu, że kobiety mocniej weszły do kina, zarówno jeśli chodzi o reżyserię, jak i o scenopisarstwo.



Moja cudowna Wanda

Opiekując się kimś, trzeba to traktować wyłącznie jako pracę, nie można się spalać.

Podobnie jak obiad z De Niro. Choć miała już pani okazję zawodowo spotkać się z pierwszozigłowymi hollywoodzkimi aktorami – Tomem Hardym czy Garym Oldmanem, na planie „Systemu” Daniela Espinosa.

– W efekcie spotkałam się tam z Tomem Hardym, bo akurat z Garym Oldmanem nie miałam wspólnych scen. Żartowałam, że czasem w takich sytuacjach wycina się aktorów z filmów, ale po przeczytaniu scenariusza wiedziałam, że tym razem na pewno tak się nie stanie. Była to bowiem kluczowa sekwencja dla głównego bohatera i do zrozumienia fabuły, jeśli zatem bym jej nie udźwignęła, prędzej zmieniliby aktorkę, niż zrezygnowali z tej sceny. To było niezapomniane spotkanie, bo Tom

gdzie dany film będzie kręcony – w Polsce czy za granicą. Chodziło raczej o to, by tekst był dobry, twórcy ciekawi, a rola, którą mam zagrać, intrygująca. W efekcie przez kilka lat pracowałam niemal wyłącznie za granicą. To zupełnie inne wyzwanie. Musiałam pojechać na plan, gdzie nikt specjalnie mnie nie znał. Co prawda, wygrywałam wcześniej zdjęcia próbne, dzięki czemu miałam poczucie, że ktoś chce ze mną pracować, nie odbywało się to zupełnie w ciemno, ale i tak trzeba się sprawdzić na tle innych, i to nie w języku, który najlepiej się zna. Z jednej strony, powstaje z tego powodu pewna obawa, czuje się lęk, z drugiej – jest totalna wolność. W 2009 r. zagrałam w norweskiej komedii „Upperdog” Sary

W tych tekstach bohaterki nie odgrywają już roli służebnej względem mężczyzn, zaczynają mieć autonomiczną funkcję, a dzięki temu są dużo bardziej różnorodne. Wygląda to tak, jakby nagle o kobietach zaczął pisać ktoś, kto chociaż trochę je zna. Czasami dostawałam postać i zastanawiałam się, skąd w ogóle ona się wzięła, bo ja nie znam takich dziewczyn. Trzeba było potem włożyć maksimum wysiłku w poprawienie tych ról na tyle, by nie były aż tak papierowe. Na szczęście to się zmieniło, myślę, że z korzyścią dla wszystkich. Ani kobiety, ani mężczyźni nie chcą oglądać stereotypowych postaci. Mamy szansę robić dużo ciekawsze rzeczy.

Kuba Armata

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Good bye, rozsądeczek

Po stokroć pouczeni przez los, ukarani bólem pleców, odciskami, nadwyżęciem ścięgien i dźwigacza topatki – rok w rok powtarzamy nasz błąd: do jasnych musimy dodać ciemne (spodnie), do lekkich butów – te na deszcz. Upychamy także kilka koszulek, bo mamy zamiar się pocić i zalewać sosami. Do tego krótkie spodnie: te, w których znośnie wyglądamy, i te „wygodne”. Marynarka w razie oficjalki, nagle obwieszczanego koncertu lub premiery (w lesie?). A jeśli pogoda się zmieni? Wtedy wszystkie te rzeczy pójdą, jak by to powiedzieć, w odstawkę. Dlatego do lekkiej, letniej garderoby trzeba dobrać cieplejszą, równie kompaktową. I komponując ten cieplejszy zestaw, należałoby zachować się podobnie: do jasnych spodni dodać ciemne, do ciepłego swetra wygodną bluzę, do płaszcza przeciwdeszczowego drugi, porządniejszy, z podszewką. Trzeba przeżyć ten moment wstydu, kiedy zdajemy sobie sprawę, ilu rzeczy potrzebujemy! Jacy w takim razie jesteśmy słabi, zależni od przedmiotów i chemii, mieszczkańscy, szkodliwi, rozpieszczeni, starzy!

Gdybyśmy – jak pisarz Thomas Bernhard w przeuroczej powieści „Beton” – podzielili nasze walizki na walizkę odzieżową i walizkę duchową, w której znalazłby się laptop? Czytnik elektroniczny? Telefon i szereg ładowarek, notes i dwa długopisy (czarny i niebieski) oraz miękki i twardy ołówek? Na pewno w duchowej. Podobnie jak leki. „Ja sam zawdzięczam chemii, żeby powiedzieć to jednym słowem, wszystko, od trzydziestu lat wszystko. To rzekłszy, umieściłem swój woreczek z lekarstwami w tak zwanej walizce duchowej, a nie walizce odzieżowej”, pisał autor „Wycinki”. Bernhard postuluje pakowanie się „najpierw w myślach” i rozpakowywanie się „najpierw w myślach”, co pozwala mu na szybkie i celowe działanie, kiedy już weźmie się do pracy.

Niestety, myśli mają tendencję do rozkrzaczenia i rozkrzewiania się – jak włoski na „mięsistych napuchlinach”

brwi. Oznaczać to może, że zamiast jednej stosunkowo cienkiej powieści Bernharda („Beton”?) do walizki duchowej lekką ręką dorzucimy Walsera (bez niego Bernhard wydaje się jakby OSŁABIONY), Dostojewskiego (bez niego w ogóle nie byłoby Bernharda) i Szekspira (którym Bernhard zaczytywał się w sanatorium), a same komedie to jakieś trzy kilo!

Oczywiście na wyjeździe chodzimy w jednym i tym samym, ponieważ jesteśmy niezadowoleni z rzeczy, które spakowaliśmy. Jakby nowe środowisko miało wobec nas nowe, inne roszczenia. Coś, co działało w znajomym miejscu i było dostosowane do starego miejsca, zupełnie nie działa w nowym: „Wszyscy popełniają ten błąd, że biorą w podróż za dużo ubrań i wloką je aż do krańcowego wyczerpania, by w końcu, na miejscu, ubierać się wciąż w to samo, jeśli w pewnej mierze zachowają rozsądek”.

Trzeba przeżyć ten moment wstydu, kiedy zdajemy sobie sprawę, ilu rzeczy potrzebujemy!

A już najgorzej, kiedy na wyjeździe mamy ochotę czytać coś innego, niż zakładała walizka duchowa. Bo nad morzem, dajmy na to, nachodzi nas zachcianka, żeby czytać „Moby Dicka”, a nie taplać się w nerwicach wielkich Austriaków. „Stalowe drapieźniki”, „Torpedowce i minowce”, „Mała flota bez mitów”, „Torpeda u celu” nieoczekiwanie wygrywają z „Zaburzeniem” czy „Wymazywaniem”. Nie ma bowiem niczego przyjemniejszego, niż sięgnąć na chyblił trafił do podręcznej biblioteczki pokładowej pensjonatu na Helu – i po prostu dać się zaskoczyć! A tam: „Lasy warte poznania”! „Sny roślin”! I z głupia frant – „Nostradamus zjadł mi chomika”. Nasze walizki tymczasem pleśnią pod szafą i zawadzą żłobliwie – smutne i zapomniane. Tylko na tyle je stać.



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTube i LinkedIn



27. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE

Piotr Cieślowski Quartet – Chopin Pianoless

Chopin bez fortepianu? To zakrawa na świętokradztwo, ale nim wydamy wyrok, posłuchajmy. Dla Piotra Cieślowskiego, jednego z czołowych saksofonistów tenorowych i sopranowych polskiej i kanadyjskiej sceny jazzowej, Chopin i jego arcydzieła zawsze były jednym z najważniejszych źródeł inspiracji. Zamierza pokazać, że utwory te są znakomitym materiałem do stworzenia muzyki mieszczącej się w kategorii współczesnej awangardy jazzowej. W sobotnim „obrazoburstwie” uczestniczyć też będą Robert Majewski (trąbka), Wojciech Pulcyn (kontrabas) i Arkadiusz Skolik (perkusja).

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 14 SIERPNIA, GODZ. 19

(ap)



MIĘDZY JAWĄ I SNEM

Najważniejszy jest tutaj świat wewnętrzny Rachel Watson (Marta Ścisłowicz), rozwódki, która wciąż nie chce rozstać się mentalnie z byłym mężem (Leszek Lichota), a obserwując z okien pociągu nieznaną parę, snuje na jej temat domysły. Sama zmagając się z chorobą alkoholową, toteż kiedy obserwowana Megan (Anna Smołowik) znika, nie potrafi sobie przypomnieć, co się stało w tunelu obok jej domu w przeddzień zniknięcia.

Cezary Żak (reżyser, występujący także jako wyrozumiasty detektyw) znalazł prosty sposób na połączenie scen realistycznych z wewnętrznymi, widzianymi przez Rachel w jej wyobraźni czy wspomnieniu.

Przestrzeń sceny Och-teatru okazała się sojusznikiem reżysera, który, rezygnując ze zmian dekoracji, wydzielił na podście scenicznym miejsca na różne pomieszczenia. Z boku zasugerował przebiegający tunel, w którym doszło do tragicznych wypadków. Powstał spektakl trzymający w napięciu, w którym ważniejsze od poszukiwania prawdy o tym, co się wydarzyło, jest szukanie drogi odbudowy duchowej przez kobiety poddane przemocy psychicznej. Wart odnotowania odważny krok znanego aktora i reżysera komediowego w stronę wymagającego teatru psychologicznego. *Dokonany z sukcesem. Tomasz Miłkowski*

Rachel Wagstaff, Duncan Abel, „Dziewczyna z pociągu”, tłumaczenie Elżbieta Woźniak, reżyseria Cezary Żak, Och-teatr, premiera 14 lipca 2021

Rachel Wagstaff, Duncan Abel, „Dziewczyna z pociągu”, tłumaczenie Elżbieta Woźniak, reżyseria Cezary Żak, Och-teatr, premiera 14 lipca 2021



HOLIDAY

reż. Paweł Ferdek, prod. Polska, w kinach od 13 sierpnia

Pomysł na ten film rozwijał się przez niemal dekadę. Najpierw Paweł Ferdek wyjechał z przyjacielem w podróż wodnym autostopem z Singapuru. Potem zatrzymał się w Indonezji – tam przekonał się, co to znaczy żyć u podnóża wulkanu, który nagle może wybuchnąć. A jeszcze później nakręcił film o Kasi i Tomku (Anna Krotoska i Marcin Czarnik), warszawskich dorobkiwiczach, którzy ze swoimi zachodnimi problemami jadą na Bali, gdzie mierzą się z doświadczeniem ludzi żyjących na zupełnie innej modłę. To debiut



fabularny Ferdka, który do tej pory zastrzygnął dokumentami (m.in. głośnym „Pollywood”). Tę jego przeszłość dobrze tutaj widać – reżysera wyraźnie cieszy podglądanie bohaterów, z których pomocą próbuje mówić o współczesnych relacjach i pragnieniach w ogóle. A przy tym zastanawia się, czy o związek zawsze należy walczyć do końca, czy jednak czasem nie jest lepiej się rozstać. I odpowiada na to pytanie w sposób niestandardowy i niebanalny. *Artur Zaborski*

Najstojniejsze polskie malarki. Olga Boznańska, Tamara Łempicka, Zofia Stryjeńska

Wydawnictwo Bosz, Olszanica 2021

W serii albumów z malarstwem znalazła się oryginalna pozycja poświęcona trzem wybitnym i znanym Polkom. Zestaw minialbumów w etui daje wgląd w twórczość Olgi Boznańskiej, która tworzyła jeszcze w duchu przełomu XIX i XX w., Tamary Łempickiej, malującej już nowocześnie i bardziej skrótowo, oraz Zofii Stryjeńskiej, w pełni jednoczącej stylistykę reklamy, ilustracji i symboliki. Około 50 niedużych reprodukcji w każdym tomie wydrukowano w dobrej jakości i rozdzielczości. Trzy malarki łączy najwyższy poziom artystyczny i ogromna pasja w walce o światowe uznanie oraz wyznawane wartości. Dzięki swojej twórczości te kobiety stały się ikonami malarstwa i chwałą polskiej sztuki. *Bronisław Tumilowicz*



Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Podróż na Wschód (przez cycki)

Antek przyniósł z przedszkola evergreena, zaczyna się od wersu „Pada deszcz, pada deszcz, w d... siedzi kleszcz, ajajaj, ajajaj, wciąż mi cuchnie z jaj” na melodię „Jingle Bells”. Nie byłoby w tym nic szczególnego poza uroczą i nieuniknioną karnawalizacją obsceny w dziecięcych rymowankach – nigdy się na nią nie żyłbym ani też oburzałem, raczej czułem rozczarowanie, kiedy moje dzieciaki zadawały się gotowcami, nie improwizując brawurowo na podany temat, poza tym to ja byłem w rodzinie specjalistą od osławiania i rozbrajania min językowych, czyli stoickich odpowiedzi na pytania z gatunku „Mamo, tato, a co to jest kura przez w?”.

Tym razem jednak nie udało mi się zachować spokoju, ku ucieście Antosia parsknąłem śmiechem, albowiem w tekście naiwnie wulgarnej przysłówki streszcza się spora część znakomitej i przeżabawnej książki prof. Piotra Mareckiego „Romantika”, w której to opisał biesiadę weselną w Beskidzie Niższym i podróż poślubną na Huculszczyznę. Rzecz jest głównie przaśna i ludyczna, a jedyną prawdziwie mroczną jej część stanowią zmagania krakowskich mieszcuchów z brakiem ciepłej wody, świeżym powietrzem, na które mają alergię, i – *last but not least* – usuwaniem żarłocznego roztocza z odbytu autora.

Marecki w ubiegłym roku zauroczył światek literacki beczelnie conceptualną „Polską przydrożną”, wyzutą z wszelkiej literackości relacją z kawalerskiej przejażdżki po rodzimych prowincjach. Autoironia występowała tam w kamuflażu hipsterskiej egzaltacji, autor wybierał drogę swej podróży wedle skali nieatrakcyjności turystycznej (im gorzej, tym lepiej), skupiał się na dziwacznych, „bizarnych”, jak je nazywał, zderzeniach estetycznych, np. banerach reklamujących rozmaite dobra pośrodku niczego, z lubością fotografował też pustkowia.

Tym razem mamy książkę literacko świadomą, dobrze zredagowaną i zmyślnie skonstruowaną – Marecki nie może dłużej udawać trikstera znikąd na literackim panelu – jako autor „Romantiki” jest prozaikiem, żadnym eksperymentatorem. Rzecz dedykowana jest dwukierunkowo „Środowisku” – chodzi o Naturę, z którą bohaterowie uporczywie próbują się bratać, ale i o środowisko literackiego undergroundu, który w książce reprezentują uznani, nagradzani, choć „wylogowani” z głównego nurtu autorzy: Konrad Góra (Silesius), Sławomir Shuty (Paszport „Polityki”, sam mu wręczałem), Robert Rybicki (Nagroda Literacka „Juliusz”) czy Miłosz Biedrzycki, cudowne dziecko starego

brulionu. W pierwszej części tomu obserwujemy istny karnawał hipsterski urządzany w beskidzkiej posiadłości Shutego – gromada biesiadników bawi się przy „progressywnym disco polo”, oddaje się cybernostalgii, zajeżdżając stare gry na Atari i ekscytując piksele, spożywa Serce Alkoholu, czyli redestylaty wyrobu poety outsidera (wyjazd do sklepu po piwo jest wstydliwym wyjątkiem uczynionym pod presją, bo nie wolno wspierać koncertów, wszystko ma być rzemieślnicze i swojskie), poszukuje w lesie jadalnych hub, zwanych *chicken of the wood* (nieskutecznie), a także świadczy spontanicznym prezentacjom poetów awangardowych (np. Rybicki w utworze „Lekcja poezji” nieco w duchu Oliviera Messiaena rezygnuje z klasycznej artykulacji na rzecz ptasich treli). Wszystko to zalewa morze samogonów pitych bohaterów z pobudek ideologicznych, bo myśl o tym, że to libacja antykapitalistyczna, łagodzi później objawy wielodniowego kaca giganta i eksplozywnego refluksu. Do ideału brakuje temu weselisku tradycyjnej bijatyki, aż trudno uwierzyć, że pijani poeci nie rzucają się na siebie, by pięściami dowodzić wyższości wiersza wolnego nad zniewolonym.

wolnego nad zniewolonym, choć może i było mordobicie, lecz uległo wymazaniu. Oto bowiem środkowy rozdział „Romantiki” został niemal w całości wykropkowany przez autora, który dał tekst do wglądu uczestnikom imprezy i postanowił usunąć wszystko, co im się nie spodobało – aby „uniknąć kancelacji”. Trzeci rozdział to już etno-*eastern* na wesoło, zapis podróży poślubnej na ukraińskie pustacie, w którym wiedzie prym Ola Małecka, żona autora, mistrzyni drugiego planu w „Polsce przydrożnej”. Jej ortodoksyjna lewicowość stąpa po granicy autoparodii, zwłaszcza kiedy pilnuje autora, by nie ulegał kolonialnym podszeptom, jest jednak w uroczy i inteligentny sposób zręczliwa, niczym – nie przymierzając – Olive Kitteridge (mainstreamowe porównanie, Mar/t/eccy pewnie się obrażą). Nowożeńcy w poszukiwaniu jak najmniej atrakcyjnego miejsca podróży docierają do huculskiej wioski, po drodze fascynując się agonalnym stanem nawierzchni szos ukraińskich – mamy tu prawdziwą typologię szkód asfaltowych, dzielących się na cycki, studnie i magielnice – autor sówicie obdarza nas ich fotografiami.

Świetna, zabawna książka, w której na deser mamy blurba Andrzeja Barańskiego z petardą w puencie: „Tak jak Musk uprościł drogę w kosmos, tak Marecki uprościł drogę do dzieła literackiego”.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Twój mózg nie znosi SAMOTNOŚCI

Przewlekła samotność zwiększa ryzyko przedwczesnej śmierci o 20%, w tym samym stopniu co otyłość

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Wychodzimy z założenia, że ludzki mózg kształtował się i doskonalił przez miliony lat ewolucji i stanowi dla nas ochronę przed samotnością, izolacją. Piszcie pani w książce, że uczucie, iż nie mamy przy sobie nikogo, jest tak samo nieprzyjemne jak ból, głód, pragnienie. To prawda?

– Tak. Uczucie samotności, które zwłaszcza dziś doskwiera ludziom poddanym ograniczeniom pandemicznym, jest tak samo realne i przykre jak ból czy głód. Taka jest po prostu natura człowieka. *Homo sapiens* to gatunek społeczny, a co za tym idzie, jesteśmy dobrze przystosowani do życia w grupie, a zupełnie nie radzimy sobie w przedłużającej się izolacji.

Reagujemy jak ludzie pierwotni?

– W toku ewolucji wykształciły się w naszym mózgu mechanizmy, które sprawiają, że dążymy do kontaktów, a unikamy samotności. Jak wszystkie ssaki po urodzeniu jesteśmy w pełni zależni od więzi z opiekunem, najczęściej mamą. To pierwsza nasza relacja, ale nie ostatnia. Przez całe życie budujemy najróżniejsze więzi – z rodziną, przyjaciółmi, przełożonymi, kolegami z pracy. Te relacje są potrzebne do prawidłowego funkcjonowania. Nie tylko na poziomie psychologicznym, ale także biologicznym.

Od kilku dekad naukowcy „zaglądają” do mózgu przy użyciu technologii EEG albo fMRI. Okazało się, że wykluczenie społeczne boli jak ból fizyczny, a bliskość z innymi jest tak przyjemna jak np. jedzenie czekolady. Dowiedziano, że odcięcie od innych ludzi to dla mózgu alarm,

sytuacja kryzysowa, stres. Dlatego w naszym mózgu są „bezpieczniki”, które starają się nie dopuszczać do takich sytuacji. Mamy je w głowie, bo dla naszych prapraprzodków odłączenie od grupy oznaczało wyrok śmierci.

A dla nas? Tylko niedogodność, przykreść.

– Zamknięcie w czterech ścianach to rzeczywiście niedogodność i duże obciążenie psychologiczne. Bezpośredniego fizycznego niebezpieczeństwa raczej nie ma. Ale wystarczy wyobrazić sobie sytuację, że zostaliśmy porzuceni gdzieś na zupełnym odludziu, w nocy, w gęstym lesie albo w środku tajgi czy dżungli. Jeśli nie przeszliśmy treningu survivalu, to na dłuższą metę nie damy sobie rady. Jesteśmy przystosowani, by żyć w społecznościach i wspólnie z innymi zaspokajać potrzeby, które znamy z tzw. piramidy Masłowa. Sami nie możemy zbyt wiele.

Wykluczenie społeczne boli jak ból fizyczny, a bliskość z innymi jest tak przyjemna jak jedzenie czekolady.

Ale ryzyko zgonu osoby samotnej, nawet w warunkach współczesnej cywilizacji, też jest zauważalne.

– Jak twierdził amerykański psychiatra i neurolog prof. John Cacioppo, przewlekła samotność zwiększa ryzyko przedwczesnej śmierci o 20% – w tym samym stopniu co otyłość. Wiele badań na temat wpływu samotności na zdrowie zrobiono w ostatnich trzech dekadach, jeszcze przed pandemią. W 2010 r. opublikowano przełomową metaanalizę zrobioną przez zespół prof. Julianne Holt-Lunstad. Metaanaliza objęła 148 badań i ponad 300 tys.

osób z całego świata. To ogromne badanie, które trudno zignorować. Dlatego wyniki poruszyły świat nauki i opinię publiczną. Korelacja jest jednoznaczna: gęsta i rozbudowana sieć społeczna przyczynia się do zdrowia i długowieczności. I przeciwnie – samotność podwyższa ryzyko przedwczesnej śmierci. Pozostawanie w niechcianej izolacji społecznej jest tak samo szkodliwe jak palenie 15 papierosów dziennie, a nawet bardziej niż zanieczyszczone powietrze i brak aktywności fizycznej.

Ale przecież nie każda wspólnota czy grupa służy ludziom i ich dobrostanowi. Czasem należy się strzec, by nie wpaść w tzw. złe towarzystwo, nie znaleźć się w mackach mafii itd.

– To są rozważania raczej dla psychologów, etyków czy socjologów. Ja patrzę na człowieka z perspektywy biologa, a tutaj wyraźnie widać,

że dla naszego mózgu przebywanie w grupie jest lepsze niż samotność. Instynkt szukania kontaktu i bliskości czasami nam szkodzi, np. gdy ludzie gromadzą się mimo zakazów w pandemii, ale na co dzień jest korzystny. Chroni nas przed izolacją, motywuje do współpracy, szukania u innych wsparcia emocjonalnego, materialnego i logistycznego.

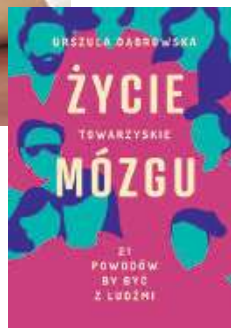
Czy stąd brały się w czasie lockdownu tłumy na Krupówkach lub sopockim moło?

– Żyjemy w wyjątkowych czasach, gdy naturalny pęd do kontaktu z innymi jest niebezpieczny,



URSZULA DĄBROWSKA

– biologka, popularyzatorka nauki o mózgu, autorka książki „Życie towarzyskie mózgu. 21 powodów, by być z ludźmi”



bo sprzyja rozprzestrzenianiu się wirusa. Pandemia atakuje nas na kilka sposobów. Po pierwsze, sam wirus i wywołane nim choroby zabierają zdrowie, a nieraz życie. Po drugie, walka z epidemią powoduje duże koszty społeczne: brak bezpieczeństwa finansowego, trudności logistyczne związane z edukacją domową dzieci, kłopoty z dostępem do lekarzy itd. Do tego wszystkiego pandemia dodała dodatkowe obciążenie – odcięcie od kontaktów z innymi, które byłyby czynnikiem łagodzącym stres i rozwiązującym przynajmniej część problemów. Stąd m.in. bierze się bunt wobec obostrzeń.

Nauka od dawna wie, że ograniczenie kontaktów społecznych – odcięcie od rodziny i znajomych – zdecydowanie obniża jakość życia oraz skraca je, bo podnosi ryzyko różnych chorób. Teraz przekonujemy się na własnej skórze, jak bardzo samotność jest uciążliwa. Wymuszona

izolacja odbiera nam szansę ukojenia, porozumienia. Nasza natura się buntuje, bo brakuje nam czegoś ważnego. Jako obywatel patrzę krytycznie na łamanie obostrzeń związanych z dystansem społecznym, na organizowanie nielegalnych imprez itd. Jako biolog afirmuję naturę człowieka i rozumiem, że potrzeba kontaktu z innymi jest taka silna.

Człowiek jest przystosowany do życia w grupie, która liczy ok. 150 osób.

Czy rozumie pani również falę absurdalnych plotek na temat wirusa, szczepionek czy innych teorii spiskowych z tym związanych?

– Nie mam wystarczających kompetencji, by to oceniać, ale wiem, że mózg trudno sobie radzi ze stresem i niepewnością. Dlatego wiele osób wybiera proste odpowiedzi,

a odrzuca zniuansowane i skomplikowane interpretacje. To naturalny mechanizm samoobronny mózgu, który służy obniżaniu lęku przed niewiadomym.

Surowe ograniczenia zapewne po pandemii, na zasadzie wahadła, spowodują gwałtowne wzmożenie kontaktów.

– Prawdopodobnie, jak zawsze po okresie postu nastąpi karnawał. Myślę, że przez jakiś czas będziemy nadrabiać zaległości w kontaktach. Ale nie wszyscy. Może się okazać, że niektórzy nie wrócą do dawnych schematów. Jak mówił wspomniany wcześniej John Cacioppo, „samotność rodzi samotność”. Przedłużająca się izolacja to duży czynnik stresogenny. Z kolei przedłużający się stres ma tę właściwość, że przełącza pracę mózgu na tryb podwyższonej czujności. W takim trybie

mózg szuka zagrożenia nawet tam, gdzie go nie ma – także w kontaktach społecznych. Przewrażliwiony mózg „zauważa” złośliwy uśmiech, ironiczną uwagę czy wrogie spojrzenie częściej, niż potrzeba. To wywołuje lęk, w konsekwencji prowadzi do ograniczania życia towarzyskiego. Niestety, że szkodą dla zdrowia psychicznego i fizycznego. Niektórzy będą musieli na nowo rozruszać mięsień

kontaktów społecznych.

Kolejnym problemem ujawnionym w pandemii jest dalsze słabnięcie prokreacji. A niektórzy myśleli, że będzie jak w stanie wojennym.

– Wiele mechanizmów składa się na niski przyrost naturalny. Przewlekły stres u żadnego gatunku zwierząt nie sprzyja prokreacji. Myślę, że ludzie nie są wyjątkiem. Pamiętajmy jednak, że człowiekiem nie rządzą wyłącznie mechanizmy biologiczne. Decyzja o powiększeniu rodziny to nie kwestia popędów. Pandemia oznacza

długotrwałe zagrożenie i zdrowotne, i ekonomiczne. Naukowe opracowania na ten temat będziemy mieli pewnie dopiero za kilka lat. Ale podejrzewam, że obecny klimat społeczno-gospodarczo-polityczny nie pomaga. Prorokowano, że powtórzy się historia z lat 80., gdy wprowadzenie stanu wojennego przyniosło falę urodzeń dziewięć miesięcy

► później. Ale żyjemy już w innych czasach. Dostęp do środków antykoncepcyjnych i klimat społeczny bardzo się zmienił. To już prawie dwa pokolenia – dziś młode pary dużo ostrożniej podejmują decyzję o posiadaniu dziecka, ze względów zarówno ekonomicznych, jak i światopoglądowych. Dodajmy do tego problem 10-15% par, które zmagają się z niepłodnością.

Nauczyliśmy się zaspokajać potrzebę kontaktu fizycznego i instynktu rodzicielskiego posiadaniem zwierząt domowych. Mówi się niekiedy ironicznie, że rodzina 2+1 to on, ona i pies.

– Gdy brakuje nam kontaktu fizycznego, reagujemy jak wiele innych ssaków – szukamy go. Psy wszystkich wylizują, małpy się iskają, chomiki śpią przytulone jeden do drugiego, koty ocierają się o nogi. Podobnie i my – głaszczemy i tulimy nasze domowe zwierzęta. To namiastka kontaktu fizycznego z rodziną czy przyjacielem. W pandemii dla niektórych była to jedyna okazja dotknięcia innej żyjącej istoty. Pies czy kot – to dobre rozwiązanie. Choć nie prowadzi z nami głębokich rozmów, zaspokaja naturalną potrzebę bliskości.

Wydawało się, że życie singla jest prostsze, nie trzeba brać na siebie odpowiedzialności. Czy teraz to się sprawdza?

– Człowiek to niezwykle gatunek. Bycie singlem nie musi oznaczać samotności, podobnie jak życie w związku i w rodzinie nie oznacza automatycznie, że wszystkie potrzeby bliskości i kontaktu mamy zaspokojone. Pojedyncze życiorysy wykazują się statystyce. Jednak gdy patrzemy na badania populacyjne, wyraźnie widać, że dla zdrowia i zadowolenia z życia lepiej być w małżeństwie czy związku partnerskim. Ale to nie wszystko. Naszą sieć społeczną buduje nie tylko tzw. druga połówka. Ważne są relacje rodzinne,

nadal dobre. Ale jeśli były powiązane sznurkami, to zamknięcie w czterech ścianach uwypukliło wszystkie braki. Jako biolog widzę, że to ograniczenie kontaktów do kilku najbliższych osób nie jest naturalne dla człowieka. To sytuacja wyjątkowa. Na co dzień człowiek potrzebuje raczej całej „wioski”.

Nawet wtedy, gdy jest mieszcuchem?

– Prof. Robin Dunbar z Oksfordu, antropolog i psycholog ewolucyjny, wyliczył, że człowiek jest przystosowany do życia w grupie liczącej

Pozostawanie w niechcianej izolacji społecznej jest równie szkodliwe jak palenie 15 papierosów dziennie.

przyjacielskie, zawodowe, a nawet tzw. słabe więzi, czyli życzliwe kontakty z przypadkowymi osobami z naszej społeczności. Single mogą mieć rozległe i silne sieci społeczne, a tym samym nie odczuwać samotności. Niestety, w czasie pandemii wszyscy, w tym single, raczej cierpieliśmy na niedobór kontaktów.

Ograniczenia pandemiczne to sprawdzian, test poprawności stosunków w rodzinie.

– Przychylam się do opinii psychologów, którzy uważają, że pandemia pozwoliła wyraźniej dostrzec to, co już było. Dobre relacje w rodzinie są

ok. 150 osób. Czyli właśnie w takiej wiosce. I to się sprawdza również dziś. Choć mieszkamy w wielotysięcznych, a nawet milionowych aglomeracjach, nasz horyzont społeczny zwykle nie wykracza poza te 150 osób. Związek z drugą osobą albo rodzina 2+1 to za mało.

Dunbar wyróżnia koncentryczne kręgi bliskości; każdy kolejny zawiera wszystkie poprzednie. Najpierw to pięć osób, czyli najbliższa rodzina. Kolejny krąg to 15 osób – tu dochodzą dalsza rodzina i przyjaciele. To taka grupa, która spotyka się nie codziennie, ale regularnie, np. na obiedzie czy kolacji w weekend albo przy okazji Wigilii. Wreszcie krąg 50 osób: znajomi z pracy, szkoły, sąsiedzi, klienci i wszyscy, z którymi spotykamy się co najmniej raz w miesiącu. Całe 150 osób pojawia się razem raczej sporadycznie, np. na wiejskim weselu. Tak to wyglądało jeszcze kilkadziesiąt lat temu, bo dziś te 150 osób, które znamy, wcale nie musi znać się ze sobą. Liczba 150 to taki horyzont, o którym warto myśleć, gdy wszystkie nasze kontakty sprowadzają się do kilku osób. To zdecydowanie za mało. Czas po pandemii wymaga od nas wysiłku, by te wszystkie relacje na nowo podjąć, odbudować. Czy jest to w ogóle konieczne? Tak, jeśli zależy nam, by nasz mózg dostał to, czego potrzebuje, a my żebyśmy żyli dłużej, szczęśliwiej i w lepszym zdrowiu.



Dla Mariki i jej dziecka nie ma już żadnej przyszłości. Wtulone w siebie, upchnięte w stęchłej komórce, nie podchodzą do wyciągniętej ręki. Jedynie, czego chcą, to by dać im spokój. Ale człowiek spokoju im nie da. Niebawem ponownie opadnie dla nich trapa, kopyta uderzą o zardzewiałą stal, a bat i rzeźnicze liny zmuszą do wejścia. Potem jest już tylko przerażenie i rozpacz. I śmierć tam jest.

Marika i jej dziecko. Dwa przerażone konie, na które człowiek wydał wyrok. Pójdą na rzeź, bo uznaliśmy, że ważniejsze od ich prawa do życia jest nasze prawo, by je zabić. To nie musi się tak skończyć.

Dla Mariki i jej dziecka zaczęło się końcowe odliczanie. Kilka dni temu kupił je handlarz, przywiózł do siebie i tuczył na mięso. Strupy na głowach i szyjach, ślady po bacie na zadach i nogach. Możemy się tylko domyślać, jak bardzo się broniły. Jak panicznie bały się wejść po rzeźnickim trapiu. I jak wiele siły użył człowiek, by je do tego zmusić.

Marika i jej dziecko. 10600 zł – tyle kosztuje życie tych przerażonych zwierząt. Czas na spłatę mamy do środy 11 sierpnia. Albo my, albo rzeźnia... Prosimy z całego serca, pomóż.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem MARIKA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści MARIKA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus, ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze. Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rikm>

Dziś, przerażone i zrezygnowane, czekają na swoją kolej. Stały się kolejną ofiarą śmierci.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

Paula Leśniewska

Kuchenne kąpiele

Użycie samej tylko wody może usunąć 98% bakterii z żywności

10 lat temu w Niemczech 53 osoby zmarły po zakażeniu EHEC – enterokrwotocznym szczepem bakterii *Escherichia coli*. Dopiero po jakimś czasie okazało się, że zabójcami były kielki kozieradki. A raczej bakterie, które na nich się namnożyły. Kielki hoduje się w ciepłym i wilgotnym otoczeniu, co bardzo sprzyja rozwojowi drobnoustrojów. Z tego powodu dzieciom do 5. roku życia, dorosłym po 65. roku życia, kobietom w ciąży i osobom, które mają osłabiony układ odpornościowy, odradza się ich jedzenie.

Amerykańska Agencja Żywności i Leków (FDA) szacuje, że ok. 48 mln ludzi rocznie choruje przez zakażenie drobnoustrojami z żywności. Jak piszą Marta Duda i Barbara Sokołowska z Instytutu Biotechnologii Przemysłu Rolno-Spożywczego w Warszawie, najczęściej na owocach i warzywach namnażają się bakterie wywołujące ciężkie zatrucia pokarmowe i gorączkę, m.in. *Escherichia coli*, *Salmonella* i *Listeria*. Oprócz tego na skórcie owoców mogą zalegać jaja pasożytów, metale ciężkie, pozostałości po pestycydach i środkach wybielających (służą do oczyszczania owoców z pestycydów).

Dlatego tak ważne jest mycie. Warzywa i owoce, nawet te, które później będą gotowane, najlepiej optukać bezpośrednio przed zjedzeniem – im dłużej leżą mokre, tym więcej bakterii się na nich rozwija. Myć nie trzeba tylko tych owoców i warzyw, które są pakowane i oznaczone jako gotowe do spożycia. Wtedy nie usuniemy drobnoustrojów – możemy za to je roznieść. Dlatego żywność z torebek, np. szpinak czy sałatę, najlepiej zjeść tego samego dnia.

W ostatnich latach na rynku pojawiło się sporo płynów do oczyszczania żywności z bakterii i pestycydów. Producenci reklamują je jako delikatne, stworzone na bazie środków myjących pochodzenia roślinnego, ale FDA nie rekomenduje używania tego typu produktów. „Mycie

owoców i warzyw mydłem, detergentem lub specjalnym płynem nie jest zalecane. Żywność jest porowata. Mydło i detergenty stosowane w gospodarstwie domowym mogą być wchłaniane przez owoce i warzywa pomimo dokładnego spłukiwania i mogą powodować nudności. Nie wiemy, czy płyny do mycia żywności są bezpieczne, a ich skuteczność nie została przetestowana”, czytamy na stronie FDA. Zbigniew Kozłowski z Polskiej Izby Żywności Ekologicznej



Mycie owoców i warzyw mydłem, detergentem lub specjalnym płynem nie jest zalecane.

tłumaczy, że większość pestycydów przedostaje się do wnętrza owoców i warzyw, więc mycie ich skórki płynem niewiele da. Jeżeli chcemy pestycydów uniknąć, lepiej kupować produkty ekologiczne, oznaczone zielonym listkiem z 12 gwiazdek, przy czym ekożywność też trzeba myć.

FDA rekomenduje po prostu dokładne płukanie z jednoczesnym pocieraniem owoców i warzyw pod bieżącą wodą, nawet jeżeli będą później obierane. Delikatne owoce, np. maliny, można płukać na durszlaku.

Woda nie musi być gorąca. Dowiedzono, że temperatura podczas płukania nie ma żadnego wpływu na oczyszczenie jedzenia, chyba że to wrzątek. Warto polać nim cytrusy – usuniemy w ten sposób konserwanty. Do porowatych warzyw, np. marchewki czy selera, zaleca się używanie szczoteczki. Trzeba pamiętać o odcinaniu uszkodzonych części roślin – tam zbierają się drobnoustroje.

Mięsa natomiast w ogóle nie należy myć. Obróbka cieplna zabija wszystkie bakterie. Specjaliści zalecają krojenie mięsa na osobnej desce, żeby utrudnić bakteriom przejście na owoce i warzywa, szczególnie te, które są jedzone na surowo.

A co z domowymi sposobami na mycie warzyw i owoców? Jeden z najpopularniejszych to moczenie ich w wodzie z sodą oczyszczoną. Naukowcy z University of Massachusetts w USA udowodnili, że po 15-minutowej kąpieli 1-procentowy roztwór sody oczyszczonej oczyścił skórkę jabłka z 80% tiabendazolu i 96% fosmetu – popularnych pestycydów. Podobnie działa 10-procentowy roztwór wody z solą. Woda z octem również może oczyścić żywność z drobnoustrojów. Badania wykazały, że najskuteczniejsza jest proporcja trzech części wody na jedną część octu. Owoce trzeba moczyć w roztworze ok. 5-10 minut.

Większość naukowców jest jednak zgodna, że wystarczy woda. „Użycie samej tylko wody może usunąć 98% bakterii z żywności”, twierdzi dr Floyd Woods z Wydziału Ogrodnictwa na Auburn University w USA. Woda wypłucze też wirusa SARS-CoV-2, chociaż ryzyko zakażenia się nim z żywności jest ekstremalnie niskie.

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

Maja Iwaszkiewicz

Czy zastanawialiście się kiedyś nad tym, jaki jest główny cel istnienia ogrodów zoologicznych? (...) Celem ich istnienia nie jest rozrywka ani turystyka. Nie chodzi tu nawet o naukę i edukację. Głównym celem powstawania zoo jest ochrona gatunkowa. Istnienie ogrodów zoologicznych jest więc podyktowane dobrem zwierząt, a nie ludzi. Kiedyś na ziemi istniało wiele gatunków, które nie przetrwały niestety do naszych czasów. Już nigdy nie zobaczymy mamuta, tarpana czy ptaka dodo, ale może dzięki naszym działaniom przyszłe pokolenia będą mogły jeszcze oglądać żywego nosorożca i inne zwierzęta. Mam taką nadzieję! W zoo zwierzęta są zabezpieczone przed działalnością drapieżników i myśliwych, a ponadto, mimo nowych dla nich warunków środowiskowych, rozmnażają się, dzięki czemu zapewniana jest ciągłość gatunkowa. Ogrody zoologiczne pełnią też oczywiście funkcję edukacyjną i uświadamiają nam, które gatunki są zagrożone wymarciem, a także mówią wiele o funkcjonowaniu zwierząt, ich zachowaniach i środowisku, w którym żyją. Jeśli teraz z tą wiedzą o funkcjonowaniu zoo spojrzymy na średniowieczne ogrody zoologiczne, zobaczymy, że wiele się zmieniło.

Co prawda, w dawnych czasach kwestia edukacji była niekiedy brana pod uwagę przy okazji tworzenia zwierzyńców, ale ochroną zwierząt średniowiecze niestety nie za bardzo może się poszczycić. Co ciekawe, Biblia, która była przecież tak ważna dla średniowiecznego społeczeństwa i kształtowania jego poglądów, traktuje niejako o ochronie gatunkowej. Mam na myśli opis historii arki Noego. Noe wziął ze sobą po parze zwierząt każdego gatunku i uratował je przed potopem. Wszystko było dokładnie przemyślane, nie było miejsca na żadne „ratuj się, kto może!”. Jedna para z każdego gatunku i koniec, reszta zwierząt musiała zginąć. Trochę smutna to historia, ale dzięki temu każdy gatunek mógł się po potopie rozmnożyć i cała fauna została odtworzona. (...)

Raj i arka Noego wydają się niestety ostatnimi azylami dla zwierząt w świecie zdominowanym przez człowieka. W średniowieczu

Średniowieczne zoo

Zamknięte ogrody ze zwierzętami były tak popularne, że zaczęły pojawiać się przy pałacach jak inne elementy architektury



Stoń był prezentem od króla Francji Ludwika IX dla Henryka III w 1255 r.

podejście do zwierząt było w znacznej mierze oparte na tekście Starego Testamentu, który głosi, że człowiek może nad innymi stworzeniami panować i używać ich do swoich celów, do czego oczywiście ochoczo się zabrano. Zwierzęta były eksploatowane na przeróżne sposoby. Wykorzystywano faunę ze względu na pożywienie, ubranie i siłę roboczą. Wszystko to było jednak przyzwolone przez świętą księgę chrześcijan, więc nikt nie widział w tym nic zdrożnego. Nie wydaje się, aby ludzie w średniowieczu zauważali jakąś konieczność ochrony zwierząt. Wszystko, co istniało na świecie, Bóg stworzył dla człowieka, więc po co niby zajmować się dobrem innych stworzeń? Ogrody zoologiczne, które pojawiały się w średniowieczu, miały więc zupełnie inne cele niż te znane nam dzisiaj, ale jako koncept stworzenia osobnej, ogrodzonej przestrzeni, w której trzyma się zwierzęta, jak najbardziej zoo w tamtych czasach istniały. (...)

Średniowieczne ogrody zoologiczne można w zasadzie podzielić na dwie kategorie – zwierzyńce możnowładców i zwierzyńce przykościelne

lub przyklasztorne. Zamknięte ogrody ze zwierzętami były tak popularne, że zaczęły pojawiać się przy średniowiecznych pałacach podobnie jak inne stałe elementy architektury – ogrody czy biblioteki. Zwierzyńiec posiadał każdy, kto mógł sobie pozwolić na sprowadzenie, a później utrzymanie dzikich, często egzotycznych zwierząt. W końcu z takiej hodowli nie było nic w zamian, więc jej kosztów nie dało się odpracować. Egzotycznych gatunków nie trzymano na pokarm, nie robiono odzieży z ich skór, nie zaprzęgano ich też do pracy. Trzeba było natomiast je karmić, zapewnić odpowiednie środowisko, a na początku jeszcze je kupić i przetransportować w odpowiednich warunkach. Człowiek miał z tej inwestycji głównie jedno – prestiż.

Ogrody dla zwierząt możnowładców bywały dwojakiego rodzaju – miały postać zwierzyńców łowieckich albo reprezentacyjnych i dekoracyjnych ogrodów zoologicznych zwanych menażeriami. W tych pierwszych pojawiała się fauna, na którą można było polować, a więc przeważnie lokalna dzika zwierzyna, natomiast w tych drugich można

było spotkać najróżniejsze zwierzęta z całego świata. (...)

Menażerie możnowładców

Przypałowcy menażerie pełniły głównie funkcję reprezentacyjno-dekoracyjną. Możliwość sprowadzania z najdalszych zakątków świata przeróżne gatunki, które nie występowały naturalnie w najbliższym otoczeniu pałacu. Zazwyczaj władcy nie mieli jednak jednej rezydencji, ale kilka w różnych miastach. W takim przypadku przy każdej z nich pojawiały się oddzielnie wyposażone menażerie. Karol Wielki miał np. cztery pałace i przy każdym z nich trzymał zwierzęta. Menażeria była w średniowieczu i późniejszych epokach jednym z przejawów zamożności – zwierzęta zbierano jak inne przedmioty dużej wartości. Im więcej gatunków, tym lepiej, im więcej różnorodności, tym ciekawiej. Menażeria była więc jak muzeum – stworzona po to, aby oczarować publiczność i pochwalić się swoimi zbiorami, a co za tym idzie, swoim bogactwem, które nie miało granic. Oczywiście publiczność była bardzo wąska, ponieważ do królewskich i książęcych zwierzyńców mogli zaglądać jedynie zaproszeni goście i ważne ówczesne persony, np. Albert Wielki, który oglądał żyrafę w menażerii Fryderyka II. Oprócz wystawiania bogactwa na pokaz kolekcje zwierząt umożliwiały również rozrywkę w postaci obcowania z tym, co egzotyczne, nowe i dziwne. Czasem menażerie miały też charakter edukacyjny, bo badacze mogli w warunkach

np. słoni lwy bardzo dobrze radziły sobie w europejskim klimacie i licznie się tu rozmnażały, stale powiększając kolekcje. Pierwsza znana lwiaśnia w Europie powstała prawdopodobnie w XII w. w Anglii na dworze Henryka I. Oprócz lwów w swojej menażerii w Woodstock angielski król trzymał również rysie, lamparty, niedźwiedzie i wielbłądy.

Menażeria była jak muzeum – stworzona, aby oczarować publiczność i pochwalić się zbiorami, czyli bogactwem.

Te dwa ostatnie gatunki razem z lwami tworzyły całkiem popularny zestaw zwierząt trzymany w średniowiecznych europejskich ogrodach możnowładców. Pogłoski o największej ówczesnej lwiaśni pochodzą z kolei z Francji, gdzie jeszcze w XVI w. trzymano 26 lwów. Zwróciłam wcześniej uwagę na koszty utrzymania egzotycznych zwierząt. Wyobraźcie sobie hodowlę tylu lwów, z których każdy dostawał dziennie ok. 6 kg baraniny. Wspomnę, że w średniowieczu tylko najbogatsi ludzie mogli w ogóle pozwolić sobie na menu zawierające mięso. Lwy można było też zobaczyć na paryskim dworze w Luwrze, w fosie na Kapitolu w Rzymie, a nawet w angielskiej Tower of London. W zasadzie bezpieczne jest stwierdzenie, że pojawiały się wszędzie tam, gdzie kogoś było na nie stać. Karol Wielki w swoich wspomnianych już przeze mnie czterech rezydencjach miał, oprócz lwów,

pantery, gepardy, hieny, niedźwiedzie, gazy, wielbłądy, a także małpy i słonia. Ale właśnie zbiór ptactwa był jego największą chlubą. Przy swojej sycylijskiej rezydencji miał on budynek wiwariu i wolierę, a ogród jego pałacu otaczały stawy i mokradła, które sprzyjały hodowli ptaków. Z tych bardziej niesamowitych Fryderyk II szczycił się posiadaniem kakadu oraz

strusia. Zwierzęta były ciągle obecne w jego życiu, towarzyszyły mu nawet podczas ważnych podróży. Ponoć na swój własny ślub, który odbył się w Wormacji, wziął ze sobą małpy, wielbłądy, a nawet gepardy. A my się dziwimy, że niektórzy nie chcą się rozstać ze swoim pupilkiem i noszą go w torebce! Pokazywanie się ze swoją ogromną menażerią było bardzo popularne w dawnych czasach, ponieważ wzmacniało prestiż władcy. Kiedy książęta, cesarze czy królowie jechali do innych miast lub krajów, oprócz dworu ciągnął za nimi orszak zwierzęcy. Współcześnie nazwalibyśmy to pewnie lansem. Ale skoro można wydać już na te zwierzęta tyle pieniędzy, to dlaczego miałby się nimi nie pochwalić?

Jeśli chodzi o inne zwierzęta egzotyczne w średniowiecznej Europie, na dworze w Neapolu pojawiła się w XV w. nawet zebra. Był to dar księcia Bagdadu. Z kolei w IX w. statkiem przybył do Italii słoń indyjski – dar wielkiego kalifa Bagdadu, Haruna ar-Raszida, dla Karola Wielkiego. W średniowiecznych menażeriach trzymano też zwierzęta trudniejsze w hodowli, bo wymagające zbiorników wodnych. W majątku Karola V w Paryżu były aż dwa baseny, w których mieszkali fok. W Dijon w XIV w. pojawił się za to morświn. Był to prezent Filipa Śmiałego dla jego żony, księżnej Małgorzaty. Ten to miał gest! (...) Morświn księżnej Małgorzaty żył ponoć w pałacowym basenie, ale od utrzymania bardziej kłopotliwa wydaje się kwestia jego transportu, skądkolwiek go wzięto, do Dijon, miasta, które leży jednak wewnątrz kontynentu. Czy morświn przyplątał rzeką jakąś wielką łodzią, a może za łodzią, przyklejony do niej linami jak

Najbardziej rozchwytywane w ówczesnej Europie stały się lwy. Pierwsza znana lwiaśnia powstała w XII w. w Anglii na dworze Henryka I.

kontrolowanych przyjrzeć się zwierzętom nie tylko europejskim.

A jakie zwierzęta najchętniej trzymano w średniowiecznych menażeriach? Najbardziej rozchwytywane w ówczesnej Europie stały się lwy. Nic dziwnego, to wielkie, egzotyczne i charyzmatyczne zwierzę kojarzy się od zawsze z majestatem i królestwem. Nie ma lepszego symbolu władzy, więc możnowładcy bardzo chętnie tworzyli hodowle lwów, które miały odzwierciedlać królewski charakter ich właścicieli. W przeciwieństwie do

niedźwiedzie, wielbłądy, jelenie, daniel, a także ptaki – pawie i bażanty. Ze średniowiecznych podań wynika jednak, że najwspanialszą i najbardziej różnicowaną menażerią mógł się pochwalić cesarz Fryderyk II. Miał w końcu żyrafę, która w dodatku była przedmiotem wymiany. Fryderyk dostał żyrafę od sułtana Egiptu w zamian za białego, a więc prawdopodobnie polarnego, niedźwiedzia. Cesarz zgromadził znacznie szerszą od standardowej dla ówczesnych bogaczy kolekcję egzotycznych zwierząt – lwy,

► ponton? Czy był położony na jakiejś przyczepce przymocowanej do konnego powozu, wyłożonej specjalnym materiałem, i całą podróż polewano go wodą i karmiono rybkami? Nie wiadomo. (...)

Zwierzęta jako prezenty polityczne

Menażerie zapęłniały się nie tylko za sprawą zakupów, ale także dzięki darom i wymianom. (...) Zwierzęta były bardzo często prezentami politycznymi, którymi wymieniali bądź obdarowywali się władcy, czasem nawet bez okazji. Oprócz tego, że takie dyplomatyczne dary wzmacniały więzi między obdarowującym i obdarowanym, to jeszcze wskazywały na bogactwo i ekstrawagancję tego pierwszego. Niestety, takie stworzenia nie zawsze kończyły dobrze, bo nie były przyzwyczajone do klimatu czy środowiska, które zastawały w nowym miejscu. Swoją drogą ta tradycja, mimo wielu głosów sprzeciwów i walk aktywistów i aktywistek, przetrwała jednak niestety do naszych czasów, a jej głównym reprezentantem zdają się być Chińczycy obdarowujący inne kraje zagrożonymi wyginięciem pandami.

Zwierzęta były często prezentami politycznymi, którymi obdarowywali się władcy.

Prezenty polityczne były tak popularne i częste, że zrodziła się z nich m.in. prawie cała menażeria w Tower of London. Wszystko zaczęło się w 1235 r., kiedy Franciszek II, słynny kolekcjoner zwierząt, podarował Henrykowi III trzy lwy. Władca postanowił wtedy wyznaczyć specjalny teren, w którym będzie trzymał egzotyczne zwierzęta, i dobrze, że zdecydował się na ten ruch, ponieważ jeszcze w XIII w. do lwów dołączył stół afrykański i prawdziwy rarytas w średniowiecznej Europie – niedźwiedź polarny. Oba dotarły do Tower jako prezenty. Było im tam wygodnie, miały nową, specjalnie dla nich zaprojektowaną architekturę, a niedźwiedź mógł ponoć nurkować i łowić ryby w Tamizie (choć wydaje mi się, że łatwiej byłoby mu



W Tower of London przez kilka stuleci znajdowała się angielska menażeria królewska. Rycina z XV w. ze zbiorów British Library.

tam wtedy złować szczura). Niestety, stół przeżył w surowym angielskim klimacie tylko dwa lata.

A czy nasza Rzeczpospolita uczestniczyła w tej międzynarodowej wymianie zwierząt? Oczywiście, że tak! Pod koniec X w. Mieszko I postał

Ottonowi II wielbłąda! Niektórzy twierdzą, że zarys jednego z pomieszczeń widocznych w fundamentach pałacu pierwszych władców Polski na Ostrowie Lednickim niedaleko Gniezna jest tak wąski, że jedyna funkcja, jaką mogło pełnić, to miejsce dla wielbłąda. Były to zwierzęta, które w średniowiecznej Europie cieszyły się wyjątkową popularnością. Dobrze radziły sobie w nowym klimacie, rozmnażały się i chyba w końcu poczuły się tu jak w domu. Były obiektem handlu jako zwierzęta juczne, ale także jako wytrzymała siła robocza. Według średniowiecznych źródeł wielbłądy pracowały m.in. przy budowie świątyni w Akwizgranie. Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do Polski.



Zachował się list z 1406 r. do Władysława Jagiełły, który informuje o darze dla niego w postaci pary lwów, które w końcu zamieszkały na jakiś czas na Zamku Królewskim na Wawelu.

Przykościelne ogrody zoologiczne

A kto jeszcze oprócz książąt i królów lubił gromadzić bogactwo oraz głośno się nim chwalić? Oczywiście władza kościelna! Stąd, zaraz po menażeriach możnowładców, największymi kolekcjami żywego inwentarza mogły się poszczycić instytucje kościelne. Wielka lwiarńia istniała np. przy pałacu papieskim w Awinionie. Po ogrodzie katedry Notre-Dame w Paryżu w XIII w. przechadzały się jelenie, niedźwiedzie i małpy. Przykłady można by mnożyć przez liczbę ważnych ośrodków kościelnych, a jak wiadomo, tych w średniowieczu było wiele. (...)

W wypadku klasztorów nie wszystkie zwierzyńce powstawały jednak dla samego kolekcjonerstwa czy na pokaz. Wydaje się, że niektóre z nich mogły pełnić funkcje dydaktyczne. Klasztor benedyktynów w Sankt Gallen, olbrzymi średniowieczny kompleks architektoniczny, miał mały zwierzyńiec w obrębie murów. Jest to przykład bardzo ciekawy, ponieważ ten ogród zoologiczny był poświęcony wyłącznie faunie alpejskiej. Znajdowały się tam niedźwiedzie, borsuki, świstaki i koziorożce, a także liczne ptactwo. (...)

Zwierzyńce mieli też Krzyżacy w Malborku i Sztumie. Trzymali jelenie, łosie, niedźwiedzie, tarpany, które niestety nie występują już naturalnie, a nawet żubry! Pięć żubrów Krzyżacy otrzymali w darze od wielkiego księcia litewskiego Witolda. Na początku XV w. w krzyżackim zwierzyńcu pojawiły się też małpy oraz lew. Klasztory i kościoły także wymieniały się między sobą podarunkami w postaci zwierząt, przez co mogły zaprezentować jeszcze szerszy wybór gatunków. (...)

Fragmenty książki Mai Iwaszkiewicz *Świnia na sądzie ostatecznym. Jak postrzegano zwierzęta w średniowieczu*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021

Od A do Z, czyli Azerbejdżan

Jesienią zeszłego roku Azerbejdżan wygrał wojnę o Górski Karabach. Został on przyznany temu krajowi przez Stalina na początku lat 20., w ramach jego polityki „dziel i rządź”, również ze względu na to, że mieszkało tam znacznie więcej Ormian niż Azerów. Po wojnie z ubiegłej jesieni do gry o Kaukaz Południowy wraca Turcja, która konsekwentnie wspiera Azerbejdżan jako kraj bratni nie tylko językowo i kulturowo, lecz także politycznie.

Nie zanosi się na rychłe zwycięstwo opozycji w Turcji czy zmierzch władzy dynastii Alijewów w Baku. Założycielem owej dynastii był Gajdar, ojciec İlhama, były szef KGB Azerbejdżanu, były przewodniczący partii komunistycznej tego kraju przez prawie 30 lat, a nawet członek biura politycznego KC KPZR, usunięty przez Gorbaczowa w końcu lat 80. Wrócił do Baku z „wypnania” w Naciczewanie w 1994 r. i objął władzę, którą przekazał synowi na początku nowego tysiąclecia. Początkowo syn miał rządzić dwie kadencje. Potem znowelizowano konstytucję i rządzi bez ograniczeń. Kilka lat temu jego żona Mehriban została wiceprezydentem, a ma jeszcze dwie córki i syna.

Azerbejdżan to państwo najpotężniejsze (ropa i gaz) na Kaukazie Południowym. PKB ma kilku-, a nawet kilkunastokrotnie wyższe od sąsiadów. W niektórych latach budżet wojskowy Azerbejdżanu (ok. 4,5 mld dol.) był porównywalny z budżetem państwowym Armenii. W najlepszych latach w Azerbejdżanie wydobywano ok. 42 mln ton ropy. Wpływy wydawano m.in. na uzbrojenie z Izraela (!) i Turcji.

Jedynym ambasadorem RP, który azerskiego (azerbejdżańskiego) nauczył się już w Baku, był Michał Łabenda. Zna nie tylko zestaw obowiązkowy w MSZ, czyli angielski, francuski, niemiecki i rosyjski, ale również arabski, hebrajski, jidysz, japoński i kazachski. Bardzo lubianym w Baku ambasadorem był też jego poprzednik Krzysztof Krajewski. Pamiętane mu jest, że w 2008 r., gdy pilot samolotu prezydenta RP odmówił lądowania w Tbilisi, a lotniskiem zapasowym była Gandza na zachodzie Azerbejdżanu, błyskawicznie zorganizował z pomocą gospodarzy kolumnę, która przewiozła prezydenta i delegację do stolicy Gruzji.

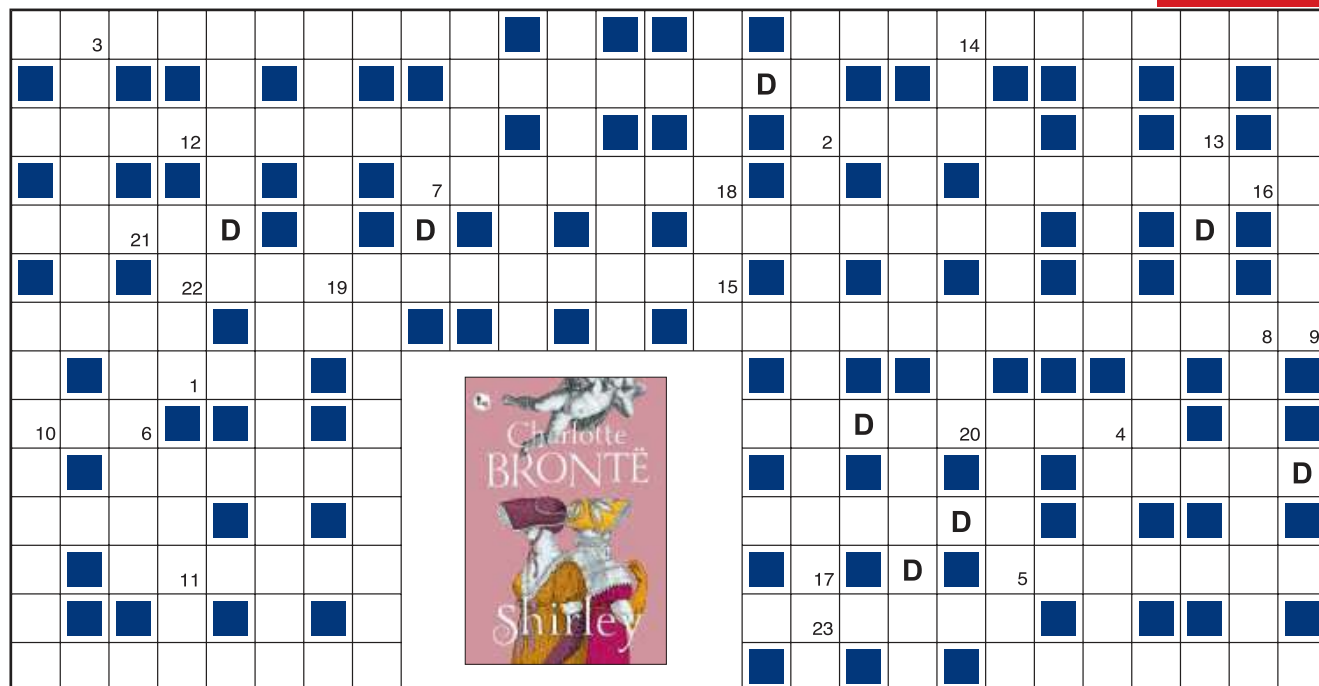
Oprócz Łabendy żaden ambasador RP w Baku nie znał azerbejdżańskiego czy tureckiego. Wszyscy znali i znają rosyjski. Przydatny w Baku, ale poza Półwyspem Apszerońskim już nie bardzo. Większość mediów pisze i nadaje w bardzo podobnym do tureckiego azerbejdżańskim.

Mieliśmy i nadal mamy wybitnych dyplomatów znających turecki. Bywali nawet ambasadorami w Ankarze czy konsulami generalnymi w Stambule. Irena Tatarzyńska, Patrycja Oezcan, Jerzy Drożdż, Grzegorz Michalski, Marcin Wilczek. Czas najwyższy na turkologów w ambasadzie RP w Baku. Azerbejdżan przechodzi na geopolityczną orbitę Turcji. Oczywiście Rosja będzie tam nadal znaczącym graczem, również ze względu na wpływy w polityce, służbach czy dyplomacji, więc rosyjski wciąż będzie w Baku przydatny, ale już jako drugi język.

Attaché



Grecka Gwardia Prezydencka przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Atenach, 3 sierpnia 2021 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9
---	---	---	---	---	---	---	---	---

10	11	12	13	14	15	16
----	----	----	----	----	----	----

17	18	19
----	----	----

20	21	22	23
----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- starogrecki rynek
- „...GUŁag” Solżenicyna
- przyciągająca rozrywka
- kąt między północą a kierunkiem marszu, liczony w prawo
- łapacz lub palkarz z angielska pisany
- leukemia
- obiekt, do którego się strzela

- pośpieszna przesyłka pocztowa
- dla spirytysty to prąd psychiczny emanujący z ciała
- Srebrny na niebie, Złoty wręczany
- ptak skryty w hibiskusie
- ... Kleopatry – obelisk w Londynie i Central Parku

- Patroklos jednym z jej bohaterów
- spolonizowana forma Jupitera
- ...polskiego filmu: „Seksmisja”, „Miś”
- grupa eskortująca, kolumna pojazdów
- dojazd na ... własny
- cecha górskiej drogi
- cała prawda o tej planecie w tytule powieści Zajdla
- ni pies, ni wydra, coś na ... świda
- leczy wady mowy
- rzymski protektor artystów
- rzut piłką mogący zakończyć grę

- urządzenie lub aplikacja do zmieniania głosu
- błędny, kulśowy albo okoruchowy
- przyczyna przecieku
- „...z wystawy” Musorgskiego
- gdy wietrzna – choroba wieku dziecięcego
- nadzieja, pokrzepienie
- właściciel psa
- ptasia marka wiecznych piór
- można komuś pokazać, gdzie zimuja
- luk wysp między Kiusiu a Tajwanem
- każdy ma jakąś do odegrania
- ...krągłojęzyczna, gatunek płaza
- tenisistka po drugiej stronie siatki
- galernik albo zesłaniec
- do prowadzenia psa

- duży stos siana lub słomy
- osiemnastka do zupy
- ptak z wikłaczowatych albo rzemieślnik
- lizboński – z 13 grudnia 2007 r.
- szkocka tkanina wełniana w jodełkę
- wzloty i...
- kołysze się miarowo w zegarze
- banda, zgraja lub stado
- ciężka – z deuterem zamiast wodoru w cząsteczce
- i bojowy, i drabiniasty
- możliwe w hotelu, schronisku
- ...dobrego wychowania do przestrzegania
- kuchenny odpowiednik umywalki
- bywa pyrrusowe
- czysty cieszy przedsiębiorcę

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1025”. Do rozlosowania książki „Shirley” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO.KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 15 sierpnia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1022” z nr. 30: Ludzie kiedyś zmartwują.
Nagrody otrzymują: Zenon Czajczyc z Olsztyna, Alina Jamroga ze Szczecina, Barbara Murawel z Wrocławia.

PENETRACJE

ZDANIE

PROF. ALEKSANDRA JASIŃSKA-KANIA,
SOCJOLOŻKA

Po śmierci Stalina, do czasu likwidacji Berii, trwał okres wzmożonej trwogi, niepewności, co kogo może czekać. Wiadomo było tutaj w Polsce, że Beria dochodzi do władzy w ZSRR. Myślę, że jeśli chodzi o mojego ojca (Bolesław Bierut), na pewno był wtedy bardzo zaniepokojony tym, co się dalej będzie działo. Potem, już po likwidacji Berii, pierwszy raz wyjechałam z ojcem na Krym i tam spotkałam elitę ówczesnej władzy. Poznałam Chruszczowa, Malenkowa, Mołotowa, Woroszyłowa, znanych mi dotąd tylko z portretów i kronik filmowych. Uczestniczyłam w tych spotkaniach jako członek rodziny. Wtedy właśnie zaczęłam dość wyraźnie odczuwać wyobcowanie się elity.

odra

PROF. ADAM CHMIELEWSKI,
FILOZOF NAUKI, UNIWERSYTET WROCŁAWSKI

Mimo starań o uchwycenie istoty nauki nadal nie mamy pewności, czym ona jest. Odróżniamy wiedzę naukową od zdroworozsądkowej, artystycznej, religijnej i magicznej, ale także od mądrości, która obejmuje wiedzę ogólną dotyczącą zasad praktycznego postępowania w rozmaitych sferach życia, zwłaszcza w życiu

codziennym. Jest rzeczą jasną, że wybitny uczony nie musi być mędrcem i rzadko nim bywa, zaś nie każdy mędrzec jest uczonym – wręcz przeciwnie. Jest jednak również jasne, że nauka potrzebuje mądrości. Wyjaśnieniem globalnego sukcesu pisarskiego Baumana wydaje się to, że odkrył on potrzebę mądrości w świecie: choć od czasów Oświecenia nauka wspiera zarządzanie światem, nie stał się on przez to ani mądrzejszy, ani bardziej sprawiedliwy.

Press

GRZEGORZ DOBIECKI,
PUBLICYSTA MIĘDZY-
RODOWY, POLSAT NEWS

Ze wszystkich uwag, jakie przekazał mi Andrzej Turski, najważniejsze było jedno zdanie po 1980 r., kiedy solidarnościowi entuzjazm ogarnął niektórych w radiu – bądź co bądź bastionie propagandy. Miałem wtedy 25 lat i byłem wśród tych, którzy przeżywali polityczne uniesienia i chcieli odmieniać programy, poddane przecież cenzurze i ideologicznej presji. Turski mi powiedział: „Słuchaj, gdybyś był tak uczciwy, jak ci się wydaje, że jesteś, to byś tu nie pracował”. Zamknął mi gębę pełną frazesów. Nagle wszystkie moje argumenty o tym, że my tu i teraz musimy walczyć o prawdę, były niczym wobec tego jednego realistycznego zdania.

Aby język giętki...

JACEK ŻAKOWSKI
O OBOWIĄZKOWYCH SZCZEPIENIACH

Władza jest zbyt tchórzliwa, by iść drogą wiedzy i racjonalności.

HANNA I ANTONI GUCWIŃSCY
O TADEUSZU RÓŻEWICZU

Przychodził do nas na herbatkę, a potem chodził po ogrodzie. I pisał o nosorożcach, o tygrysach.

MACIEJ STUHR O GRANICY

Żyjemy w czasach, w których granica między człowiekiem o mocno sprecyzowanych poglądach a oszołomem jest bardzo cienka.

ANDRZEJ CHYRA O OPOZYCJI

Płaszczyną oparcia mogłoby być środowisko artystyczne, które jest sekowane i pozbawione środków przez obecną władzę.

MARIUSZ WALTER
O PRACY MAGISTERSKIEJ

W recenzji pracy „Odsalanie słonych wód kopalnianych” profesor napisał: „albo młody geniusz, albo hochsztapler – ale akceptuję”.

DANIEL PASSENT
O KOMENTATORACH SPORTOWYCH

Przeszkadza mi gadulstwo. Bez przerwy gadają, popisują się wiedzą z komputera, często nikomu niepotrzebną.

AGATA PASSENT O JACKU WSZOŁE

Zdarzyło mi się jeść obiad w jego towarzystwie. Zamówiliśmy krem z pomidorów. Mistrz dwa razy przypomniał kelnerce, że ma być bez śmieszności. Skoczek wzwyż z nadwagą? Nie da się.

MATEUSZ DAMIĘCKI O BYCIU ZABAWNYM

To harówka, bycie zabawnym trzeba nieustannie trenować.

TOMASZ KOT O JOANNIE KULIG

Z pracy nad filmem „Zimna wojna” została nam niemal bratersko-siostrzana relacja. Troszczyliśmy się o siebie i poprawialiśmy nawzajem humor.

ROBERT GAWLIŃSKI
O SŁABEJ SPRZEDAŻY PŁYT

Bo dzisiaj wszystko jest za darmo, a jak nie jest legalnie za darmo, to można nielegalnie to ściągnąć.



Genevieve Gregson z Australii podczas finału biegu z przeszkodami na 3000 m. Igrzyska w Tokio, 4 sierpnia 2021 r.

Apetyt pod kluczem

Naukowcy z nowozelandzkiego Uniwersytetu Otago opracowali zaciskacz szczęk, pomagający w utracie wagi. Mocowany do zębów DentalSlim Diet Control uniemożliwia normalne otwieranie ust, wymuszając przejście na dietę płynną. Wynalazcy podkreślają, że urządzenie nie ogranicza oddychania ani mówienia, a uczestnicy testów w ciągu dwóch tygodni stracili średnio 6,36 kg. Sprzęt jest krytykowany za ignorowanie biologicznych i ekonomicznych przyczyn otyłości. Jego twórcy bronią się jednak, że nie został zaprojektowany jako narzędzie do szybkiego pozbywania się zbędnych kilogramów – to pomoc dla osób, które np. nie mogą być operowane ze względu na tuszę. Chyba gryzie ich sumienie...

Dostali po uszach

W Rotterdamie na budynkach instalowane są odstrasza-cze... młodzieży. Chodzi o urządzenia emitujące nieprzyjemny dźwięk o wysokiej częstotliwości, słyszalny wyłącznie dla ludzi do 25. roku życia. Trafiają one do miejsc, gdzie smarkateria nie daje ludziom spać. – Otrzymuję wiele zgłoszeń od mieszkańców, którym przeszkadza nocne hałasowanie młodzieży – wyjaśnił burmistrz Ahmed Abo-utaleb. Hałas za hałas, jak Hammurabi przykazał!

Wynajęci na wszelki wypadek

Użytkownicy aplikacji Citizen zarabiają na transmisjach na żywo z miejsc przestępstw i wypadków. Mieszkańcom kilkunastu miast USA oferuje ona powiadomienia i relacje, w większości pochodzące od innych użytkowników, którzy akurat znaleźli się w centrum wydarzeń. Za nagrania nie



przysługuje wynagrodzenie, ale media ustaliły, że w Nowym Jorku rekrutowani są reporterzy, którzy będą aktywnie szukać groźnych sytuacji. – Citizen ma pracowników w miastach, w których aplikacja jest dostępna. Mają oni demonstrować, jak działa platforma, i pokazywać, jak powinna wyglądać relacja z miejsca zdarzenia – przyznała rzeczniczka marki. Widać, że biznes, nomen omen, się kręci!

Mistrzowie negocjacji (nie) uciekają

W Szwecji dwaj więźniowie z placówki o zaostrożnym rygorze wzięli zakładników i zażądali helikoptera, ale ostatecznie zadowolili się pizzą z kebabem. Uzbrojeni w żyletki 24-letni Haned Mahamed Abdullahi i 30-letni Isak Dewit włamali się do wartowni, gdzie zamknęli się ze strażnikami. Skazani za morderstwo początkowo twardo domagali się śmigłowca, ale wynegocjowali jedynie 20 rzeczonych placków dla siebie i innych osadzonych. Koniec końców nikomu nic się nie stało, a sprawcy trafili na komisariat. Nie podano, jaka kara grozi im za kulinarną zbrodnię, jaką niewątpliwie jest zamówienie pizzy z kebabem.

Śmieci w służbie lodów?

Badacze z Uniwersytetu Edynburskiego wykazali, że z plastikowych odpadów da się uzyskać aromat waniliowy. W procesie przekształcania butelki z PET w wanilinę naukowcy ze Szkocji wykorzystali zmodyfikowane

Andrzej Duda dowiaduje się, że kolejny medal olimpijski zdobyła lesbijka:

Translate Tweet



A OD WRZEŚNIA





Głodna ciężarna lamparcica atakuje guchę w Masai Mara w Kenii, a niedźwiedź broni młodych przed tygrysem w Parku Narodowym Ranthambore w Indiach.

genetycznie bakterie *Escherichia coli*. Są przekonani, że ich produkt może być bezpiecznie spożywany przez ludzi, ale dodają, że konieczne są dalsze eksperymenty. A na takie badania nie można skącić środków!

Którędy do cienia?

Cool Walks pomaga przetrwać ekstremalne upały w mieście. Aplikacja, na razie obsługująca jedną dzielnicę Barcelony, podpowiada najbardziej zacienioną trasę między wybranymi punktami. Jest w niej dostępny również „tryb wampira” dla osób, które chcą uniknąć jakiegokolwiek bezpośredniej ekspozycji na promienie słońca. Pokazuje też uliczne źródła i schronienia przed żarem. Gorąco – pardon, chłodno – gratulujemy pomysłowi!

Już się nie skłamię na Instagramie

Norwescy influencerzy zostali objęci obowiązkiem informowania o retuszowaniu swoich zdjęć. Zgodnie z nowelizacją ustawy o reklamie fotografia, na której „kształt ciała, rozmiar ciała lub wygląd skóry zostały zmienione”, musi być oznaczona jako edytowana. Za inicjatywą stoi resort ds. dzieci i rodziny, pragnący ograniczyć wpływ mediów społecznościowych na samoocenę nastolatków. W myśl hasła: selfie – tak, wypaczenia – nie!



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Koordinator ds. komunikacji i PR

Piotr Ciszewski **e-mail:** p.ciszewski@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszki, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPLP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



OSTATNIE ŚNIADANIE

z Bartłomiejem Kownackim

Plótna Kownackiego przedstawiają zarówno sceny z życia codziennego, jak i sytuacje nieco przerysowane, wszystkie w realistycznej konwencji, zbliżającej obrazy do fotografii. – Ta forma jest dla mnie pretekstem do wyrażenia pewnej treści – zaznacza Bartłomiej Kownacki. – Chciałbym przywrócić rolę treści, bo to treść stanowi o wybitności bądź mierności artysty. Nie będę interpretował własnych obrazów. Zachęcam jedynie do dokładniejszego przyjrzenia się im, do bezpośredniego, osobistego odbioru. Obrazy nie potrzebują wielostronicowych opisów, jedynie uważnego odbiorcy.

Miejska Galeria Sztuki MM w Chorzowie
ul. Sienkiewicza 3
do 30 sierpnia



Ostatnie śniadanie



Rondo obłądu



Modelka z trąbką

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

• TEATR CAPITOL •

PRZEBOWE KOMEDIE • GWIAZDORSKIE OBSADY • PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

Capitalne Lato

klimatyzowane sale teatralne • orzeźwiające napoje



Przekręt (nie)doskonały
piątek, 13 sierpnia godz.19:00



Klimakterium...i już!
sobota, 14 sierpnia godz.19:00



Klimakterium II
sobota, 20 sierpnia godz.19:00



Dwie pary do pary
sobota, 21 sierpnia godz.19:00



Dajcie mi Tenora!
sobota, 27 sierpnia godz.19:00



Pinokio
niedziela, 29 sierpnia godz.11:00



GRAMY BEZPIECZNIE

• KUP



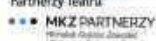
• www.teatrcapitol.pl



Patroni Medialni:



Partnerzy Teatru:



W ROLI GŁÓWNEJ AGNIESZKA GROCHOWSKA

Marthe
KELLER

André
JUNG

Birgit
MINICHMAYR

Jacob
MATSCHENZ

Anatole
TAUBMAN

Cezary
PAZURA

Agata
RZESZEWSKA

KOMEDIODRAMAT...

o idealnej rodzinie, w której nic nie jest idealne...

o miłości, prawdziwej i udawanej...

Moja cudowna Wanda

reżyseria Bettina Oberli



W KINACH OD 13 SIERPNIA



Schweizerische Eidgenossenschaft
Confédération suisse
Confederazione Svizzera
Confederaziun svizra

Swiss Confederation

Französische Eidgenossenschaft
Confédération suisse
Confederazione Svizzera
Confederaziun svizra

SWISS FILMS